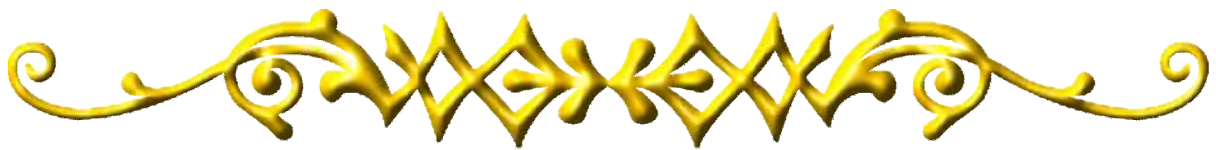




**Emmuska Orczy**  
(Baronowa Orczy)



**ROSEMARY**

Było to w lipcu 1917 roku.

Kobieta siedziała sama w parterowym pokoju i szyła, szyła bez przerwy przy migocącym świetle lampy naftowej, stojącej przed nią na kulawym stole sosnowym. Nie opodal leżały bluzy koloru khaki, było ich z pół tuzina. Kobieta brała każdą z nich po kolei do ręki, oglądała je, obmacywała, obracała na wszystkie strony, potem nożyczkami pruła starannie kawałek podszewki. Następnie zaszywała znowu to miejsce po dawnemu, wsuwając uprzednio między podszewkę a wierzchni materiał, coś drobnego białego, coś, co wyjmowała zza fałd swojej bluzki.

Pokój, w którym siedziała, był mały i nagi, tapety zwisały w strzępach ze ścian, ale część sufitu przypadkiem ocalała podczas ostatniego bombardowania, tak że był to luksusowy pokój, jak na ówczesne warunki miasteczka Guillaumet, gdzie wszystkie dachy niemal były pozrywane. I tu nad domem dachu zabrakło, ale nad tym pokojem był sufit, natomiast szyby w oknach ani jednej, nic to jednak nie szkodziło w ten upalny wieczór lipcowy. Lekki powiew poruszał firanką i muskał włosy pochylonej kobiety.

Pracowała wytrwale, rękawy odwinęła za łokcie, bluzkę rozpięła, ukazując chudy, całkiem nieponętny dekolt, i bluzka, i spódnica były zresztą w stanie opłakanym.

— Dbasz o tych angielskich żołnierzyków, Alicjo — rozległ się nagle tuż za nią oschły, sarkastyczny męski głos.

Kobieta drgnęła, ręka, która właśnie obmacywała ostatnią z kolei bluzę, zadrżała lekko. Jej blada, zwiędła twarz wyglądała upiornie w niepewnym świetelku, rzucanym przez lampę naftową. Odwróciła się i spojrzała na przybysza. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnych, potarganych włosach i nieogolonej brodzie. Stał oparty o framugę drzwi, żując niedopałek cygara i spoglądając na nią z wyrazem ironiczno-pobłażliwym w głęboko osadzonych oczach. Uspokoila się najwidoczniej, stwierdziwszy, że to tylko on. On, Lucjan, Lucjan — wędrowiec, włóczęga, plotkarz, służący w charakterze portiera w jednym z amerykańskich szpitali polowych. Tak wszyscy tu myśleli. Nikt się o niego nie dowiadywał bliżej. Każdy miał dosyć trosk i zajęcia, cudze sprawy nie interesowały nikogo w tym okresie, a przy tym Lucjan był pożyteczny i usłużny. Chociaż miał chorą nogę, to biegł chętnie wszędzie, byle dogodzić swemu otoczeniu. Nazywano go Lucien

l'Américain, Lucjan Amerykanin. Lotnicy angielscy zaś wołali na niego „Yank”, a było ich sporo przy lotnisku Guillaumet.

Lubili oni Yanka. Był on w prawdzie brzydki jak grzech śmiertelny, przeważnie nieogolony i brudny, ale zabawny, miał zawsze coś do opowiedzenia i zawsze był gotów do birbantki. Pieniędzy mu wyraźnie nie brakowało — widocznie brał napiwki od francuskich i angielskich oficerów w szpitalu. Bywał bardzo szczodry, gdy szło o kieliszek i o papierosy dla żołnierzy. Ostatnio zaloty jego do Alicji Gerbier ubawiły całe Guillaumet. Alicja była poczciwą duszą, to prawda, ale niesłychanie brzydką kobietą! No, i nie pierwszej młodości. Trudno sobie było wyobrazić mężczyznę, który odczuwałby pociąg do Alicji Gerbier. Ale Lucjan Amerykanin widocznie się ostro do niej zalecał, skoro Alicja stała się po prostu jego niewolnicą, psującą go, dbającą najtroskliwiej o niego. Po całodzienniej pracy siadała wieczorem z igłą w rękę i szyła mu po całych nocach koszule, cerowała skarpetki. On to przyjmował jako rzecz całkiem naturalną i niejednokrotnie ją upokarzał.

— Jedyńy sposób traktowania kobiety — byłby odpowiedział cynicznie, gdyby mu kto zwrócił uwagę, że jego postępowanie z Alicją jest oburzające.

Oryginalne to były zaloty, chłopcy zakwaterowani w domu starej matki Gerbier nieraz zadawali sobie pytanie, jak się to skończy. Biedna Alicja! Była to jej jedyna szansa życiowa. Gdyby straciła tego niezbyt czułego adoratora, nie miałyby już innego nigdy w życiu. Zdawała sobie z tego sprawę z pewnością, biedaczka. Gdy Lucjan przymilał się niekiedy do innych kobiet, wówczas oczy Alicji spoczywały na nim z wyrazem ponurego skupienia, natężonej uwagi.

Lucjan wtoczył się niedbałym krokiem w głąb pokoju i stanął tuż za krzesłem Alicji, z miną łaskawego paszy poklepał ją po ramieniu.

— Więcej dbasz o tych żołnierzyków, niż o mnie — rzekł. — Dlaczego, do licha, tak się dla nich mordujesz, nie mam pojęcia. Wyglądasz na śmiertelnie zmęczoną, a upał jest tropikalny dziś w nocy. Sądzę, że burza się zbliża.

— Chłopcy mówią, że na pewno burza nadciąga — rzekła Alicja znużonym, bezdźwięcznym głosem — ale mają nadzieję, że będzie krótkotrwała.

— Przypuszczasz że wylecą skoro świt, jak zwykle? — zapytał krótko Lucjan.

Kobieta skinęła głową potakująco.

— A ty, dobra dusza, zrobiłaś im parę ściągów przy ubraniach, co? — pytał dalej mężczyzna, wskazując nieprawdopodobnie brudnym palcem w kierunku bluz, leżących na stole.

— Ale już skończyłam — odrzekła kobieta tym samym bezdźwięcznym, obojętnym głosem.

— Mało użyteczna praca — rzucił oschłym tonem — co znaczy w bluzie żołnierza jedna dziura mniej lub więcej? Ilu z tych chłopaków wróci z jutrzejszego rajdu, jak ci się zdaje? Większość tych starannie wyreperowanych bluz wzbogaci garderobę naszego przyjaciela „fryca” z tamtej strony okopów, jestem pewien tego.

— Może — przytaknęła kobieta z ciężkim westchnieniem.

— Ilu z nich wyruszy jutro? — spytał.

— Nie wiem. Wszyscy mieszkańcy naszego domu mają lecieć.

— A ilu wróci według ciebie?

Kobieta zadrżała i mocniej zacisnęła wąskie, bezbarwne wargi. Yankes zaśmiał się rubasznie i wzruszył ramionami.

— Ci angielscy lotnicy są zuchwali — rzekł wesoło. Nawet „fryc” im to przyznać musi. Narażają się na szalone niebezpieczeństwa! Nie sądzę, byś zobaczyła jutro wieczorem te bluzy z powrotem.

Kobieta milczała uparcie. Lucjan rzucił się na połamany fotel, który zajęczał pod jego ciężarem. Ona wstała i wzięła ze stołu wszystkie bluzy.

— Co znów z tym zamierzasz robić? — zapytał Lucjan płaczliwie. — Czy nie możesz posiedzieć spokojnie i porozmawiać ze mną?

Wyciągnął swe długie, muskularne ramię, dosięgnął! fałd jej sukni, pochwycił je i przyciągnął ją z nagłą gwałtownością do siebie. Usiłowała oprzeć się i chronić przed nim bluzy, tuląc je do piersi, ale wysunęły jej się i upadły na ziemię. Chciała się po nie schylić, ale nie zdążyła, gdyż Lucjan ujął silnie jej ramiona i zmusił ją do zwrócenia się twarzą ku niemu i do spojrzenia mu prosto w oczy.

— Więcej dbasz o nich niż o mnie — powtórzył z rubasznym śmiechem. — Zostaw te szmaty, mówię ci, i przynieś mi lepiej coś do picia. Co masz w domu?

Ale tym razem Alicja się uparła. Zazwyczaj nawet nie wypowiedziane życzenie Lucjana było dla niej święte, ale dzisiaj uwolniła się z jego uścisku i przyklękając, zaczęła zbierać bluzy, rozrzucone po podłodze. Lucjan obserwował ją spod przymkniętych powiek, na jego chudej, opalonej twarzy widniał w tej chwili nieopisany wyraz okrucieństwa i ciekawości zarazem.

Nie był on widocznie przyzwyczajony do lekceważenia swoich zachcianek i oczywiście, pragnął wypróbować swą władzę nad tą zakochaną i głupią kobietą, bo nagle skoczył, kopnął bluzy, leżące jeszcze wciąż na podłodze, tak że pofrunęły od razu w najodleglejszy róg pokoju, te zaś, które Alicja podniosła i ze strachu przyciskała do siebie, wyrwał jej brutalnie z ręki.

— Powiedziałem ci — tutaj zaklął okropnie — żebyś zostawiła te szmaty i dała mi coś do picia.

Alicja zawahała się, trwało to kilka sekund, przyjrzała mu się uważnie, po czym twarz jej przybrała wyraz pokory i łagodności, wytarła o fartuch spotniałe dłonie, patrząc mu w oczy uległe. Lucjan pod wpływem tego spojrzenia zmienił wyraz, dzikość ustąpiła z jego twarzy, można było pomyśleć, że wstydził się wręcz swej brutalności.

— No, dobrze, moja miła — rzekł z pobłażliwym uśmiechem. — Nie chciałem ci zrobić przykrości, wiesz? Daj mi coś do picia, bądź dobrą dziewczyną. Gdzie chciałaś położyć te szmatki? — dodał łaskawie podnosząc porozrzucane bluzy.

Zwiędła twarz Alicji rozbłysła momentalnie radością, równą jej poprzedniej trwodze. Zdobyła się nawet na uśmiech.

— Mniejsza o nie, Lucjanie — odparła i szybkim ruchem starła fartuchem kurz ze stołu. Potem, stając tyłem do drzwi, dodała — odłożę je zaraz sama. Mogę ci przynieść butelkę tego wina, które niedawno przyniosłeś. Chcesz?

— Dobrze — zgodził się Yankes. — A potem możesz nareszcie usiąść spokojnie i odpocząć. To twoje ciągłe szycie i cerowanie działa mi na nerwy. A przy tym — ciągnął dalej, układając pozbierane z podłogi bluzy na stole — nie rozumiem, po co śleczowałaś nad tymi bluzami. Przecież one są zupełnie nowe, nie zniszczone.

Zaczął je obracać na wszystkie strony, miał słuszną rację, były to zupełnie nowe, piękne mundury koloru khaki, eleganckie i świetnie skrojone, takie, jakie rząd angielski z dumą i radością sprawiał swoim wojskowym. Alicja zatrzymała się przy drzwiach i stała jak wryta: nagle zwrócił się do niej i już zwykłym swym tonem huknął:

— Czy przyniesiesz mi nareszcie to wino, czy nie?

Kilka sekund po jej wyjściu z pokoju Lucjan Amerykanin, opierając swą brudną rękę na mundurach, stał bez ruchu z oczami wlepionymi w drzwi, za którymi zniknęła Alicja. Nadstawiał ucha, pilnie się wsłuchując w odgłos oddalających się kroków. Gdy kroki prawie ucichły i tylko słychać było stłumiony stuk obcasów na kamiennych schodach, prowadzących do

piwnicy, cała jego postawa uległa raptownej zmianie. Rzucił niedopałek cygara, chwycił jedną z bluz i zaczął ją obmacywać starannie, uważnie, oburącz, aż wreszcie nerwowe jego palce wyczuły coś, co lekko zaszeleściło, gdy się tego dotknął.

Lucjan Amerykanin odetchnął z ulgą, a w jego głęboko osadzonych oczach zabłysła iskierka tryumfu. Teraz już pewniejszymi i szybszymi ruchami obmacywał jedną bluzę po drugiej i w każdej natrafiał w tym samym miejscu na to coś szeleszczącego, najwidoczniej wszytego między wierzch a podszewkę. Twarz jego podczas tego odkrycia przybierała stopniowo wyraz wręcz ohydny: oczy rozszerzyły się jak u drapieżnego zwierzęcia w chwili głodu i złowrogo świeciły w półmroku słabo oświetlonej izdebki, wargi wydał tak, że odsłonił białe zęby, ostre i błyszczące, jak u wilka.

— A więc to tak? — mruknął kilkakrotnie. — Jak na kobietę wcale nieźle. Czy też to jej własny pomysł, ciekaw jestem?

Nagle usłyszał odgłos kroków Alicji, wchodzącej z piwnicy po kamiennych schodach. Położył bluzy z powrotem na stole, po czym podszedł do okna, rozsunał Firanki i gwizdnął mocno i przeciągle. Momentalnie odpowiedział mu gwizd gdzieś daleko w ciemnościach.

Alicja weszła do pokoju, niosąc butelkę i kubek. Badawczym spojrzeniem obrzuciła pokój i zatrzymała wzrok sekundę dłużej na stosie mundurów rzuconych na stół. Widząc, że są ułożone dość porządnie, uspokoiła się najwidoczniej i postawiła na stole butelkę i kubek. Wyjęła z kredensu korkociąg i zabrała się do otwierania butelki, Lucjan przyglądał się jej z uśmiechem, którego dziewczyna wołała sobie nie tłumaczyć. Teraz postąpił ku niej. Ręce miał w kieszeniach. Odkorkowała butelkę i nalewała wino do kubka, gdy nagle Lucjan błyskawicznie objął ją i ścisnął za szyję żelazną ręką, równocześnie drugą rękę położył jej na ustach.

Nie zdążyła krzyknąć ani się szarpnąć. Butelka wypadła jej z ręki, stukła się na podłodze, po której popłynął strumień wina. Oczy kobiety, rozszerzone z przerażenia, patrzyły w przestrzeń, ręce jej z szeroko rozwartymi palcami wyciągnięte były ku niemu. Lucjan nic nie mówił: pilnował tylko, by się ruszyć nie mogła. Trzymał ją tak niecałe 20 sekund, w czasie których z przerażenia o mało nie straciła przytomności, zewnątrz rozległy się kroki i w tejże chwili do izdebki weszło dwóch mężczyzn w grubych cywilnych ubraniach. Lucjan Amerykanin dał im znak oczami, oni w milczeniu, prawie bez szmeru, otoczyli kobietę i szybko, bez wahania

wyprowadzili ją za drzwi. Szła jak lunatyczka z zamkniętymi oczami i mocno zaciśniętymi ustami, na twarzy jej widać było przerażenie.

Lucjan Amerykanin został sam w pokoju, wziął do ręki jedną z bluz i starannie spruł nożyczkami Alicji szwy w podszewce. Zręczne jego palce nerwowo zaczęły szperać w rozprutym miejscu, aż się doszukał czegoś szeleszczącego, co wydobył i obejrzał. Był to maleńki kawałeczek papieru, pokryty drobnym pismem i zwinięty w najmniejszą rurkę, jaką można było tylko utworzyć. Przy migocącym świetle lampy Yankes usiłował odszyfrować pismo, twarz jego stała się nieruchoma jak marmur. Wyglądało to, jakby całe zdarzenie przestało go interesować zupełnie z chwilą zdemaskowania kobiety.

Papier zawierał informacje niesłychanej doniosłości dla Niemców. Przebiegłszy wzrokiem treść, Lucjan złożył karteczkę we dwoje i wsunął ją do notesu, który nosił w zanadrzu. Następnie zbadał w ten sam sposób zawartość każdej bluzy po kolei, wszystkie zawierały taką samą karteczkę tej samej treści. Wszystkie te karteczki Lucjan wyjął z podszewki mundurów angielskich i schował w swoim notesie.

Tylko co skończył tę pracę, gdy całe miasteczko rozbrzmiało radosnymi dźwiękami „Tipperary”, pieśni śpiewanej przez kilkanaście młodych głosów. W chwilę później do domu wpadło sześciu chłopców w mundurach khaki.

Rozległo się wołanie: „Alicjo! Alicjo! Gdzie jesteś, o Alicjo! Moja Alicjo!” — Jeden z chłopców zaintonował „Róże Pikardii”.

— Halo, Yankes! — wykrzyknął inny, spostrzegłszy Lucjana. — Co do diaska zrobiłeś z Alicją?

— Wróci niedługo — odpowiedział Lucjan. — Przyrzekłem wyjść jej naprzeciw, idę więc. — Do zobaczenia.

Wybiegł z małego domku, a po chwili zniknął w ciemnościach.

\* \* \*

Trzy dni później. W pół godziny po pierwszym brzasku. W przeciętnie umeblowanym pokoju ratusza w Lille siedział starszy pan i jadł pierwsze śniadanie. Miał twarz inteligentną o regularnych rysach, siwiejące włosy były starannie zaczesane tak, by mogły ukryć początki łysiny. Od czasu do czasu spoglądał niecierpliwie na drzwi na wprost krzesła i też z niepokojem zerkał na zegar wiszący na ścianie.

Naraz cała twarz mu się rozjaśniła, oczy patrzyły z wyraźną ciekawością. Usłyszał ostry dźwięk głosu, dochodzący z sąsiedniego pokoju i domagający się kategorycznie rozmowy z panem de Kervoisin.

Wszedł służący, ale pan de Kervoisin nie dał mu dojść do słowa.

— Czy Nr 10 przyszedł? — zapytał ostro, niecierpliwie i zaraz dodał: — Prosić.

Wysoki, chudy, nieogolony mężczyzna w obdartej odzieży wsunął się do pokoju, ręce trzymał w kieszeniach, kącikiem ust przygryzał niedopałek cygara. Dziwna rzecz, elegancki, wyrafinowany i dobrze urodzony pan de Kervoisin przyjmował tego niezwykłego przybysza z wyszukaną grzecznością. Wstał na przywitanie, uściśnął mu serdecznie rękę, podsunął krzesło i poczęstował kawą, likierem i papierosem. Przybysz odmówił jednak przyjęcia poczęstunku, ale na fotel rzucił się z widocznym zadowoleniem.

— Zmęczony, prawda, przyjacielu? — zatroszczył się uprzejmie pan de Kervoisin.

— Naturalnie — odrzekł tamten krótko. — Blisko dwie godziny byłem na nogach.

— No tak, brak snu — mruknął z uśmiechem pan de Kervoisin. Po czym dodał sucho: — I pewne wzruszenie...

— Wzruszenie? — odrzucił tamten z rubasznym śmiechem. — Nic nie odczułem, może mi pan wierzyć, najwyżej pewną przyjemność.

— Co? Na widok rozstrzelania kobiety?

Mężczyzna, określony kryptonimem Nr 10, odrzucił niedopałek cygara, wybrał sobie starannie jednego papierosa z papierośnicy pana de Kervoisin, zapalił go powoli, po czym nareszcie odpowiedział:

— Tak, mój przyjacielu... na widok rozstrzelania kobiety. Czy nigdy pan nie widział żadnej istoty ludzkiej rozstrzelanej lub wieszanej?

— Nie, nigdy — odpowiedział pan de Kervoisin, otrząsając się. — I mam nadzieję, że nie zobaczę nic podobnego.

— Jest to wrażenie, którego warto doznać — zauważył przybysz, wypuszczając kłęby dymu przez rozchylone wargi. — Tak — dodał suchym tonem — stanowczo warto go doznać.

— Ach — westchnął pan de Kervoisin — wy Anglicy jesteście zdumiewający.

— Może. Ośmielę się jednak sprostować, że to wam się takimi wydajemy — odparł Nr 10 — ale my nie rozstrzelujemy kobiet.

— To mogę zrozumieć. U was szpieg jest mniejszym i rzadszym niebezpieczeństwem niż u nas, ta kobieta zaś była naprawdę niebezpieczna.

— Była niebezpieczna, ponieważ była tak nadzwyczajnie mądra. Przy całym moim doświadczeniu nigdy nie spotkałem takiej pomysłowości i sposobu, jakim się ona posłużyła.



— Jej terenem pracy było lotnisko angielskie pod Guillaumet, powiedział mi pan, prawda?

— Tak jest, przy czym liczyła ona, że na każde sześć samolotów . angielskich, najmniej trzy będą zestrzelone przez linie niemieckie. Wszywała więc wszelkie informacje, jakie mogła zebrać, w mundury lotników. Bardzo mądry pomysł. — Nr 10 zamyślił się i dodał:

— Właściwie tylko przypadkiem do tego doszedłem. Uśmiechnął się i zapatrzył przed siebie. Przed oczami przesunął mu się obrazek z niedawnej przeszłości: okaleczony domek w Guillaumet, szyjąca nad stołem Alicja Gerbier, przed nią bluzy khaki, on sam, przebrany za portiera szpitalnego, popularnie zwany Lucjanem Amerykaninem, nie wiedzieć dlaczego, bo na pewno nie był Amerykaninem — on, krążący koło tej kobiety tygodniami, podejrzewając ją początkowo, potem pewnym będąc zdrady, ale nie mogąc dociec, jakimi drogami ona się komunikuje z wrogiem. A informacje, niezmiernie cenne dla Niemców, pochodziły najwyraźniej z bezpośredniej bliskości lotniska. I znów ujrzał siebie, tropiciela szpiegów, agenta kontrwywiadu, jak starannie zastawiał sidła, w które już od początku świata wpadło tyle kobiet, sidła, którymi są: schlebianie próżności kobiecej i wyzyskanie staropanieńskiej tęsknoty za miłością. A do tych obrazów przybył mu obecnie jeszcze jeden: obraz Alicji Gerbier na podwórzu więziennym w Lille, opartej plecami o mur, z zawiązanymi oczami, na wprost niej pluton żołnierzy z podniesionymi karabinami. I w miarę jak te obrazy przesunęły się przed jego oczyma, na twarzy mężczyzny występował wyraz bezlitosnego okrucieństwa, wyraz ohydny, wstrętem napełniający niemego widza tej niemej sceny.

Pan de Kervoisin dyskretnie chrząknął. Nr 10 zbudził się ze swych rozmyślań.

— Jest pan niezawodnie królem agentów wywiadowczych, mój przyjacielu — rzekł uprzejmie pan de Kervoisin. — Nie wiem, co byśmy zrobili bez pana. Ale Alicja Gerbier jest bezwzględnie ukoronowaniem pańskiej działalności.

Nr 10 zaśmiał się dziko.

— Tak, tak — rzekł zimno — było to na pewno wrażenie, którego warto było doznać.

\* \* \*

Piotrowi Blakency wydały się zaręczyny Rosemary Fowkes z jego przyjacielem Tarkingtonem nie tylko nieprawdopodobne, ale wręcz niemożliwe. Koniec świata! Śmiertelny cios! Piekło na ziemi!

Ale nie, to nie mogło być prawdą.

Tego dnia grał on u lorda. Tarkington obwieścił mu tę nowinę w czasie przerwy śniadaniowej, a Piotr przez chwilę myślał, że po raz pierwszy w życiu Tarkington się upił. Ale Tarkington wyglądał jak zawsze poważnie, obojętnie i był niezmiernie uprzejmy. Istotnie, chciał być szczególnie uprzejmy w tym właśnie dniu. Może wiedział. Może mu Rosemary powiedziała. Kobiety są takie dziwne. Może mu powiedziała, że on, Piotr, był niegdyś dość szalony, by...

Faktem jest, że Tarkington był trzeźwy, bardzo poważny i uprzejmy. Powiedział Piotrowi swym zwykłym tonem, spokojnym, chłodnym, że uważa się za najszcześniejszego człowieka na ziemi. Naturalnie, że nim był, jeżeli Rosemary... Ale to niemożliwe. Niemożliwe! Niemożliwe!

Piotr grał tego dnia ze szczególną zawziętością.

Wieczorem poszedł na bal Akademii Sztuk Pięknych do Albert Hallu. Wiedział, że Rosemary będzie tam. On zaprojektował jej kostium. Tarkington wspomniał mu kilkakrotnie w ciągu popołudnia, że wstępuje przed balem po narzeczoną.

Jego narzeczoną! Kochany, poczciwy Tarkington! Taki uprzejmy, taki obojętny! On ma być mężem Rosemary! Boże święty!

W Albert Hallu Piotr miał na sobie piękny węgierski kostium narodowy, który kiedyś należał do jego dziadka, wspaniały kostium o przepychu niemal barbarzyńskim, przetykany kamieniami bezcennej roboty jubilerskiej z XV-go wieku i ozdobiony jeszcze biżuterią, odziedziczoną po matce Piotra.

Przed pójściem na bal Piotr ubierał się długo tego wieczoru, ze szczególną dbałością. Wszystko, co się robi, należy robić dobrze, a przy tym Rosemary powiedziała kiedyś, że chętnie by go zobaczyła w tym kostiumie.

Ale podczas ubierania się i potem, w czasie jazdy do Albert Hallu, Piotr miał uczucie, że życie straciło sens. Cały świat przedstawiał mu się jako nierealny obraz, gdzieś majaczący we mgle. W głowie mu się mąciły wspomnienia z dalekiej przeszłości, rozwiane marzenia, sny i jawa, a przez to wszystko przewijały się, niczym myśl przewodnia, zdarzenia ostatniej doby, owego nieszczęsnego dnia.

Ale w Albert Hallu odzyskał, rzecz zrozumiała, poczucie realności. Panował tu ścisk nieopisany, kroku nie można było zrobić, nie mówiąc o tańcu. Mimo to pary wirowały w tańcu jak szalone przy dźwiękach iście szatańskich, których sprawcami byli kolorowi dżentelmeni, zaopatrzeni w piekielne instrumenty, to nazywało się muzyką taneczną. Piotr patrzył i

słuchał, a w myślach jego dźwięczał tylko jeden refren: Tarkington zaręczony z Rosemary Fowkes!

Jutro w jednym z pism lokalnych ukaze się sprawozdanie z balu, w którym figurować będą te wirujące tysiące par oraz tysiące widzów, wszyscy wymienieni z imienia i nazwiska: „Zauważyliśmy również wśród obecnych...”

On, Piotr Blakenoy, znany sportowiec, wybitny mistrz krokieta, również będzie wymieniony „wśród obecnych” i we wszystkich tygodnikach zamieszczona zostanie jego fotografia z grymasem utrwalonym na twarzy i z oczami utkwionymi w jeden punkt, jak oczy lunatyka. Warto było zapłacić dwie gwinee z kolacją włącznie za przywilej figurowania na liście obecnych wśród tego dystyngowanego towarzystwa marionetek.

Wzmianki te będą bardzo interesujące dla różnych pań z prowincji i z okolic Londynu, które, czytając je, będą miały, choć przez chwilę, rozkoszne złudzenie, że należą do tego wykwintnego świata.

Piotr, jakby nieobecny fizycznie, patrzył na ten tłum. Boże święty! Ile tu kształtów, ruchu, ile barw! W oczach mienia się wachlarze, kostiumy, fryzury, ozdoby włosów i brosze u sukien i płaszczy, pióra różnokolorowe! A ile zgiełku! Rozmowy nie ustają ani na chwilę, każdy stara się przekrzyczeć sąsiada i nie dać się zagłuszyć przez ten okropny hałas. Panuje tu atmosfera podniecająca i nerwowa, atmosfera zapachów: kosmetyki, perfumy mieszają się z bogactwem nieokreślonych woni przesycających powietrze.

Całość wygląda malowniczo. Nie obywa się przy tym bez momentów humorystycznych: Maria Antonina flirtuje z Robespierrem, rosyjski chłop gawędzi poufnie z ubrylantowaną Katarzyną II, królowa Elżbieta zaszczyca swą łaskawością przedhistorycznego człowieka odzianego w skórę. Roi się aż od pierrotów niebieskich, żółtych, białych, czarnych, pomarańczowych, jedwabnych, bawełnianych. Pierroci są tu wszyscy ożywieni i weseli, ani śladu tradycyjnego smutku z powodu Kolombiny!

Ze swego punktu obserwacyjnego Piotr mógł objąć wzrokiem półkrąg łóż, gdzie siedziało ze sto dziwnych postaci przyglądających się tysiącom przebierańców snujących się i wirujących na dole.

Piotr rozmyślał nad celowością tych istnień, a raczej nad ich bezcelowością. Po co ich Pan Bóg stworzył? Ruszali się ci ludzie machinalnie, śmiali się, poruszali wargami, powiewali wachlarzami, zapalali papierosy, nie wiedząc, że są tylko namiastką człowieczeństwa, tak jak Piotr od chwili, kiedy się dowiedział, iż Rosemary przyrzekła Tarkingtonowi, że

zostanie jego żoną. Od tego momentu poruszał się mechanicznie, a dusza jego przestała żyć.

Nagle marionetki zniknęły. Całe towarzystwo jakby we mgle się rozpląnęło, nie było już holu, tańca, muzyki, pierrotów. Była tylko Rosemary. A ona podeszła do Piotra i rzekła wesoło, naturalnie, dobrze znanym mu głosem:

— Zatańczy pan ze mną, panie Piotrze?

W tańcu wolno, a nawet należy objąć partnerkę ramieniem. Piotr zatańczył z Rosemary.

\* \* \*

Lady Orange miała stałą lożę w Albert Hallu. Tak bowiem „wypadało”. Dawało jej to sposobność urozmaicenia pobytu w Londynie licznym cudzoziemcom, zwiedzającym lub zatrzymującym się tu dla interesów.

Lady Orange szczyliła się swym kosmopolityzmem i lubiła otaczać się wybitnymi cudzoziemcami: członkowie i attache mniejszych poselstw byli stałymi gośćmi na jej proszonych obiadach i śniadaniach. Szczyliła się również swą „dwujęzycznością” i rzeczywiście mówiła po francusku z genewskim akcentem. Uważała, że należy do dobrego tonu okazywanie znudzenia na każdej zabawie towarzyskiej, z wyjątkiem rozrywek organizowanych przez nią w domu. I teraz, kiedy pochód postaci w kostiumach przesunął się przed jej lożą, wyrzekła znudzonym tonem:

— Według mnie wykazują oni dzisiaj dziwny brak fantazji. Artyści z Chelsea mogliby wykazać więcej pomysłowości, stworzyć coś malowniczego, jedyne w swoim rodzaju.

— Oni głównie myślą o zabawie, przypuszczam. Ale innym dają impuls do pomysłów i działania, czy nie?

Mężczyzna, siedzący obok lady Orange mówił, żywo gestykulując w sposób zdradzający z daleka cudzoziemca, o czym świadczyły też szczegóły jego garderoby: kamizelkę miał bardzo wyciętą, krój fraka był niemal doskonały, na palcu świecił brylantowy pierścień. Miał wielkie, ciemne oczy, którymi rozglądał się bezustannie, zwracając się do kobiet, oraz mięsiste wargi, na pół ukryte pod dużym, czarnym wąsem. Głos jego brzmiał dźwięcznie i melodyjnie, a wymowa angielska zdradzała cudzoziemca. Mówił z akcentem ni to słowiańskim, ni to włoskim, a właściwie nie był to żaden z nich, tylko jakaś dziwna mieszanina. Ręce duże, kształtne, pokryte były drobnymi włoskami aż po końce palców.

Lady Orange spojrzała na niego swymi głęboko osadzonymi jasnymi, okrągłymi oczyma z wciąż uniesionymi łukami brwiowymi, które nadawały jej twarzy wyraz ciągłego zdumienia.

— Ach! Oui! — westchnęła. — Ach, tak, ma pan rację.

Chciała mówić dalej po francusku, ale generał Naniescu był wyraźnie zdecydowany na prowadzenie rozmowy w języku angielskim.

Lady Orange zaś pragnęła usposobić generała jak najlepiej: niebawem wybierała się do Bukaresztu i chciała być przedstawiona u dworu.

— Jak pan świetnie włada naszym barbarzyńskim językiem, panie generale! — rzekła uprzejmie.

— Ach, madame — odparł generał, wzruszając lekko ramionami — w naszym kraju zmuszeni jesteśmy znać obce języki, by móc doskonalić się poprzez prowadzenie konwersacji z przewyższającą nas pod każdym względem inteligencją zachodu, która jest dla nas tak życzliwa.

— Jest pan zawołanym pochlebcą, generale — odrzekła lady Orange z miłym uśmiechem. — Nieprawdaż, ma chere? — To mówiąc, uderzyła z lekka wachlarzem kolana starszej pani, siedzącej obok generała z lewej strony.

— O, mademoiselle Fairfax nie zważała na naszą żartobliwą pogawędkę — odparł generał, zwracając swe łagodne spojrzenie ku ironicznej starej pannie.

— Nie — przyznała chłodno miss Fairfax.

— Pan de Kervoisin usiłował właśnie przekonać mnie do tego nudziarza Marcela Prousta. Nie powiodło mu się to zresztą.

— Ach! — wykrzyknął uprzejmie, Naniescu — wy — panie angielskie, jesteście niezrównane. Takie inteligentne i tak rozkosznie uparte! Takie dumne z waszej wspaniałej literatury, przy której nawet moderniści francuscy bledną w waszych oczach.

— Widzisz, ma chere — wtrąciła lady Orange ze swoją zwykłą nonszalancją — zawsze ten sam pochlebca!

— Jak można nie być pochlebcą, droga lady, gdy od kilku godzin człowiek jest pod wrażeniem piękna, przepychu i dowcipu? Niech panie popatrzą na ten barwny tłum przed nami — ciągnął dalej generał, wskazując ręką na kolorowy korowód. — Oślepnąć można od blasku i piękna. Czy nie mam racji, mój drogi Kervoisin?

Ostatnie zdanie wypowiedziane zostało po francusku, ponieważ pan de Kervoisin nie rozumiał ani słowa po angielsku. Był to mały, niepozorny człowieczek o rzadkiej szpakowatej bródce i rzadkich szpakowatych

włosach, starannie zaczesanych tak, by skryły łysiejące miejsca. Wokół poważnych oczu rysowała się sieć zmarszczek, były to oczy o ostrym, przenikliwym spojrzeniu, ale na dnie źrenic kryła się łagodność. Pan de Kervoisin, jak wskazuje jego nazwisko, pochodził z Bretanii. Był doradcą finansowym całego szeregu małych nowo powstałych państweczek, pozostających pod protektoratem francuskim. Zachowywał się powściągliwie i ze spokojem, gdy mowa była o kwestiach społecznych lub politycznych, usuwał się w cień, ożywiał się tylko, gdy rozmowa schodziła na tory literatury lub sztuki. Wolałby siebie widzieć w roli mecenasa, niż w roli finansisty. Bardzo interesował się Marcelem Proustem, ponad wszystko cenił modernizm, a ponadto uważał za sprawę najważniejszą, by do jego kraju docierały informacje z dziedziny literatury i sztuki.

Chwilowo był trochę poirytowany, bo miss Fairfax — bezpretensjonalna, ale niewiele mająca do powiedzenia starsza dama — nie chciała przyznać, że ani jeden ze współczesnych pisarzy angielskich nie dorównuje Proustowi. Na uwagę generała odpowiedział sucho:

— Bardzo ładne widowisko, istotnie, mój drogi Naniescu, ale, wie pan, ja już tyle w życiu widziałem, że na mnie ten widok nie robi nadzwyczajnego wrażenia.

— Szkoda, żal mi pana — odrzekła miss Fairfax ze staropanieńską szorstkością. — Ja również dużo widziałam w świecie, ale zawsze z przyjemnością spoglądam na pięknych ludzi. Spójrzcie państwo teraz na Rosemary Fowkes — mówiła dalej, zwracając się właściwie do wszystkich. — Czy widzieliście kiedyś coś piękniejszego?

Skinęła kilkakrotnie głową w kierunku tańczącej na dole pary, która jej się ukloniła. Lady Orange spojrzała w tamtym kierunku swym wiecznie zdziwionym wzrokiem, a generał Naniescu wydał okrzyk przesadnego podziwu. Nawet pan de Kervoisin okazał zainteresowanie.

— Kim jest ta pani? — zapytał.

— Rosemary Fowkes — odrzekła miss Fairfax — jedna z najwybitniejszych...

— Ach — przerwał generał z odcieniem szyderstwa — błagam panią, mademoiselle, niech pani nie mówi nam o niej nic więcej. Urocze kobiety nie potrzebują innej rekomendacji, jak ich własny czar. Ona jest wybitna, bo jest piękna. Czymże więcej może być kobieta, jak nie najpiękniejszym tworem Opatrzności, czarodziejką?

— Możliwe — odparła chłodno miss Fairfax — że rozgniewałyby mnie pańskie liryczne wynurzenia, generale, gdyby się odnosiły do innej kobiety.

Ładne kobiety są zazwyczaj głupie, bo przywykły od dzieciństwa posługiwać się intelektem wyłącznie dla podkreślenia swojej urody oraz dla samouwielbienia. Ale Rosemary Fowker jest wyjątkiem. Ona jest nie tylko piękna, ale i bardzo mądra. Przypomina pan sobie zapewne te artykuły, jakie wychodziły w „Przeglądzie Międzynarodowym” na temat: „Kłęska biurokracji na Bliskim Wschodzie?” Podpisane były „Uno” i nikt nie chciał wierzyć w swoim czasie, że autorką ich była kobieta i do tego młoda i piękna.

— „Uno” — wykrzyknął generał Naniescu i rzucił porozumiewawcze spojrzenie na pana de Kervoisin, który z kolei wydał okrzyk zdumienia. — Ach! — I przechylił się przez poręcz łoży, aby się przyjrzeć kobiecie, o której też była właśnie mowa.

Doprawdy, najbardziej liryczne określenia nie były przesadą, gdy odnosiły się do Rosemary Fowkes. Była ona jedną z tych kobiet, które natura w sposób szczególny obdarzyła wszelkimi zaletami ciała i duszy. Była wysoka, zgrabna, z twarzą bardzo piękną. Ale pięknych, bardzo zgrabnych kobiet jest sporo. Miała ona złoto-miedziane włosy i bardzo jasną, delikatną, lekko różową cerę. Jednak wdzięk Rosemary polegał zupełnie na czymś innym. Wdzięk ten był czymś nieokreślonym. Może oczy były tego przyczyną. Tak, tak, na pewno oczy nadawały jej postaci tyle niezwykłego wdzięku. Nie były niebieskie, ani zielone, ani szare, mieniły się wszystkimi tymi barwami na przemian, stosownie do nastroju Rosemary, wesołego, pogodnego lub poważnego. A gdy była wesoła lub pogodnie usposobiona, oczy te świeciły intensywnym blaskiem, około kształtnego noska tworzyły się z każdej strony trzy śliczne kreski — nie zmarszczki! — tak jak koło nosa zadowolonego lwiatka.

Jej złoto-miedziane włosy otaczały bogatymi falami białe czoło i kształtną głowę, a gdy się uśmiechała, drobne, białe zęby połyskiwały w jej pięknych ustach.

Rosemary Fowkes miała na sobie wspaniałą suknię wenecką z XV stulecia, której bogate fałdy spływały wzdłuż pięknej postaci i uwydatniały swymi barwami niezwykły odcień jej cery i włosów. Na suknię zarzuciła aksamitną mantylkę, wiązaną pod brodą, co podkreślało doskonałą linię owalu twarzy i piękne zaręsy czoła i policzków.

— Taka piękna kobieta nie ma prawa być mądra — rzekł z afektowanym westchnieniem generał Naniescu. — To nieszlachetne wobec innych przedstawicielek jej płci.

— Miss Fowkes jest istotnie bardzo bogato obdarzona przez naturę — zauważyła sucho lady Orange, która widocznie była mniejszą entuzjastką Rosemary Fowkes aniżeli miss Fairfax.

— A kimże jest ten szczęśliwy młodzieniec — zapytał pan de Kervoisin swym chłodnym, ironicznym tonem — który tańczy z czarodziejką?

— Piotr Blakeney — odrzekła lakonicznie miss Fairfax.

— Kim jest Piotr Blakeney?

— Piotr Blakeney, Piotr Blakeney! On nie wie, kim jest Piotr Blakeney! — wykrzyknęła lady Orange i ze względu na niezwykłość zdarzenia pozbyła się na chwilę swej nonszalancji, a oczy jej wyraziły jeszcze większe zdumienie niż zazwyczaj.

Kilku młodych ludzi siedzących w głębi łoży zachichotało i popatrzyło na cudzoziemca jak na szczególny okaz, tylko co sprowadzony do ogrodu zoologicznego.

— Niech pani pamięta, droga lady — wtrącił generał Naniescu,

— niewzruszony sensacją, jaką wywołał jego przyjaciel — że pan de Kervoisin i ja jesteśmy tu obcy i że nieznamość waszego pięknego języka jest przyczyną naszej niewiedzy w dziedzinie literatury i sztuki angielskiej, nawet gdy mowa jest o największych nazwiskach współczesności.

— Tu nie chodzi o nazwisko z dziedziny literatury lub sztuki, mon cher général — wytłumaczyła łaskawie lady Orange. — Piotr Blakeney jest jednym z największych mistrzów finezji, jakich kiedykolwiek miała Anglia.

— Aha! Polityka społeczna? — informował się przymilnym głosem pan de Kervoisin.

— Polityka — jaka?

— Mistrz finezji rewolucyjnej, zapewne to pani chciała powiedzieć, droga lady? — podtrzymał generał. — Skrajny komunizm, co? Pan Blakeney jest zatem wyznawcą Lenina?

— Nie rozumiem, co panowie mówicie — westchnęła lady Orange.

— Piotr Blakeney jest największym mistrzem krokietu, jakiego kiedykolwiek wydał Eton i Oxford.

— Krokietu! — wykrzyknęli jednocześnie generał i pan de Kervoisin.

Zapanowało przykre milczenie. Naniescu targał swój sumiasty wąs, a na ustach pana de Kervoisin zjawił się łagodny, prawie pobłażliwy uśmiech.

— Milo mi jest — rzekł po chwili uprzejmie Naniescu — przyglądać się, jak tańczy ta para mająca światowy rozgłos.

— Zwłaszcza, że oni oboje doskonale tańczą — również przytaknęła lady Orange spokojnie, jakkolwiek w duszy odczuwała pewien niepokój, jakąś



dziwną obawę, że ci dwaj cudzoziemcy wyśmiewają się w elegancki sposób z niej lub z czegoś, czego nie rozumiała.

— Można by sądzić — ciągnął dalej generał — że taki zdolny młody człowiek, jak pan Blakeney, ma jeszcze inną misję w życiu niż gra w kokieta.

— On nie ma czasu na nic innego — odezwał się z głębi łoża głos pełen oburzenia. Mówiącą była młoda kobieta o kręconych włosach — on reprezentuje Anglię, Australię, Afrykę Południową i to na całym świecie. Czy to nie wystarcza?

— W zupełności wystarcza, droga lady — zgodził się Naniescu z uprzejmym uśmiechem. — Doprawdy, byłoby nonsensem spodziewać się po największym — jak to pani powiedziała? — największym tajnym mistrzu gry finezji, że będzie tracił czas na jakieś tam inne bzdury.

— Mistrz, mon general, bez przymiotnika „tajny” — poprawiła pobłażliwie lady Orange — gra w kokieta nie jest zresztą „grą finezji”, poplątał pan wszystko, co powiedziałam, ja miałam na myśli, że on gra z finezją!

— To mistrz nad mistrze i jaki przystojny przy tym! — odezwała się znowu młoda kobieta w głębi łoża.

Miss Fairfax uśmiechnęła się lekko i rzekła: — Lubię bardzo tego młodzieńca, który ma, zresztą, w swej rodzinie tradycje sportowe. Jest on bowiem prawnukiem Szkarłatnego Kwiatu, bohatera z czasów Rewolucji Francuskiej.

Generał Naniescu poruszył się żywo.

— Teraz rozumiem. Gdy mowa w Anglii o Szkarłatnym Kwiecie można tylko uśmiechać się uprzejmie i trzymać język za zębami.

— Uważam — wtrąciła miss Fairfax — że Piotr jest najlepiej ubranym i najprzystojniejszym z obecnych mężczyzn.

— Zraniła mi pani serce tym powiedzeniem, droga lady — skarżył się żartobliwie generał — ale muszę przyznać, że potomek bohatera narodowego odziedziczył znaczną część urody po matce.

— Pan znał panią Blakeney, generale?

— Z widzenia tylko i jeszcze przed jej ślubem. Była ona rodem z Węgier, baronówna Heves. — Mówiąc to, generał wzruszył ramionami z lekkim odcieniem lekceważenia.

— Poznać, że wasz mistrz kokieta jest jej synem po sposobie noszenia przez niego węgierskiego stroju narodowego.

— Ciekawa jestem, co to za strój — powiedziała lady Orange, zadowolona w duszy, że rozmowa zesłała na sympatyczniejsze tory.

— Bardzo malowniczy i bardzo mu w nim do twarzy.

— Całkiem średniowieczny i azjatycki, nie uważa pani, droga lady? Arystokracja węgierska miała zwyczaj przed wojną ubierania się w ten dziki sposób na przyjęcia dworskie.

— I musiała bardzo ładnie wyglądać w tych strojach, sądząc po Piotrze Blakeney.

— Ja również znałam jego matkę — rzekła łagodnie miss Fairfax

— była to kochana istota.

— A więc ona nie żyje? — zapytał pan de Kervoisin.

— O, już od kilku lat nie żyje, drogi przyjacielu — odrzekł generał.

— Była to tragiczna historia, przypominam sobie, ale nie pamiętam szczegółów.

— Nikt nie wiedział nic dokładnie na ten temat — wtrąciła miss Fairfax tonem zamykającym w niedwuznaczny sposób dalszą dyskusję.

— Ale generał Naniescu, nie zważając na to, mówił dalej ze zwykłym sobie patosem w głowie — Kobiety węgierskie są przeważnie niezrównoważone. Ale, jeżeli panie nie mają nic przeciw temu, nie będziemy się dłużej zajmować tym młodym człowiekiem, bez względu na świetność jego krokietowej kariery. Dla mnie jest on ciekawy tylko jako tancerz naszej Wenus Afrodyty.

— Której Wulkanem byłby pan zapewne jeszcze chętniej — zauważył pan de Kervoisin z uśmiechem.

— Życzenie podzielane zapewne przez wielu, o ile się ten Wulkan już nie znalazł?

— Owszem, znalazł się w osobie lorda Tarkingtona — odparła miss Fairfax.

— Tak, to lord Tarkington? — zapytał znów generał.

— Stanowczo chce pan się dowiedzieć wszystkiego, mój drogi generale — rzekła lady Orange wesoło.

— Ach, kiedy mademoiselle Fairfax jest prawdziwą encyklopedią z dziedziny wiedzy towarzyskiej, a z drugiej strony, odkąd zainteresowałem się Afrodytą, muszę zaspokoić moją ciekawość w stosunku do Wulkana. Mademoiselle, błagam panią o dalsze szczegóły.

— I owszem — rzekła z humorem Julia Fairfax — mogą więc pana poinformować, że Gaspar Tarkington jest jednym z nielicznych bogatych parów angielskich, jakich jeszcze mamy w kraju, jest to tym godniejsze

podkreślenia, że wuj jego, zmarły Lord Tarkington był jednym z najuboższych parów. Nikt nie wie właściwie, skąd Gaspar ma majątek. Zdaje się, że ma on jakąś posiadłość na południowym wybrzeżu. Ale nie wiem dokładnie co i gdzie. Bądź co bądź, może on zapewnić Rosemary wszystko, czego jej potrzeba i wszystko, czego ona może pragnąć, z wyjątkiem bodaj...

Miss Fairfax urwała nagle i wzruszyła ramionami. Mimo prośby generała nie uzupełniła swego zdania.

— Lord Tarkington jest wielkim przyjacielem pańskiego kraju, generale Naniescu — rzekła nagle. — Musi go pan znać na pewno?

— Tarkington? — zamyślił się generał. — Tarkington? Nie przypominam sobie ale...

— Był on korespondentem „Daily Post” w czasie marszu waszych wojsk na Węgry w roku 1919.

— Myli się pani z pewnością, droga lady. Tarkington? Pamiętałbym dokładnie to nazwisko. Mój biedny kraj ma w Anglii tak mało przyjaciół, że nie mógłbym zapomnieć takiego człowieka.

— Lord Tarkington otrzymał swój tytuł lordowski dopiero po śmierci swego wuja rok temu — wytłumaczyła uprzejmie lady Orange.

— A przedtem miał z pewnością inny jakiś tytuł — westchnął z umyślną afektacją generał. — Ach! te wasze angielskie tytuły! Jeszcze jedna trudność więcej dla cudzoziemca, przybywającego do was. Znałem niegdyś jednego Anglika, który przyjeżdżał do nas do Rumunii na polowanie, przyjechał cztery razy w ciągu czterech lat i za każdym razem nosił inne nazwisko.

— Délicieux! — szepnęła lady Orange, uważając, że tym wyrokiem generał rumuński oddawał nieświadomy hołd arystokracji angielskiej. — Niechże mi pan opowie, jak to było, mój drogi, generale.

— Nie mogę dokładnie pani powiedzieć, kim był ten pan. Za pierwszym razem nazywał się Mr Oldemarsh. Następnego roku ktoś z jego rodziny zmarł i stał się on lordem Henry Oldemarsh. Jeszcze ktoś zmarł w rok później i zostawił mu tytuł wicehrabiego Rawcliffe, a gdy go widziałem po raz ostatni był on już margrabią Barchester. Od tego czasu straciłem go z oczu, ale nie wątpię, że gdy go zobaczę, będzie nosił znów inne nazwisko.

— Pan jest doskonały, mój drogi, — wykrzyknęła lady Orange, bardziej niż kiedykolwiek przeświadczona, że na świecie istnieje tylko jedna prawdziwa arystokracja, mianowicie angielska. — Nie dziwię się, że ten pan wprowadził pana w zakłopotanie, biedny generale.

Byłaby niezawodnie wdała się w długą rozprawę na ten temat, który ją wybitnie interesował, ale Naniescu i miss Fairfax wrócili znowu do Rosemary Fowkes i jej narzeczonego.

— Ja myślę — mówił Rumun — że lord Tarkington zrezygnował już definitywnie z pracy dziennikarskiej i publicystycznej?

— Tego nie wiem — odrzekła miss Fairfax. — Lord Tarkington nigdy o tym nie mówi. Ale Rosemary nie zrzeknie się swej pracy. Ona może być na razie zakochana w Gasparze, ale jej stałym zainteresowaniem jest siła, pozycja społeczna i polityczna, które zapewni jej pióro w większym stopniu niż bogactwo i pozycja Tarkingtona.

— Władza, potęga? — rzekł powątpiewająco generał. — Istotnie autor artykułów w „Przeglądzie Międzynarodowym” propagował hegemonię polityczną. Mojemu nieszczęsnemu krajowi niemało szkody wyrządziły te artykuły, a zbyt dumni byliśmy i zbyt biedni zarazem, by je zwalczać skutecznie. Tu w Anglii ludzie nie rozumieją, jak trudne jest okiełznanie takiego żywiołu rewolucyjnego, buntowniczego, jak Węgry, którzy wciąż jeszcze nie mogą pojąć, że to oni przegrali wojnę, a nie my.

Lady Orange wydała lekki okrzyk zgrozy.

— Na miłość Boską! — zawołała — nie mówmy o polityce, mon cher général...

— Przepraszam panią 'stokrotnie, łaskawa, droga pani — odrzekł ulegle — widok tej uroczej damy, która mojej biednej ojczyźnie narobiła tyle kłopotów, nasunął mi te myśli, nie powinienem był ich ujawnić w pani obecności, przyznaje.

— Sądzę, że chętnie by pan poznał Rosemary — rzekła praktyczna miss Fairfax ze swym sarkastycznym uśmieszkiem. — Może ją pan nawróci, kto wie?

— Jedynym moim życzeniem — odrzekł generał Naniescu z oczywistą szczerością w głosie — byłoby przekonanie jej o prawdzie i słuszności naszej sprawy. Zaszczycem byłoby dla mnie niewątpliwie poznać „Uno” i złożyć jej uszanowanie.

— Mogę panu to ułatwić bez trudu — odezwała się lady Orange. Przechyliła się przez poręcz łoża i żartobliwym ruchem, właściwym dla niej, dotknęła wachlarzem ramienia mężczyzny stojącego przed łożem.

— Po tym tańcu, Jerzy, powiedz Rosemary, żeby przyszła do mojej łoża — rzekła.

— Powie jej pan, że jeden znakomity Rumun pragnie złożyć hołd u jej stóp — dodała miss Fairfax.

— Czy sądzi pani, że sir Jerzy będzie miał wpływ na tę boginkę? — zapytał generał z niepokojem.

W tej chwili taniec się skończył, kolorowi muzycy przestali wyć i piszczeć, na dole zrobił się zamęt i nieopisany ruch par, które przeciskały się do wyjścia. Sir Jerzy Orange posłuszny wezwaniu swej żony usiłował się przedostać we wskazanym kierunku, lecz nadaremnie. Wrócił niebawem do łóży żony.

— Nie mogę jej znaleźć — rzekł, jakby tłumacząc się z niewypełnionego polecenia. — Zapewne poszła zjeść lody lub napić się lemoniady. Tarkington też jej szuka.

— Trudno — rzekła lady Orange spokojnie, a zwracając swe zdziwione spojrzenie na Naniescu, dodała — pan de Kervoisin i pan możecie nam towarzyszyć podczas kolacji, korzystając z przerwy. Na pewno znajdziemy Rosemary, przyrzekam to panu.

Część towarzystwa w łóży wstała i przeszła na wyższe piętro, gdzie wyjątkowo niestrawna kolacja czekała już na pierrotów, Marie Antoniny, Robespierrow, maharadzów itp. Wszyscy walczyli tu zawzięcie o niezbyt czyste widelce i szklanki również wątpliwej czystości. Tak, bal Akademii Sztuk Pięknych był wielkim sukcesem „sezonu”.

\* \* \*

— Czy napiłaby się pani czegoś? — zapytał Piotr Blakeney swą partnerkę kierując ją ku drzwiom sali.

— Owszem, mam pragnienie — odrzekła Rosemary — ale nie mogę się zdecydować na tę okropną kolację na górze.

— A zatem wsuniemy się do jednej z tych pustych łóż i ja pani przyniosę, co pani rozkaże.

— Znaleźli łóżę całkiem opustoszałą, której właściciele zapewne poszli na kolację. Rosemary siadła i zasunęła firankę, wydała lekkie westchnienie ulgi: nareszcie była sama, z dala od światła i ludzi. Piotr poszedł po wino, a ona została sama, patrząc zza firanki — nie widziana — na przesuwające się postacie. Gorąco jej było, serce biło jej mocno w piersiach, złoto-miedziane włosy przylgnęły do skroni, a koło nosa widniały drobne kropelki potu. Ostatni taniec był upajający. Piotr był idealnym tancerzem. Rosemary mimo woli westchnęła znowu, było to westchnienie żalu za tymi chwilami rozkoszy, które tak szybko mijają. Gaspar, myślała teraz, nigdy nie będzie dobrze tańczył, ale za to będzie miłym, poważanym, pełnym czułości mężem. Najmilszym mężem, jakiego sobie można życzyć w ogóle.

Oczy jej zaczęły patrzeć uważniej na salę taneczną. Ujrzała bowiem Gaspara, kręcącego się niespokojnie po całej sali. Kochany, biedny Gaspar! Widać było, że jej szukał. Zawsze jej szukał, gdy tylko nie byli razem, a jeżeli jej nie szukał w znaczeniu fizycznym i w terażniejszości, to gonił za nią myślami i wspomnieniem, starając się ją zrozumieć, odgadnąć, spełnić jej nawet nie wypowiedziane życzenie.

— Dobry, miły Gaspar, — westchnęła Rosemary i zamknęła oczy, chcąc odpędzić od siebie ten obraz, jaki jej się nasunął przypadkiem — widok Gaspara, szukającego jej z niepokojem tak widocznym w ruchach i wyrazie twarzy. Po chwili otworzyła oczy, zasunęła firankę jeszcze bardziej i cofnęła krzesło w głąb łoża. w cień.

Piotr wrócił, niosąc butelkę szampana i kieliszek.

— Czy to wystarczy? — zapytał, zabierając się do otwierania butelki.

— Naturalnie — rzekła — ale co dla pana?...

— Dla mnie?

— Tak, przyniósł pan tylko jeden kieliszek.

— Nie mogłem zdobyć więcej. Tam się rozgrywa istna bitwa. Roześmiała się.

— Tam musi być okropnie — zawołała.

— Piekło dantejskie — odpowiedział lakonicznie. Napełnił jej kieliszek i podał, wychyliła go z rozkoszą.

— Pyszne! — wykrzyknęła.

Przyglądał się jej wysoko zarysowanym łukom brwi i zmarszczkom tworzącym się koło nosa.

— Słyszałam, że grał pan dziś nadzwyczajnie, panie Piotrze, „Evening Post” napisał ogromny artykuł o panu.

Podawała mu kieliszek do powtórnego napełnienia.

— Teraz na pana kolej.

— Czy pani już pić nie będzie? - zapytał.

— Dziękuję, na razie nie.

Wyciągnął rękę i ujął palcami jej palce, trzymając jeszcze wciąż kieliszek. Usiłowała uwolnić swą rękę i podczas tej krótkiej walki kieliszek spadł na podłogę i rozprysnął się na drobne kawałki.

— Jedyne nasz kieliszek! — wykrzyknęła Rosemary. — Panie Piotrze — dodała, śmiejąc się nerwowo. — Czy puści pan moją rękę?

— Nie — odparł i ujął mocniej palce ręki, którą usiłowała uwolnić.

— Nieraz już było mi wolno trzymać panią za rękę. Dlaczego dziś mi nie wolno?

Wzruszyła ramionami i przestała walczyć.

— Czy nigdy już nie będzie mi wolno trzymać pani za rękę? — zapytał.

Ale ona już odwróciła głowę w inną stronę. Najwidoczniej interesowała się żywo tłumem, krążącym na dole.

— O, panie Piotrze — zawołała wesoło. — Niech pan spojrzy na panią Oppert w tym dziewczęcym stroju z roku 1840. Co za karykatura! Rozmawia teraz z Immy Ransomem...

Znów spróbowała uwolnić swą rękę i znów ją przytrzymał. Zwróciła się ku niemu ze ściągniętymi brwiami.

— Panie Piotrze — rzekła surowo — jeżeli pan zamierza robić głupstwa, to odchodzę stąd natychmiast.

— Co pani nazywa głupstwami? — odpowiedział pytająco. — Trzymanie pani za rękę? Dopiero co trzymałem panią w ramionach podczas tańca.

— Nazywam to jednak głupstwem, panie Piotrze — odparła zimno — czy wolałby pan, bym to nazwała niełojalnością?

— Zbyt mądra jest pani na to, Rosemary — odpowiedział — niełojalność jest cechą wyłącznie kobiecą, wie pani o tym dobrze.

— Piotrze!

— O! Ja wiem! Ja wiem! — mówił dalej, bardzo wolno, ale z naciskiem i puścił jej rękę. — Pani teraz zostanie żoną Gaspara, żoną mego najlepszego przyjaciela. Więc jeżeli mi się zdarzy zatrzymać rękę pani w dłoniach sekundę dłużej, niż na to pozwala konwenans, to nazwie to pani niełojalnością, czy ja wiem? — Podłością lub innym brzydkim wyrazem, który pani w danym momencie przyjdzie na myśl. Ja muszę się stać zatem mniej niż przyjacielem, mniej niż dalekim kuzynem — mnie nie wolno trzymać pani ręki, innym wolno, mnie nie. Oni mogą przychodzić, zaglądać pani w oczy, patrzeć na pani uśmiech — Boże! Rosemary, czy ja już nigdy nie spojrzę w pani oczy, nigdy?!

Przez chwilę zdawało się, że odpowie mu wprost, poważnie, zarumieniła się bowiem i oddychała szybko, jakby powstrzymując cisnące się na usta słowa. Ale nagle wybuchnęła śmiechem.

— Piotrze — zawołała — nie wiedziałam, że pan czytuje Browninga. Śmiech jej otrzeźwił go. Ale nie zrozumiał jej słów, bo, marszcząc brwi, zapytał:

— Browninga?

— No, tak — rzekła wesoło — nie pamiętam już dokładnie, jak to brzmi: „pragnę trzymać twoją rękę, którą inny trzymał już...” — Coś w tym rodzaju.

Nie dał po sobie poznać, jak bardzo go dotknęła, usiadł obok niej, ściskając obie swe dłonie kolanami.

— Dlaczego mnie pani nienawidzi, Rosemary? — zapytał cicho.

— Ja nienawidzę pana, mój drogi Piotrze! — zawołała. — Co panu do głowy przyszło? Musi pan być chyba przemęczony albo też szampan uderzył panu do głowy.

— Wiem, że zasługuję na wszelkie lekceważenie, naturalnie — odrzekł gorzko — ale gdy się naraziło człowieka na straszne rozczarowanie, nie należy przynajmniej znęcać się nad nim.

— Nie miałam zamiaru urazić pana, Piotrze — odparła Rosemary miękko. — Ale gdy pan mówi nonsensy, muszę we własnej obronie oblać pana zimną wodą.

— Nonsensy! Żebym to ja mógł mówić nonsensy, robić je, przeżywać! Żebym to ja mógł nie uzmysłowić sobie tego faktu, że pani przyrzekła Gasparowi, że zostanie jego żoną i tego, że ja panią straciłem na zawsze.

— Stracił mnie pan, panie Piotrze? — odrzekła nie bez gorzkości w głosie. — Czyż pan się kiedykolwiek starał o mnie naprawdę?

— Kochałem panią, Rosemary — rzekł Piotr Blakeney bardzo wolno i bardzo uroczyście — kochałem panią od pierwszego wejrzenia.

Wzruszyła ramionami, chcąc najwidoczniej okazać całkowitą obojętność.

— Wiedziała pani o tym, Rosemary.

— Wiem, że pan to mówił nieraz, to wiem tylko — odrzekła zimno.

— Wiedziała pani o tym owej nocy, kiedy pani była w mych objęciach, tam nad rzeką, tuliła się pani do mnie z zamkniętymi oczami i z ustami na moich ustach. Wiedziała pani o tym wówczas, Rosemary — mówił z naciskiem.

Przesunęła się szybkim ruchem w najciemniejszy kąt łoża, nie mógł widzieć wyrazu jej oczu. Ale czuł, że jakiś instynkt zabraniał jej wspominać, że nie chciała myśleć o tej cudownej czerwcowej nocy przy świetle księżyca. Czuł, że chciała uciec od niego, ale że coś ją powstrzymywało od ucieczki, zmuszało do słuchania go, mimo wszystko.

— Nie mówmy o przeszłości, Piotrze — wyszeptała w końcu, niemal błagalnie.

— Po raz ostatni chcę o niej mówić dziś właśnie, Rosemary — odrzekł spokojnie. — Po tej rozmowie odchodzę z życia pani, ginę w tłumie. Nie dotknę już nigdy ręki pani, spróbuję jej nie widywać, nawet w mych snach. Chociaż reaguję wszystkimi zmysłami na dźwięk pani głosu, spróbuję go nie słyszeć i nie słuchać. Trzymałem panią przed chwilą znów w objęciach



podczas tańca, pani ani razu na mnie nie spojrzała, a ja panią trzymałem blisko, bliżej niż kiedykolwiek mężczyzna trzymał kobietę. Niech pani zrozumie tę przenośnię, Rosemary, byłem blisko pani nie tylko ciałem, ale i duszą. Ja kocham również pani duszę, Rosemary i gdy czułem pani oddech na moim policzku w czasie tańca, wciąż myślałem o tym jednym, że pani zaręczyła się z Gasparem! Po co pani to zrobiła? Bóg to raczy wiedzieć!

— Potrzebna jestem Gasparowi — wyszeptała. — On mnie kocha. Jestem dla niego najważniejsza, bardziej mnie ceni niż swoje ambicje.

Piotr Blakeney zaśmiał się rubasznie, gorzko.

— Kochany, poczciwy Gaspar! — Uśmiełby się słysząc panią. Ambicja! U Gaspara nie ma miejsca na ambicję, jak może być ambitnym człowiek, którego jakiś dobry duch już w kolebce obdarzył dobrami materialnymi? My, biedni chłopcy, mamy ambicję...

— Ambicję, którą przedkładacie ponad waszą miłość, ponad wszystko na świecie — przerwała Rosemary i spojrzała mu prosto w oczy. — Pan mówi o miłości, Piotrze — ciągnęła dalej coraz gwałtowniej. — Co pan wie o miłości? Tak jest, byłam w pańskich ramionach owej nocy, kochałam pana z całej duszy, która szukała drugiej podobnej i znalazła ją w tym niezapomnianym pocałunku. Boże mój, jak ja cię wtedy kochałam, Piotrze! Ale ty, ale pan? Co pan myślał nazajutrz i w następnych dniach, kiedy daremnie czekałam na decydujące słowo z pańskich ust? Co pan myślał? Czekałam na pana przyjazd, obiecał pan przybyć z Oxfordu nazajutrz. Nie przyjechał pan — upłynęły dni — tygodnie...

— Rosemary!

— Dni... tygodnie... a ja czekałam na jakiś znak choćby... na list...

— Rosemary, pani wówczas rozumiała!

— Rozumiałam tylko, że żałował pan swojego zaangażowania względem mnie, że waha się pan podzielić swą biedą ze mną, że nie ma pan prawa prosić o moją rękę, zanim pan czegoś nie osiągnie, i tak dalej, i tak dalej, to było w każdym pańskim liście, a ja tymczasem...

— Ja tymczasem — dodała spokojniej — cierpiałam, że pan wciąż mówi o sławie i majątku...

— Dla ciebie, Rosemary! — wykrzyknął mimo woli z rozpaczą i ukrył twarz w dłoniach.

— Tylko o tobie myślałem przy tym...

— Nie myślałeś o mnie, Piotrze, bo byłbyś wiedział, że dla mnie szczęściem byłoby dzielenie ubóstwa z człowiekiem, którego kocham.

— Tak! Ubóstwa — ale ty, Rosemary, byłaś już wtedy bogata, sławna, świat miałaś u swoich stóp...

— A pan nie kochał mnie dostatecznie, by przyjąć ode mnie bogactwo, komfort, pomoc w drodze do kariery.

Z goryczą odpowiedział, deklamując sarkastycznie, z przekąsem:

— Piotr Blakeney, krokiecista, wiecie, on jest teraz mężem Rosemary Fowkes. Co za wspaniała kariera dla mężczyzny zostać mężem znanej, sławnej kobiety?!

— To byłby okres przejściowy — zaprotestowała.

— Okres, podczas którego uciekłyby młodość daleko od nas, zabierając z sobą honor, męskość, godność...

— I miłość?

— Może.

Zapadło milczenie. Ostatnie słowo było wyrokiem losu. Piotr siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Rosemary siedząca w głębi łoża, pewna że nikt jej nie widzi, miała w oczach łzy żalu. Ale trwało to tylko chwilę. Otrząsnęła się siłą woli i opanowała wzruszenie. Odsunęła firankę zdecydowanym ruchem i patrzyła na pary, które znowu wirowały przy dźwiękach murzyńskiej orkiestry. Dużo osób ją poznawało, kłaniało się, odpowiadała na ukłony z uśmiechem, machała wachlarzem w stronę bliższych przyjaciół. Była znowu Rosemary Fowkes, najsłynniejszą kobietą Anglii, narzeczoną Gaspara Tarkingtona, królową sezonu, podziwianą, ubóstwianą.

— Widzę Jerzego Orange — powiedziała zimnym, rzeczowym tonem. — Daje nam jakieś rozpaczliwe znaki. Jak się do niego dostać?

Piotr oprzytomniał pod wpływem tego spokojnego głosu. Wstał i odsunął krzesła, by mogli przejść. Ona również wstała i położyła rękę na klamce drzwi łoża. Wahali się oboje: odezwać się jeszcze, czy nie? Ciężko było odejść tak bez słowa. Sekundy mijały. Oczy ich spotkały się nagle.

— Rosemary! — rzekł Piotr.

Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się, jak do niegrzecznego, lecz miłego dziecka.

— Już lepiej pójdę, Piotrze — rzekła spokojnie. — Z pewnością Jerzy Orange chce mnie zaprosić do łoża swojej żony.

Ale on stał bez ruchu.

— Rosemary — wyrzekł wreszcie — to nie może być, wszystko nie może być skończone, najdroższa moja!

— Za 6 miesięcy, jeśli dożyję — odparła zimno — będę żoną Gaspara Tarkingtona.

— Wiem, droga moja. Gaspar jest moim przyjacielem i nie chcę być nielojalny wobec niego. Ale czy ty będziesz żoną przyjaciela, czy mego wroga to na jedno wychodzi. Ja ciebie nie wykreślę z mego życia, nigdy! Nie będę nielojalny względem Gaspara, bo w moich myślach będziesz czymś więcej i czymś mniej niż kobietą. — Będiesz — sobą. Jeżeli będziesz szczęśliwa, będę o tym wiedział. Jeżeli nie będziesz szczęśliwa, niech się ma na baczości osoba, która byłaby powodem twoich łez! Tak, byłem szaleńcem i żałuję tego. Ale twój gniew jest lepszy, niż wszelkie szczęście na ziemi z dala od ciebie.

Stali w ciemnościach, jedno nie widziało twarzy drugiego. Ale czuli między sobą powiew fatalnego losu. Dzieliły ich: duma z jednej strony — honor i etyka z drugiej. Za późno! Już za późno!

Piotr przyklęknął i podniósł do ust rąbek jej sukni. Rosemary nie ruszyła się z miejsca. Nogi jej odmówiły nagle posłuszeństwa, a w duszy modliła się, aby serce jej skamieniało.

Piotr wstał i otworzył drzwi. Przystąpiła próg łoży i wróciła znowu do świata, do obcych ludzi.

\* \* \*

Na korytarzu Rosamary spotkała Sir Jerzego Orange, który zaprosił ją do łoży swojej żony i zaczął jej torować drogę. Nie obejrzała się ani razu za siebie. Piotr zniknął w tłumie zapewne, przecież między nimi wszystko było skończone.

Po chwili siedziała obok wybitnego Rumuna, który przypuszczał do niej szturm swych iskrzących się, czarnych oczu i swej elokwencji, chcąc przełamać jej niechęć do jego ojczyzny.

Nikomui, nawet Gasparowi, nie opowiedziała treści swej rozmowy z generałem Naniescu. Generał zaproponował jej mianowicie, by pojechała do Transylwanii zbadać stosunki na terytorium, zajętem przez Rumunię i by ogłosiła drukiem swe spostrzeżenia w prasie angielskiej i amerykańskiej. Był to rodzaj zajęcia, za którym Rosemary tęskniła obecnie bardziej, niż kiedykolwiek. Naniescu grał, jak wytrawny gracz. Umiał jej pochlebić dość subtelnie, by mogła uwierzyć w jego szczerłość, umiał przedstawić kwestię tak, by nie budzić w niej żadnych skrupułów, tak, że propozycja jego wydała się Rosemary istnym zrzędzeniem Opatrzności w momencie, kiedy była do głębi poruszona wyrzutami sumienia. Że miłość jej do Piotra Blakeney'a jeszcze nie wygasła, z tego zdawała sobie sprawę i przed tym wieczorem, ale nie sądziła, by jego obecność, jego dotknięcie, jego spojrzenie miały taką

władzę nad nią wciąż jeszcze. Myślała, że ta miłość to stos popiołów, a tu okazało się, że to płomień niewygasły, niebezpieczny.

A Piotr?

Piotr wolał przyszłość niż terażniejszość, dumę niż miłość, ona zaś urażona do żywego w swej ambicji i dumie kobiecej rzuciła się w objęcia Gaspara Tarkingtona. Obecnie klamka zapadła. Nieodwołalnie. Ale nawet w momencie głębokiego żalu za przeszłością, zdecydowana była dotrzymać słowa danego Gasparowi. Wracając razem z nim z Albert Hallu, pozwoliła mu trzymać cały czas swą rękę w jego dłoniach. Otoczył ją ramieniem, a ona położyła głowę na jego piersiach. Nie mówiła nic, była zbyt zmęczona, ale słuchała chętnie czułych słów, które jej szeptał do ucha. Kochany, zacny Gaspar! O niej tylko myślał. Od chwili, kiedy przyrzekła, że zostanie jego żoną, obsypywał ją prezentami, okazywał czułość. Każde słowo było tkliwe i łagodne, w przeciwieństwie do burzliwej namiętności Piotra, jego wybuchów, jego niezrozumiałych przyływów gniewu, miłości i obojętności na wszystko, co nie było związane z jego przyszłością.

\* \* \*

W parę dni później Rosemary jadła z Gasparem śniadanie u Ritza. Po śniadaniu poszli na przechadzkę przez St. James Park do ogrodu Ashley'a. Dzień był prześliczny, powietrze miękkie i ciepłe, przepełnione tchnieniem wiosny i głosami ptaków.

Rosemary była prawie tego wzrostu, co jej narzeczony, który lekko pochylał ku niej głowę, by mieć oczy na poziomie jej wzroku. Tarkington miał powierzchowność dystygowaną i znudzoną, niektórzy upatrywali w nim pewną afektację, właśnie z powodu zawsze znudzonego wyrazu twarzy. Miał on zaledwie trzydzieści kilka lat. Ozdobą jego były przepiękne ręce. W rozmowie był, jak prawdziwy Anglosas, lakoniczny i rzeczowy. Ubierał się niezmiernie starannie i wolał widocznie modę z epoki króla Edwarda niż modę współczesną. Całość robiła wrażenie, wzbudzające uwagę i ciekawość, łagodny wyraz twarzy równoważył pewną surowość rysów i twardość linii wzdłuż ust i nosa.

Rosemary Fowkes wyglądała dziś przy jego boku jak Diana, promieniująca młodością i zdrowiem. Jej świeżość, ożywienie, jej wytworne, skromne ubranie, jej subtelność, stanowiły dziwny kontrast z tym znudzonym, sztywnym, lekko pochylonym mężczyzną w stylu Buckingham.

W parku Rosemary wspomniała narzeczonemu o propozycji Naniescu. Gaspar wysłuchał uważnie i nie przerywał jej ani słowem, wreszcie zapytał:

— Zgodziłaś się pojechać?

— Oczywiście! — odparła po krótkim wahaniu. — Nęci mnie ta propozycja i pochlebia mi zaufanie, jakie rząd rumuński pokłada w mojej opinii o wydarzeniach i ludziach. Naturalnie — dodała — nie jestem związana z nim.

— Czy przyrzekłaś definitywnie generałowi, że pojedziesz?

— Nie, chciałam najpierw naradzić się z tobą.

— O! Kochana moja! — wykrzyknął Tarkington i na chwilę oczy jego rozbłyły młodocia i szczęściem. — Czyż nie przyrzekłem ci, że skoro raczysz mnie obdarzyć największym dobrem na ziemi, to w zamian zachowasz całkowitą swobodę i możliwość rozwijania kariery? Zbyt dumny jestem z ciebie, bym cię miał krępować w twoim rozwoju. ,

— Zawsze byłeś najukochańszym, najlepszym, najbardziej wartościowym człowiekiem na świecie — odrzekła Rosemary, a wzrok jej przy tych słowach napęłił się taką słodyczą, taką tkliwością, że mężczyźnie przy jej boku trudno było wytrzymać to spojrzenie. — Ale nie zapominaj, Gasparze, że w sprawach politycznych nie zawsze będziemy szli ręką w rękę — dodała poważnie.

— Póki będziemy zgodni w innych tematach i zagadnieniach to nic nie szkodzi — odpowiedział. — Gdy poprosiłem cię o rękę, ukochana, wiedziałem dobrze, że nie żenię się z głupią laleczką. Nie jestem tak zarozumiały, aby sądzić, iż zmienisz swe poglądy, by dostosować się do moich.

Rosemary nic nie odpowiedziała na razie. Gdyby szli sami, byłaby mu uścisnęła dłoń z wdzięcznością. Tu w publicznym ogrodzie zapanowała nad łzami wzruszenia, cisnącymi się do oczu: bo Gaspar mówił tak naturalnie, tak szlachetnie, że poruszył ją do głębi. Po raz pierwszy od chwili, kiedy mu dała słowo, była tak bliska pokochania go, jak w to piękne czerwcowe popołudnie. Zapach bzów i jaśminów przypomniał jej wprawdzie w tym momencie Piotra, jego głos, jego ręce i usta, ale gdy porównała charaktery tych dwóch ludzi zdołała wykreślić z pamięci tamto wspomnienie.

— Jesteś nadzwyczaj dobry dla mnie, Gasparze — westchnęła.

— Nie można — odparł z prostotą — być dobrym dla kogoś, kto jest dla nas wszystkim w życiu. Można tylko kochać, i być wdzięcznym. Ale teraz powiedz mi coś więcej o swych planach. Jestem trochę zaskoczony tą nagłą wiadomością.

— Nie mam jeszcze określonych planów — odrzekła — i jak ci powiedziałam, nie dałam wiążącej odpowiedzi generałowi Naniescu. Mam

zamiar odpisać mu dziś wieczór i albo przyjmę jego propozycję lub też ją odrzucę.

— Ale wolałabyś ją przyjąć?

— Szczerze mówiąc, tak! — odpowiedziała.

— To znaczy? — pytał dalej.

— To znaczy, że wyjechałabym do Bukaresztu w ciągu nadchodzących pięciu dni.

— A co z paszportem?

— Generał Naniescu mi go wyrobi.

— Ale w Bukareszcie niedługo zabawisz?

— Nie, tylko parę dni. Mam jechać wprost do Transylwanii. Byłam tam już, wiesz? "

— Nie, nie wiedziałem o tym.

— Matka Piotra była moją wielką przyjaciółką. Jak wiesz, byłam sierotą, to ona wzięła mnie pod swoje skrzydła i nieraz służyła mi pomocą w życiu. Dużo podróżowałam w jej towarzystwie i często jeździłyśmy do Transylwanii do jej krewnych. Znam ich wszystkich. Nadzwyczaj mili ludzie.

— I oczywiście bardzo gościnni — dokończył Tarkington sucho.

— Szalenie gościnni, Gasparze! Hrabina Imrey, siostra pani Blakeney była zawsze bardzo uprzejma dla mnie, gdy byłam w Transylwanii dwa lata temu z ramienia „Przeglądu Międzynarodowego”. Ją przede wszystkim muszę odwiedzić, gdy tam przyjadę. Imreyowie mają piękny pałac w pobliżu Kolozswaru.

— Boję się, że obecnie przyjdzie nam mówić Cluj — rzekł Gaspar z uśmiechem.

— Tak, słusznie — odparła żywo Rosemary. — Czy takie zadawanie bólu nie jest godne potępienia? Zmieniać nazwę miasta, które od wieków było węgierskie i było ośrodkiem wielkich wydarzeń historycznych Węgier? Jakie to małostkowe, jakie to niskie! Musisz przyznać, Gasparze — nalegała — że jest to postępowanie niegodne wielkiego narodu, że jest to najpodlejszy i bezcelowy sposób ucisku. Nawet Niemcy, gdy zabrali Alzację i Lotaryngię, nie przechrzcili tam wszystkich miast o nazwach francuskich!

Gaspar Tarkington uśmiechnął się na te słowa.

— Mam wrażenie, że Naniescu podjął się trudnego zadania.

— To prawda — przyznała ze śmiechem. — Ale nie zostawiłam mu żadnych złudzeń, tak że wie, iż w obecnej chwili jestem nie mniej surowym krytykiem jego rządu, jak przed dwoma laty. On zaś chce mnie przekonać,

że Rumunia działa nie tylko w swoim dobrze pojętym interesie, lecz w interesie pokoju europejskiego. Zgadza się więc na propozycję generała — zakończyła wesoło — i jadę, jak o to mnie prosił, do Transylwanii bez żadnych uprzedzeń. Postawiłam mu warunek, że ani jeden wyraz w moich artykułach nie zostanie zmieniony przez cenzurę, on zaś przyrzekł pokazać mi tam prawdę i tylko prawdę, co będzie tym łatwiejsze, że podobno rząd wszystko mi ułatwi, udzieli pomocy i poparcia.

Odetchnęła po tym długim przemówieniu. Gdy tak szła, rozmawiając z ożywieniem, wzrok prawie wszystkich przechodniów spoczywał na niej z zachwytem. Gaspar milczał. Westchnął mimo woli, gdy przestała mówić, twarz jego przybrała wyraz jeszcze większego znudzenia. Może się przeląkł jej młodego zapału, czując się trochę za starym, zbyt znudzonym, by móc podążać za tym żywiołem, energią i tą chęcią działania? Kto to mógł wiedzieć? Gaspar Tarkington zawsze był milczący, najlepsi jego przyjaciele nie znali jego duszy, był on również przed paru laty publicystą, ale nigdy nie wkładał w to tyle zapału, co ten piękny apostoł — obrońca przegranych spraw. Jego milczenie podziałało na Rosemary jak zimna woda, studząc entuzjazm.

— Przepraszam, mój drogi — powiedziała słodko — stale zapominam, że jesteśmy z dwóch wrogich obozów w tej jednej kwestii.

— Przystaniemy wkrótce być na dwóch biegunach — odrzekł pogodnie. — Jeżeli spełnią się życzenia Naniescu.

W chwili gdy wymawiał te wyrazy, zobaczył generała Naniescu i pana de Kervoisin wchodzących do parku przez bramę Królowej Anny, przez którą on i Rosemary właśnie wychodzili. Panowie zdjęli kapelusze, Rosemary skinęła uprzejmie głową generałowi i jego przyjacielowi.

— Nie sądzę — rzekł Tarkington po chwili — by nasz przyjaciel Naniescu był dla mnie przychylny po tym spotkaniu.

— Dlaczego? Przeciwnie, zadowolony będzie i wdzięczny, że się nie sprzeciwiasz moim projektom.

— Pod jednym względem sprzeciwię mu się jednakże — rzekł Gaspar poważnie — jak już powiedziałem, nie zamierzam stawiać przeszkód jego, a tym bardziej twoim planom, droga Rosemary, ale o jedno cię poproszę.

— O, co drogi? — zapytała impulsywnie. — Tak się cieszę, że mnie o coś poprosisz. Wciąż byłeś dotychczas stroną dającą.

— Ostrożnie, maleńka. Może nie jesteś przygotowana na moją prośbę.

— Niedobry jesteś — nadąsała się. Po czym dodała — nie ma nic na świecie, czego bym dla ciebie nie zrobiła, Gasparze.

— Czy zgadzasz się wyjść za mnie za mąż przed odjazdem? — zapytał znienacka.

Nie odpowiedziała od razu, bo istotnie zaskoczyło ją to pytanie. Zaręczeni byli od niedawna i o dacie ślubu jeszcze nie było mowy. Czowała się skrepowana swymi własnymi słowami: zapewniała go, że wszystko dla niego uczyni, aż tu raptem ta prośba natychmiastowego zawarcia związku małżeńskiego! Wszystko się w niej burzyło na ten bliski termin. Niedawna rozmowa w loży z Piotrem, stwierdzenie, że Piotr posiadał jeszcze jej serce, jej zmysły, wszystko to nakazywało odmówić, wszystko — prócz wdzięczności. Ta była najsilniejsza — nie mogła go zasmucić po tym, co powiedziała i po tym, co Gaspar dla niej uczynił. Myśli te snuły się jej po głowie, szła sztywno, cała radość życia nagle ją opuściła, jak przez mgłę słyszała spokojny głos Gaspara.

— Jesteś dla mnie wszystkim, Rosemary — mówił — życie tu w Anglii bez ciebie, gdy ty będziesz, Bóg raczy wiedzieć, gdzie się obracać, byłoby nie do zniesienia. Pojechałbym za tobą na koniec świata, by choć z daleka na ciebie patrzeć, gdyby mi nie było wolno podejść bliżej. Nie, najdroższa, za dobra jesteś i zbyt kobieca, aby mnie skazywać na taką torturę. Bo to byłaby tortura, nie mógłbym tego wytrzymać długo. — Nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale...

Głos mu się załamywał, uczucie zdawało się brać górę nad jego zwykłą rezerwą. Po tej przemowie jednak już ust nie otworzył, dopóki nie znaleźli się znowu w ciszy ogrodu Ashley'a.

— Myślę, droga, że musisz się nad tym wszystkim spokojnie zastanowić — podjął znowu — pamiętaj przy tym, że jeżeli cię proszę o przyspieszenie terminu naszego ślubu, czynię to dlatego, że chcę mieć prawo opieki nad tobą. Daję ci słowo, że będziesz miała, jako moja żona, dużą swobodę, jak obecnie — nawet większą, ponieważ w tej części Europy, do której jedziesz, kobieta zamężna jest niezależna, a panna jest trzymana w niewoli. Ale najważniejszym względem dla mnie jest ten egoistyczny: że jesteś dla mnie czymś niesłychanie droгим, droższym niż życie. Może przewiduję tam dla ciebie niebezpieczeństwa, których wcale nie ma, ale kocham cię tak bardzo, Rosemary, że to jest dla mnie okolicznością łagodzącą. Zresztą ty nie jesteś taką kobietą jak inne, dla ciebie konwenanse nie liczą się, tak, że zgodzisz się na pewno zrezygnować z hucznej uroczystości ślubnej i zostać moją żoną w ciszy twej parafii, bylebyś tylko zechciała zostać nią już teraz. I nad tym pomyśl, najdroższa, i daj mi odpowiedź jutro rano, jeżeli to możliwe. Pamiętaj, że do chwili tej odpowiedzi będę żył niepewnością.



Nie odpowiedziała, wyjęła tylko z jego dłoni rękę, którą trzymał. Była bez rękawiczek i zdawało się przez chwilę, że nie zważając na przechodniów, podniesie on tę drobną rękę do ust. Oczy jego pożerały ją, wzrok jego był tak wymowny, że się przeraziła. Rosemary nigdy nie widziała tego spojrzenia w oczach Gaspara. Zwykle patrzyły one łagodnie, z odcieniem ironii lub znudzenia. Teraz zdawał się ją świadomie hipnotyzować. Ale trwało to chwilę. Niebawem spojrzenie to przybrało znowu wyraz tkliwości i dobroci. Poklepał jej rękę i powtórzył miękko:

— Pomyśl o tym, najdroższa, gdy będziesz sama. Uczuła łyzy napływające do jej oczu.

Ta dobroć, ta czułość poruszyły w Rosemary Fowkes wszystkie najczulsze struny kobiecości. Była ona mądra, wspaniała, niezależna w myślach i czynach, ale tym mocniej reagowała na czułość i na męską opiekę. Jej emancypacja była owocem jej samotności życiowej, jej sieroctwa. Talent dopomógł jej okrzepnąć wewnątrz i wyjść zwycięsko z tej sytuacji, tragicznej dla wielu dziewcząt, ale potrzeba uległości, będącej najwyższym zadowoleniem prawdziwej kobiety, drzemała na dnie jej duszy.

Gdy Gaspar odszedł, Rosemary zwróciła się do swego jedyne oparcia w życiu. Zwróciła się do Boga. Klęcząc, z tęsknotą w sercu i żalem, którego nie chciała wyznać samej sobie, modliła się o pomoc i wsparcie. Tylko do Niego mogła się uciec, do Tego, który rzekł: „Przyjdźcie do mnie wy, którzy pragniecie, albowiem ja pragnących napoję”.

Rosemary Fowkes, stojąca u szczytu powodzenia, sławy, nadziei na piękną przyszłość, byłaby się czuła tej nocy okropnie osamotniona i zrozpaczona, gdyby nie modlitwa, która ją pocieszyła i umocniła na duchu, gdyby nie myśl o tym świecie lepszym i piękniejszym, niż nasz ziemski i do którego różnymi drogami zdążamy wszyscy.

\* \* \*

Następne dwa tygodnie upłynęły jak sen. Rosemary nie miała czasu na rozmyślenia. Przyszłość zajmowała ją całkowicie, nie pozwalając na wspomnienia. Owego wieczoru, gdy po długiej modlitwie wstała z klęczek z powziętym już postanowieniem, nie żałowała tego ani chwili, nie dopuszczała żalu do siebie. Napisała kilka zdań do Gaspara, że zgadza się na jego prośbę, skoro tylko formalności na to pozwolą, zostanie jego żoną.

Napisała również do generała Naniescu, przyjmując jego propozycję. Zastrzegła sobie całkowitą swobodę wyboru tematów i pism, którym nadsyłać będzie artykuły. Prosiła go tylko o potwierdzenie listowne ich umowy, dotyczącej jej absolutnej wolności słowa wobec cenzury. Przysłał

jej taki list natychmiast. Rosemary poczuła wdzięczność dla tego rycerskiego Rumuna. Myśl, że będzie prawdopodobnie mogła przyczynić się dla dobra nie tylko jednostek, ale i ludów" dodawała jej bodźca i była balsamem dla jej złamanego serca.

Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić uprzejmość i szacunek równy temu, który okazywał jej Gaspar bezpośrednio przed ślubem. Zachowywał się, jakby mu intuicja podszeptęła, co się dzieje w duszy narzeczonej, i jak z nią należy postępować. Nie było dla niej nic zbyt kosztownego, nie było zbyt wielkiej ofiary z jego strony, by spełnić jej życzenie, zapewnić jej komfort, wywołać uśmiech na twarzy. Ale natura kobiety jest pełna sprzeczności: Rosemary była chwilami zniecierpliwiona jego hojnością, zawstydzona jego brakiem egoizmu.

Piotra Blakeney'a zobaczyła tylko raz jeden przed odjazdem z Londynu. Było to właśnie w dniu jej ślubu. Z zaślepieniem, właściwym zakochanym, Gaspar poprosił Piotra na świadka. Co skłoniło Piotra do przyjęcia zaproszenia, tego Rosemary nie dociekała. Postępowanie jego było zawsze nieobliczalne. Rosemary osiągnęła już dostateczne panowanie nad sobą, by nie okazać najmniejszego wzruszenia. Ani jeden rys jej pięknej twarzy nie drgnął, gdy przyjmowała życzenia Piotra, wyrażone gorąco i szczerze. Nawet jej subtelne ucho nie mogło pochwycić nuty ironii lub goryczy. Potem mówił z nimi obojgiem o ich podróży do Budapesztu. Zobaczą tam jego krewnych, Imreyów, Hevesów. Elsa Imrey jest siostrą jego matki, przemiłą kobietą, a Filip był to zuch chłopak. Rosemary знаła ich wszystkich. Piotr przy końcu rozmowy wspomniał z powagą w głosie o swej kuzyneczce Annie Heves, ojciec jej, jedyny brat pani Blakeney, umarł, Piotr miał przeświadczenie, że Anna była bardzo nieszczęśliwa.

— Opuściła dom rodzicielski dla jakichś przyczyn dla mnie nie znanych — mówił — i mieszka obecnie w Kolozswarze, czyli Cluju. Pisuje do mnie czasem, gdy będę wiedział, kiedy przyjeżdżacie do Cluju, napiszę do niej, by was odwiedziła. Wiem, że będziecie dla niej dobrzy, jest to jeszcze dziecko, ładniutkie, miłe, a przy tym taka entuzjastka! Ucałujcie ją ode mnie, gdy ją zobaczycie.

Rosemary przyrzekła to uczynić. Podała mu rękę na pożegnanie w milczeniu, gdyż nie mogła się przemóc tak dalece, by swobodnie przemówić, on ucałował rękę, schylając się nisko, gestem pazia oddającego hołd swej pani, a nie gestem zakochanego, patrzącego może po raz ostatni na ukochaną kobietę.

Po ślubie stała się ta mglista kraina, snów i marzeń, w której Rosemary żyła od dwóch tygodni — jeszcze bardziej mglistą niż przedtem. Krótkie dni, spędzone w ponurym hotelu w Folkestone, byłyby dla niej nieznośnie nudne, gdyby stan jej duszy nie równał się półświadomości. Potem zaczęła się długa, nużąca podróż do Budapesztu, bezsenna noc w pociągu, wstrętne posiłki w natłoczonym, zadymionym wagonie restauracyjnym, bezustanny, monotony łoskot kół i żelastwa. A poprzez to wszystko dochodził do jej przytępionej świadomości jeden promień światła — dbałość, troskliwość o nią Gaspara, ciągła, bezustanna, że aż stawała się chlebem codziennym. On zdawał się niezmordowany, gdy szło o wygodne ułożenie poduszek, o podsuniecie jej stołeczka pod nogi, o zamknięcie lub otwarcie okna w przedziale, słowem o tysiące drobiazgów, które irytują większość podróżnych.

A Rosemary siedziała w swoim kąciku podczas tych dwu nudnych dni i patrzyła przez okno oczami, które nie widziały piękna krajobrazów, zmieniających się z szybkością taśmy filmowej. I w miarę, jak tak siedziała spokojnie, myśląc o sobie, o przeszłości i przyszłości, spokój zapanował w jej sercu. Młodość brała górę, zmuszała ją do optymistycznego patrzenia na świat i ludzi, znowu zaczynała się cieszyć nowym życiem i pracą, jaka ją czekała po przyjeździe. Piękne zadanie życiowe, zacy mąż, zapewniający jej dobrobyt i opiekę... Czego więcej może sobie życzyć kobieta? Rosemary zamknęła oczy i podczas krótkiego snu, który ją zaskoczył, wzdychała do jedynej rzeczy, która byłaby uczyniła życie jej rajem — i wtem, śpiąc wciąż jeszcze — poczuła gorące łzy żalu, spływające po jej policzkach.

Obudziła się w objęciach Gaspara, który całował te łzy.

\* \* \*

W Budapeszcie panowała nieznośna spiekota w końcu lipca. Ale wieczorem chłodne światło księżyca pozwalało mieszkańcom odetchnąć i wywabiało ich z domów. Corso było rojne i gwarne.

Rosemary Tarkington siedziała na tarasie hotelowym, pijąc wyborną kawę i patrząc leniwie przed siebie. Od czasu do czasu rozglądała się baczniej i wzrok jej ożywiał się na widok wspaniałej panoramy, roztaczającej się z tarasu. Budapeszt jest jedną z najbardziej malowniczych stolic europejskich, a może jak żadne miasto w Europie nie przedstawia takiego urozmaicenia i uroku, zwłaszcza gdy rozbrzmiewają zmysłowe i rzewne dźwięki orkiestr cygańskich, melodii węgierskich, podniecających i wlewających żar w żyły swym zmiennym rytmem, swą nieopisaną tęsknotą.

Rosemary rozmyślnie wybrała sobie hotel „Hungaria”, a nie żaden nowszy, bardziej nowoczesnie urządzony hotelik. „Hungaria” przypominała jej dawne czasy, przedwojenne, kiedy była pensjonarką. Podróżowała tu w idealnych warunkach, w towarzystwie pani Blakeney, matki Piotra, przyjmowana wszędzie z otwartymi ramionami przez ten arcygościnnie naród. Miała też i późniejsze wspomnienia, sprzed dwu lat, gdy rozpoczynała tu swą karierę dziennikarską z sercem przepełnionym litością dla cierpień tego dumnego i skrzywdzonego narodu, nad którym bezmyślni politycy znęcali się za fatum, jakie go pchnęło do niepopularnej tu wojny, przy boku znieawidzonych aliantów.

— Musi pani być bardzo zmęczona, lady Tarkington — rzekł miły głos tuż przy niej.

— Zmęczona? Nie — odrzekła Rosemary — raczej znużona. Podróż z Anglii do Węgier jest teraz przewlekła i nudniejsza niż dawniej.

Kapitan i pani Payson siedzieli przy sąsiednim stoliku. Kapitan Payson został przed paru laty przydzielony do Misji Wojskowej Wielkiej Brytanii na Węgrzech. Mieszkał wraz ze swą młodą małżonką w „Hungarii”. Ucieszyli się oboje na widok Rosemary, którą tu poznali za jej pierwszym pobytem, po kolacji siedli na tarasie obok państwa Tarkington. Gaspar niebawem zdecydował, że pójdzie przejść się na Corso i wypalić cygaro, Rosemary zaś była zbyt leniwa na przechadzkę, a przy tym chętnie rozmawiała z Paysonami, którzy byli sympatyczni i inteligentni i z którymi miała wspólne wspomnienia i wspólnych znajomych.

— Miasto się nie zmieniło — mówiła Rosemary po chwili — ludzie zawsze ci sami, pogodni, weseli, pomimo... no, tak, pomimo wszystko.

— Tak — przyznała pani Payson. — Byle mieli swą muzykę, swe wyborne wina i doskonałe cocktaile, a dziewięciu na dziesięciu Węgrów będzie zadowolonych, nie dbając o to, czy rządzi nimi król czy cesarz, obcy tyran, czy bolszewik.

— Zawsze jestem zdania, że Ruth jest w błędzie, myśląc w ten sposób — odezwał się poważnie kapitan Payson. — Węgrzy są sportowcami, podobnie jak i my i znoszą swoją pokutę, jak na sportowców przystało. Nie okażą oni światu, jak bardzo cierpią. Różnią się oni zasadniczo pod tym względem od Niemców.

— Oni są nieporównanie bardziej odważni — zauważyła Rosemary.

— Tak jest — odparł kapitan — i niezachwianie prawi i etyczni. Węgrzy są narodem dżentelmenów, tak jak Anglicy. Podobnie jak my uwielbiają tradycję. Są w duszy monarchistami, niemal bez wyjątku. Wyobraźmy sobie,

co się dzieje w ich sercach, gdy patrzą na drugi brzeg rzeki i na wznoszący się tam pałac królewski, z którego wywieziono ich ubóstwianego króla z rozkazu mężów stanu, z pewnością niedokładnie poinformowanych nawet o położeniu geograficznym Węgier i Budapesztu.

Zanim Rosemary zdążyła odpowiedzieć, spostrzegła Gaspara, przeciskającego się ku niej między stolikami.

— Naniescu jest na dole — rzekł, zbliżywszy się do stolika żony — powiedziałem, że jesteś tutaj, przyjdzie ci złożyć uszanowanie. Na razie rozmawia z paru znajomymi w holu.

— No, to Ruth i ja uciekamy — rzekł wesoło kapitan Payson. — On i ja jesteśmy zawsze narażeni na sprzeczkę, gdy się razem zejdziemy.

Państwo Payson wstali i pożegnali się, dużo było przy tym śmiechu, rozmowy i wzajemnych przyrzeczeń zobaczenia się nazajutrz. Gdy odeszli, Rosemary rzekła:

— Wolałabym nie widzieć się z generałem Naniescu dziś wieczór, jestem bardzo zmęczona i czuję się nie najlepiej.

— O, jakże mi przykro! — odrzekł Gaspar tonem szczerze zasmuconym. — Staralem się go oddalić, przewidując, że jesteś zmęczona. Ale on jutro rano opuszcza Budapeszt. Jedzie do Cluju...

— Cluj?... — spytała, po czym zaśmiała się wesoło. — Naturalnie! Zawsze zapominam, że nasz poczciwy stary Kolozswar jest obecnie Clujem.

— Naniescu chce sprawdzić, czy nasze paszporty są w porządku, a że to jest ważne...

— Ależ dobrze zrobiłeś, najdroższy — przerwała z miłym uśmiechem Rosemary. — Jak zawsze. Nie sądzę, by nas generał długo zatrzymał, chociaż to straszny gaduła — dodała z westchnieniem.

W chwilę później zjawił się piękny Rumun.

— Ach, droga lady! — wykrzyknął, ujmując rękę Rosemary i całując ją w swój zwykły, teatralny sposób. — Co za radość dla mnie, że dotrzymała pani przyrzeczenia i że panią tu widzę.

Siadł przy stoliku Rosemary, ale nie przyjął filiżanki kawy, ani likierów.

— Mam tylko chwilę czasu — rzekł — zawałony jestem robotą i zaproszeniami. Ale chciałem panią powitać i oszczędzić państwu ewentualnych nieprzyjemności, sprawdzając, czy paszporty są w porządku.

— Niezmiernie to uprzejme z pana strony, generale — odrzekła Rosemary, Gaspar zaś wstał i poszedł natychmiast po paszporty. Rosemary zamyśliła się i przez minutę panowało przy stoliku milczenie. Jakieś nieokreślone uczucie trwogi i wstrętu opanowało ją, gdy poczuła usta

generała na swej ręce, doznała wrażenia, że są to usta wroga, że jest w tym pocałunku ukryta groźba. Ale wrażenie to ustąpiło niebawem. Naniescu mówił przekonująco, poważnie, był wyszukanie grzeczny, a styl jego był nie mniej kwiecisty, jak w Londynie za pierwszym ich spotkaniem. Nie, z pewnością nie było w nim nic złowróżbnego.

— Cieszę się na mój pobyt w Transylwanii — rzekła wesoło Rosemary.

— Każdy urzędnik, każda osobistość, z ramienia rządu tam przebywająca, będzie do pani dyspozycji, droga lady — zapewniał ją Naniescu.

— Każde życzenie pani będzie natychmiast spełnione. A jeżeli pani mnie zaszczyci wezwaniem, zbyteczne nadmieniać, że pofrunę momentalnie na jej rozkaz!

Rosemary wzruszyła lekko ramionami.

— Nie nadużyłabym w ten sposób pańskiego cennego czasu, generale — odrzekła zimno.

— No, nigdy nie wiadomo. Jedzie pani, droga lady, do bardzo dziwnych ludzi — dodał z westchnieniem. — Ludzi, których rozgoryczyły urojone pretensje.

— Mam starych przyjaciół w Transylwanii i będę się wśród nich czuła, jak w moim własnym domu w Londynie.

— Czy pani zamieszka podczas całego swego pobytu u Imreyów? — zapytał generał.

— Kto panu powiedział, że ja u nich zamieszkam? — zapytała żywo.

— Pani sama, droga lady — odrzekł nie zmieszany — albo też wyciągnąłem fałszywy wniosek ze słów pani. Na tym niezapomnianym wieczorze w Albert Hallu, na którym miałem zaszczyt być pani przedstawiony, tańczyła pani z panem Blakeneyem. Hrabina Imrey jest jego ciotką. Pani mówi mi teraz, że pani ma przyjaciół w Transylwanii — związek był dla mnie oczywisty. Mam nadzieję, że nie uraziłem pani tym przypuszczeniem — dodał Naniescu z ujmującym uśmiechem.

— Nie, nie — odparła Rosemary, zła na siebie sama, że sprowokowała Rumuna swym pytaniem na jedno z jego niekończących się przemówień, w duszy doznawała wrażenia, że pod taką afektacją musi kryć się sporo ironii. — Pani Blakeney była moją kochaną przyjaciółką, ona i ja podróżowałyśmy dużo razem i nieraz mieszkalam u Imreyów, nie tylko w Kis-Imre, ale i w ich pięknym domu w Kolozswarze.

— Zatem — przerwał generał — jeżeli pani zna ich dom w Cluju, to trafi pani tam, gdyby pani zechciała odwołać się do moich usług?

— Co to znaczy, generale?

— Ja mieszkam w domu Imreyów obecnie.

— Ależ — jak to być może? — odpowiedziała wolno Rosemary, zdumiona tą wiadomością. Znając stosunki tej części Europy, pojmowała, że nie ma tu mowy o wynajęciu domu obcemu człowiekowi przez dumnych bogatych Węgrów, tak, jak się to często zdarza w jej sferze w Anglii.

Generał Naniescu odpowiedział sucho:

— O! Ten dom był za duży dla tak nielicznej rodziny. Nie możemy pozwolić, by większość cierpiała na uprzywilejowaniu mniejszości.

Rosemary zrozumiała i zadrżała. Poczła raczej niż zobaczyła oczy Rumuna utkwione w jej twarzy z wyrazem szyderstwa. Ale był to błysk. W następnej chwili był on znów słodki jak miód i rzekł z tym specjalnym szacunkiem, jaki głos jego przybierał, gdy mowa była o jej działalności.

— Te kwestie, droga lady, należeć będą do rzędu tych, na które proszę, by pani spojrziała bez uprzedzeń i przesądów, i na które niewątpliwie zwróci pani baczną uwagę.

Gaspar wrócił z paszportami i rozmowa zesłała na inne tory. Naniescu stwierdził, że paszporty są w zupełnym porządku. Zrobił specjalną adnotację i położył swój podpis na wizie, udzielonej przez Konsulat Rumuński w Londynie. Rosemary była ogromnie zmęczona i tęskniła za łóżkiem, ale Naniescu siedział jeszcze z nimi dłuższą chwilę, rozmawiając z Gasparem o kwestiach społecznych i politycznych, o których Rosemary nie miała ochoty dzisiaj dyskutować, gdyż była zbyt wyczerpana. Myśli jej błądziły, ledwo dochodziły do niej od czasu do czasu urywane fragmenty rozmowy dwóch mężczyzn, a głównie przedmiotem jej rozważań była odpowiednia forma pożegnania generała i uwolnienia się od jego męczącej obecności. Wtem — coś, co mówił Naniescu, przykuło jej uwagę.

— Mój rząd — opowiadał — jest oburzony na owe artykuły, tyle krzywd nam wyrządzające, jakie pojawiają się od czasu do czasu w gazetach angielskich i amerykańskich...

— Dlaczego zatem nie zatrzymuje ich cenzura rumuńska? — zapytał Gaspar nieopatrznie.

— Zatrzymywałyby je, mój drogi lordzie Tarkington — odrzekł słodko Naniescu — nie wypuszczałyby ich na pewno z granic kraju. Ale te diabły są tak przebiegłe! Nie mogę dociec, jak oni się urządzają, by szmuglować te artykuły przez granicę i to często pocztą!

— Aha! — wtrąciła Rosemary z uśmiechem nie mniej ironicznym, jak uśmiech Naniescu przed chwilą — a zatem pan nastaje na obostrzenie cenzury? Pan nie wyznaje zasady wolności słowa i wolności prasy?

— Owszem, droga lady, doprawdy wyznaję tę zasadę i ja, i moi ziomkowie. Ale na nieszczęście prasa angielska i amerykańska tak łatwo ulegają sentymentom! Przedłoży im pani fałszywe informacje, grające na nutę sentymentalną, a podadzą je, drukując nagłówek grubymi czcionkami, czytelnik zaś bezmyślnie we wszystko wierzy i potem już nawet słuchać nie chce głosu prawdy lub rozsądku. Za dumni jesteśmy, a może po prostu za mało mądrzy, aby zwalczać taką głośną propagandę. Tylko surowa cenzura mogłaby ją okiełznać. Powinniśmy ją wprowadzić, tak jest! Człowiek napadnięty broni się, jak może najskuteczniej, nie przebierając w środkach.

— Ale w takim razie broń wasza dotychczas szwankuje? — dopytywał się Gaspar w swój spokojny, badawczy sposób. — Każdy, który wysłał te artykuły do Anglii i Ameryki jest widocznie dla was za mądry.

— Dotychczas tak — zgodził się Naniescu.

— Ale — ciągnął dalej pogodnie i wstając nareszcie z krzesła — czuję się winny wobec lady Tarkington, której obecność moja nie pozwala udać się na spoczynek, tak bardzo jej dziś potrzebny. Droga lady, zechce pani przyjąć wyrazy mego najgłębszego szacunku oraz szczere życzenia miłego pobytu w naszym biednym kraju, po którym raczy pani sobie obiecywać tyle przyjemności.

Podniósł rękę Rosemary do ust z tą samą ostentacyjną uprzejmością, która cechowała całe jego postępowanie w jej obecności. Zanim puścił tę rękę, zajrzał wymownie w oczy Rosemary i wyszeptał poważnie:

— Niech mi wolno będzie zapewnić panią raz jeszcze, droga lady, że każde słowo napisane przez panią będzie przesłane w całości na miejsce przeznaczenia. Niech pani tylko raczy nadesłać swe artykuły i listy wprost na moje ręce w zamkniętej kopercie. Daję pani słowo honoru, że będzie pani zadowolona.

\* \* \*

Do chwili przybycia do Cluju Rosemary przepełniona była wyłącznie myślą o swej przyszłej działalności i o pomyślnych jej rezultatach dzięki wspaniałomyślnej pomocy generała Naniescu. W Budapeszcie przez chwilę odczuła niechęć do tego przystojnego Rumuna, jakiś instynkt odepchnął ją od tego gadatliwego i przesłodzonego w mowie i gestach człowieka. Ale po namyśle doszła do wniosku, że krzywdzi go niesłusznie. Była to galanteria całkiem zwykła na wschodzie Europy. Kontrast między przesadną grzecznością Naniescu a naturalną uprzejmością Gaspara spotęgował jeszcze jej wrażliwość na afektację generała.



Wrażenie to szybko się zatarło. Czas upływał jej nad wyraz przyjemnie. Paysonowie byli przemili, spotkała jeszcze szereg przyjaciół, Anglików i Węgrów, którzy powitali ją serdecznie, Gaspar zaś był w dalszym ciągu uosobieniem grzeczności. Po wyjeździe z Budapesztu odczuła pewien smutek przejeżdżając przez Węgry i kierując się na południowy wschód, te bezmierne przestrzenie, ten nie kończący się obszar ziemi i nieba oddziaływały swą monotonią ujemnie na ludzi, obdarzonych wyobraźnią. Wszędzie tylko pola zbożowe, niczym morze złotego koloru, prawie nigdzie zagród ludzkich, czasami tylko mignął jakiś czerwony dach, samotny na tym pustkowiu, czasami gromadka koni podnosiła na pociąg zdziwione spojrzenie.

Przez okno wagonu wdzierał się zapach heliotropów i rezedy, przed oczami Rosemary stanęły nagle wieże minaretów, tam, gdzieś, w oddali, nad błękitną wodą, wśród atmosfery gorącej i rozmarzającej. Ale poznała niebawem, że był to tylko miraż jej wyobraźni, stęsknionej za Edenem, krainą szczęścia i miłości, która dla niej miała już pozostać nieosiągalna na zawsze.

\* \* \*

Przyjazd do Cluju rozczarował ją. Było tu brudno i ponuro. Z Budapesztu telegrafowała do znanego jej dobrze hotelu o apartament i jednocześnie wysłała list do właściciela, zamawiając gorącą kolację dla siebie i dla lorda Tarkington. Hotel wydał jej się obcy, gdy wysiadła z małego powoziku, który ich przywiózł z dworca. Uśmiechnięty portier, który stale witał z szacunkiem i radością panią Blakeney, od dawna już, jak się okazało, stracił posadę. Bagażem ich zajął się brudny, obdarty człowiek o ponurej twarzy. Właściciel, oznajmił, był nieobecny w Cluju, on sam zajmował się wszystkim. Wytłumaczył im łamaną niemczyzną, że prócz pierwszego śniadania hotel żadnych posiłków nie podaje, ponieważ restauracja jest pod oddzielnym zarządem. Z pewnością „państwo tam coś dostaną do zjedzenia”.

Było to wszystko bardzo nieprzyjemne. Rosemary była zaskoczona tymi zmianami. Wesole ongiś miasteczko, Kolozswar, tak ożywione zazwyczaj o tej wieczornej godzinie, zdawało się być pogrążone we śnie. Ulice były słabo oświetlone, z każdego kąta wyglądała melancholia. Hotel również był słabo oświetlony, brudny, martwy. Meble uległy zniszczeniu, pościel nie grzeszyła zbytnią czystością i sam pokój nie sprawiał wrażenia schludności, jaka go cechowała za dawnych czasów. Rosemary niemal bezsennie spędziła noc. Była zmęczona podróżą, ale mówiła sobie, że czeka ją trudniejsze

zadanie, niż znoszenie takich drobnych przeciwności. Pocięszała się przy tym myślą, że jest to jedyna jej noc w Cluju. Następnego dnia powóz hrabiego Imreya (nie wolno mu było trzymać samochodu) miał zajechać po nią i po Gaspara i zawieźć ich do Kis-Imre, gdzie czekało ich najserdeczniejsze powitanie i wszelki możliwy komfort i zbytek.

Chciała tylko zobaczyć się przed wyjazdem z Anną Heves, z Aneczką, jak ją nazywał Piotr, z ładniutkim, zachwycającym dzieckiem, które Rosemary przyrzekła ucałować w imieniu Piotra. Anna ułatwiła jej spełnienie tego zamiaru: nazajutrz w chwili, gdy Rosemary, umyta i uczesana, zarzucała na siebie elegancki szlafroczek, by przejść do sąsiedniego pokoju na śniadanie, zapukano do jej drzwi i weszła Anna. Słodka, kochana Aneczka, patrząca na nią spojrzeniem Piotra i uśmiechająca się jego uśmiechem! Byłaby bardzo ładna, gdyby nie nadmierna bladość policzków i nie głębokie cienie pod oczami — oczami Piotra!

— Zawstydzona jestem, miss Fowkes — wyszeptęła Anna nieśmiało, ale Rosemary nie dała jej dokończyć i otworzyła ramiona:

— Aneczko, pocałujmy się! — Z okrzykiem zapału rzuciła się młoda dziewczyna w jej objęcia i, oparłszy głowę na przyjaznym ramieniu, wybuchnęła płaczem. Rosemary dała jej się wypłakać, oczy jej zasłyły również mgłą, bo wygląd Anny nie pozostawiał żadnych wątpliwości co

do jej ciężkich warunków materialnych: odzież jej była podarta a twarz wyraźnie świadczyła o niedokarmieniu. Biedna mała Aneczka! Gdyby Piotr ją widział!

Po kilku minutach Anna uspokoiła się. Rosemary poprowadziła ją ku kanapie i siadły obok siebie.

— Zacznijmy od sprostowania — rzekła wesoło Rosemary — nie nazywaj mnie miss Fowkes, dziecko. Zawsze byłam Rosemary, prawda?

Aneczka skinęła głową potakująco, blady uśmiech zjawił się na jej twarzy.

— A wiesz, Aneczko, że ja wyszłam za mąż? — zapytała Rosemary.

— Nie słyszałaś o tym?

Anna potrząsnęła głową przecząco. Mówić nie mogła jeszcze po niedawnym wzruszeniu.

— Prawda, jaka ja niemądra — rzekła Rosemary wesoło. — Gaspar i ja pobraliśmy się bez wszelkiej pompy w Londynie, a nie jesteśmy tak wybitnymi osobistościami, by miały o tym pisać dzienniki węgierskie. Mężem moim jest lord Tarkington, najlepszy, najmilszy z ludzi. Powiem mu, że tu jesteś. Tak by pragnął cię poznać!

— Nie, nie, droga, kochana Rosemary! — przerwała szybko Anna — nie mów lordowi Tarkington, że jestem u ciebie. — Ja — ja nie chcę widzieć się teraz z obcymi. Jak widzisz, nie jestem ubrana na tę okazję a przy tym...

— Gaspar patrzyłby na twoją uroczą twarzyczkę, Aneczko, i nawet nie zauważyłby twej sukienki. A nie będziesz przecież uważać mego męża za „obcego”, prawda?

Anna pochyliła głowę w milczeniu. Patrzyła przed siebie w próżnię. Rosemary mówiła dalej pogodnie, jakkolwiek serce jej krwawiło na widok tej nędzy, której była bierną obserwatorką.

— Wiesz, kochanie, że nie bardzo rozumiem, jak się to dzieje, że jesteś w Cluju, a raczej w naszym poczciwym dawnym Kolozswarze. Twój kuzyn, Piotr Blakeney, powiedział mi, że cię tu zastanę i że cię listownie uprzedzi o moim przyjeździe. Więcej nic nie wiem. Gdzie twoja matka?

— Matka jest jeszcze w Uljaku — odrzekła Anna spokojnie — rozgląda się za jakąś posiadłość, ale naturalnie perspektywy są nikłe, trudno dziś o pracę, bardzo trudno. Zabrano nam ziemię, matce zostawiono tylko mały kawałek gruntu, za mało, by wyżywić konie. Matka rady sobie dać nie może, a przeszła już tyle...

I znowu łzy jej się puściły z oczu. Rosemary ściągnęła brwi.

— Ale dlaczego ty nie zostałaś przy boku matki, Aneczko? — spytała.

— Ja tu trochę zarabiam, a Maria jest w domu. Ona jest młodsza ode mnie i, przypominasz sobie może, że zawsze była ulubienicą matki.

— Jak to rozumiesz, Aneczko, że ty tu trochę zarabiasz? W jaki sposób?

Anna zawahała się chwilę. Podniosła głowę i zobaczyła oczy Rosemary utkwione w jej twarzy z badawczym wyrazem, oczy te jednak patrzyły na nią tak przyjaźnie, że nieufność i gorycz dziewczyny stopniały pod ich spojrzeniem.

— Zatrudniona jestem w sklepie Baloga, kupca kolonialnego — odparła z prostotą.

— Baloga, kupca kolonialnego? Ty?!

Ten okrzyk pełen zdumienia wyrwał się mimo woli Rosemary. Przed oczyma stanęła jej pani Blakeney, wytworna dama, która, wyszedłszy za męża za znakomitego uczonego, zdobyła w krótkim czasie świetną pozycję socjalną i towarzyską w Anglii, dzięki swemu wdziękowi, taktowi i temu nieopisanemu urokowi, na jaki składają się pochodzenie i wychowanie. Pomyślała o Piotrze, który odziedziczył wdzięk matki i jej dewizę życiową: „szlachetny obowiązek”. Czy Piotr wiedział, że Aneczka cierpiała tak strasznie, skrzywdzona, jak tylu innych, ostatnim traktatem pokojowym?

Rosemary odruchowo otoczyła znów ramieniem drobną, wątłą postać.

— Aneczko — rzekła poważnie — jesteś po prostu wspaniałym człowiekiem! Podziwiam twą dzielność ponad wszystko. Ale przecież na pewno znalazłoby się dla ciebie inne zajęcie niż posada w sklepie kolonialnym!

Umysł jej jednocześnie już snuł projekty, w jaki sposób można by przyjść z pomocą Aneczce. Nie mogła ona nadal sprzedawać artykułów spożywczych w małej mieścinie rumuńskiej. Nie do pomyślenia! Piotr z pewnością nie wiedział o tym. Jak mu donieść, że Rosemary zastała Annę na takiej posadzie?

Trzeba działać niezwłocznie. Gdy tak siedziały obie pogrążone w myślach, Rosemary ujrzała nagle Gaspara, który przyglądał im się, stanąwszy niepostrzeżenie na progu. Jak długo tam stał, nie wiedziała. Spotkała jego oczy i jak zawsze, wyczytała w nich odbicie swych własnych myśli i aprobatę jej zamiarów. Po tej wymianie myśli Gaspar wrócił do sąsiedniego pokoju i zamknął drzwi po cichu.

— Posłuchaj, kochanie — rzekła Rosemary z zapalem. — Ja tu przyjechałam na zaproszenie generała Naniescu, będącego, o ile mi wiadomo, gubernatorem Transylwanii. Pragnie on, bym poznała bliżej stosunki społeczne i polityczne, jakie tu obecnie panują. Mam napisać szereg artykułów na ten temat dla pism angielskich i amerykańskich i muszę mieć koniecznie sekretarkę, otóż...

Anna potrząsnęła głową przecząco.

— Nie umiem pisać na maszynie — odrzekła sucho — i nie znam stenografii.

— Ani jedno, ani drugie nie jest potrzebne — odparła Rosemary. Anna patrzyła jej prosto w oczy.

— Nie wyobrażasz sobie chyba — rzekła spokojnie — że artykuły twoje zostaną puszczane przez cenzurę, jeżeli będą zawierać choć setną część prawdy. Jeżeli zaś nie będą zawierały prawdy, to nie sędzę, bym ja właśnie była ci przy nich pomocna.

— Jest to piękna postawa patriotyczna, Aneczko — odparła Rosemary z tryumfalnym uśmiechem w oczach — ale nie masz się czego obawiać. Artykuły moje będą zawierały prawdę i tylko prawdę, a cenzor nie będzie miał prawa ich przeglądać nawet. Daję ci na to słowo.

Ale Anna nie była przekonana.

— Rosemary, droga moja — rzekła poważnie — nie myśl, bym była uparta lub niewdzięczna. Wyobraź sobie z drugiej strony, czym dla mnie

byłoby wyzwolenie się z tej orki, nudnej i upokarzającej, od której czasem uciekam do kościoła i modłę się o rychłą śmierć! Ale widzisz, droga, gdy się ma tak nieszczęśliwą ojczyznę, jak nasza, trzeba jej służyć wszelkimi sposobami i za każdą cenę, czyż nie?

— Oczywiście — przyznała Rosemary, zaskoczona dziwną powagą dziewczyny i gorącym patriotyzmem, który wyraziła w swoich słowach, — ale nie pojmuję, jak możesz służyć ojczyźnie, sprzedając u Baloga towary kolonialne.

— Nie, nie! Nie tą drogą, naturalnie — gorliwie zaprotestowała Anna. — Ale Rosemary, tobie jednej mogę zaufać. Nie wiesz nawet, czym jest dla mnie taka szczerza rozmowa. Po prostu nie mogę się jeszcze z tym oswoić, tak odwykłam od zwierzania się komukolwiek. A mogłabym ci powiedzieć rzeczy... Wiesz przecież, że bardzo cierpimy pod berłem tyrana, który nie dopuszcza wręcz możliwości, by słowo prawdy przedostało się na zewnątrz, prócz najbanalniejszych wzmianek natury prywatnej, cenzura nie wypuszcza stąd jednego zdania.

Dziewczyna odetchnęła głęboko. Rozejrzała się następnie wokoło, jakby chcąc się upewnić, że nikt nie podsłuchuje jej rozmowy z Angielką, której, jak wiedziała, może zaufać, po czym zapytała znienacka:

— Pamiętasz mego kuzyna, Filipa Imrey?

— Naturalnie.

— On miał zawsze duży talent pisarski. Jako mały chłopczyk pisywał poezje i powiastki. Ma on dopiero 19 lat, w przyszłym roku ma odbyć służbę wojskową w armii rumuńskiej, a to jest gorsze niż piekło, dla każdego Węgra! Pomyśl, Rosemary, że Anglik musiałby służyć w wojsku niemieckim! Czy to jest do pomyślenia? Ale na to nie ma rady. Jesteśmy zwyciężonym narodem i musimy pokutować. Ale stanowczo muszą narody Zachodu dowiedzieć się prawdy! Między nami mówiąc, mamy pewien plan, Filip i ja! Obmyślamy go już od dwu lat, ale urzeczywistnienie tej akcji musi potrwać. Nareszcie uzyskałam zgodę matki na mój wyjazd do Cluju dla zarobku i na podjęcie pracy w sklepie Baloga. Balog regularnie wysyła towar do Budapesztu: musztardę, sery, warzywa, ja zajmuję się pakowaniem przesyłek.

— Zrozumiałaś?

Rosemary skinęła głową potakująco.

— Tak jest, rozumiem. Filip pisze owe artykuły, które wychodzą w „Evening Post” i już spowodowały tyle odruchów sympatii dla Węgier i dla Transylwanii w całej Wielkiej Brytanii. A ty?... — spytała i wzrok jej

spoczął na twarzy Anny z wyrazem czułości i współczucia, pomieszanego z wyraźnym podziwem.

— Filip przyjeżdża konno z Kis-Imre — opowiadała dziewczyna z prostotą — i przywozi mi artykuły przez siebie napisane, ja zaś wsuwam je w przesyłki przeznaczone do Budapesztu dla firmy, będącej oczywiście w porozumieniu z nami, skąd idą one pocztą do Anglii.

O! Rosemary, co za szczęście móc się do tego przyczynić! Teraz pojmujesz, prawda, że nie mogę stąd odejść?

— Tak, Aneczko, rozumiem. Ale ty się okropnie narażasz.

— Wiem o tym i Filip również. Ale to właśnie napędza nas radością i dumą. Dni, w których paczki, zawierające jego artykuły, odchodzą do Budapesztu, są dla nas obojga prawdziwym świętem. Zazwyczaj odchodzą one w sobotę, w niedzielę rano zaś idziemy na mszę, wówczas nie zanudzam już Pana Boga moimi zmartwieniami i błaganiami, lecz dziękuję Mu, że mi pozwala pracować dla Węgier.

Rosemary milczała. Cóż mogła powiedzieć? Odwodzić od tego ryzykownego przedsięwzięcia tę młodą istotę było bezcelowe, zdawała sobie z tego sprawę. Rosemary była zbyt dobrym psychologiem i za wysoko ceniła patriotyzm, jako podstawową cnotę obywatelską i ludzką, by nie odczuwać szczęścia tych dwojga ludzi, składających w ofierze ukochanej ojczyźnie młodość, wolność, a może i życie.

— Jesteś wspaniałą, dzielną kobietą, moja droga Aneczko! — To były jedyne słowa, na które mogła się zdobyć, a głos jej brzmiał nieco chrapliwie pod wpływem dławiącego wzruszenia.

Patrzyła ze wzrastającym podziwem na tę drobną, wynędzniałą twarzyczkę, na tę orędowniczkę pokoju. Ryzykowała ona bodaj więcej niż niejedna bohaterka wojny, z wyjątkiem jednej jedynej: Edith Cavell też była ofiarą idei, dobroci i miłosierdzia, ofiarą, która, cierpiąc za ludzkość, więcej znosiła niż wielu męczenników.

Siedziały tak w milczeniu długą chwilę, trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy. Anna, wyczerpana nerwowo, osłabiona fizycznie niedojadaniem i niewygodami, drżała ze wzruszenia i z trudem zwalczała łzy, cisnące jej się do oczu. Rosemary czuła się niemal zawstydzona, że jest tak zdrowa, bogata, mądra i zdolna, tak zadowolona, chociaż nieszczęśliwa z małżeństwa z Gasparem i gorąco pragnęła pocieszyć i wspomóc tę wzniosłe myślącą dziewczynę, której usta uśmiechały się podobnie do ust Piotra. Anna tłukła głową o mur, Rosemary przewidywała, że wcześniej czy później uwikła się ona w matnię szpiegów rumuńskich. Myśli jej zwróciły się do

męża, Gaspar, dobry, wspaniałomyślny, wyrozumiały, znajdzie może jakąś drogę wyjścia dla Anny, coś co by jej pozwoliło pracować dla kraju bez narażania życia. Gaspar był wcieleniem taktu i mądrości życiowej.

— A teraz, Aneczko — rzekła Rosemary po dłuższej chwili — wypijesz filiżankę kawy z Gasparem i ze mną, nie odmówisz mi tego. Nie, nie! Nie pozwolę ci odejść, nie przedstawiwszy ci Gaspara. On cię polubi i będziecie się na pewno zgadzali w wielu różnych sprawach. Wy dwoje jesteście stworzeni, by się wzajemnie rozumieć.

Nie czekając na odpowiedź, zawołała i przedstawiła Gaspara. W mgnieniu oka uprzejme jego słowa przewyciężyły nieśmiałość Anny. W dwie minuty później siedzieli obok siebie przy stole, Rosemary zaś dzwoniła na pokojówkę i zamawiała pierwsze śniadanie dla wszystkich trojga.

Przyjemnie było patrzeć, jak idealna harmonia panowała między tym dwojgiem. Gaspar w ciągu kilku minut pozyskał sympatię i zaufanie dziewczyny. Anna ożywiła się, wyładniała, oczy jej rozbliły, usta straciły gorzki grymas. Nie mówiła o swym kuzynie Filipie, ani o niebezpiecznej grze, jaką prowadziła, lecz rozmawiała pogodnie o swojej matce, o Uljaku, o koniach i o trudnościach gospodarczych, na jakie narażeni byli Węgrzy pod panowaniem rumuńskim.

— Przyznaję, że jest w tym dużo naszej winy — zgodziła się z oględną krytyką Gaspara. — Nie zdobyliśmy serc chłopów, nie zrobiliśmy nic dla nich i nie staraliśmy się zniwelować różnic religijnych, rasowych i językowych. Ale czy pan sądzi, że wasi wieśniacy angielscy, dla których ufundowaliście kluby krokietowe, tenisowe, sale koncertowe i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze, czy sądzi pan, że ci wieśniacy kochają was i są wdzięczni, że nie odczuwają tej samej nienawiści, co chłopci rumuńscy do nas, Węgrów? I czy pan przypuszcza, że przyszliby oni panu z pomocą w takiej opresji, w jakiej my się obecnie znajdujemy? Czy pan naprawdę w to wierzy, lordzie Tarkington? — nalegała.

Gaspar uśmiechnął się pobłażliwie i wzruszył powątpiewająco ramionami.

Widać było, że oczarował go wdzięk Aneczki.

\* \* \*

Na zamku Kis-Imre Rosemary czuła się wybornie. Znała Imreyów z dawnych czasów, ale teraz dopiero oceniała ich należycie. Dawniej bowiem zbytek był tu czymś naturalnym, czymś, co się z wrodzoną gościnnością dzieliło z przybyszem tak, jak się z nim dzieli wodę i powietrze, obecnie zaś ugoszczenie na dawnym poziomie pociągało za sobą pewne ofiary, starannie

ukrywane, ale nie mniej istotne, a których Rosemary domyślała się z właściwą sobie intuicją. Przy tym zmienił się jej stosunek do Elzy Imre, ongiś była to kobieta — dziecko, dumna ze swego domu, swego bogato zastawionego stołu, wybornej kuchni, ze swych koni, ciesząca się tym wszystkim naiwnie, bez śladu pychy zresztą. Teraz wielkie, niebieskie oczy Elzy były nieco przyćmione od ciągłych łez, a kąciki ust opadły. Elza była jeszcze bardzo ładna ze swymi złotymi włosami, ale tu i ówdzie widać już było przedwczesne srebrne nitki.

Była ona inna niż pani Blakeney, a przecież wciąż ją przywodziła na myśl, podobnie jak jej zmarła siostra miała śliczną figurę, piękne ręce, wyjątkowo zgrabne nogi. Wycierpiała dużo podczas wojny i po zawarciu pokoju. Przyzwyczajona była do załatwiania samodzielnie interesów, odbywała narady z adwokatami, dzierżawcami, wydawała rozkazy służbie i ekonomom. Od czasu wojny ją uważano za głowę domu. Mariusz Imrey był neurastenikiem z urodzenia, a wojna wytrąciła do reszty z równowagi jego chore nerwy i usposobiła go, co najgorsza, bardzo zgryźliwie. Złośliwe języki szeptały, że Mariusz miał w żyłach krew cygańską, wyglądał raczej na Ormianina. Miał ciemną cerę i grube rysy, oczy czarne i przenikliwe, przekazał te cechy charakterystyczne swemu synowi Filipowi. Ale przy tym wszystkim był on człowiekiem kulturalnym. Dużo czytał i przemyślał to co czytał. Gaspar Tarkington znalazł w nim bardzo zajmującego, choć niezbyt wesołego towarzysza.

Filip, ubóstwiany przez matkę, wielbiony przez ojca, był przystojnym chłopcem, świetnym tancerzem, doskonałym muzykiem, był bardzo pociągającym młodzieńcem. Jeżeli istotnie cygańska krew płynęła w jego żyłach, to zawdzięczał jej urodę i talent muzyczny. Miał włosy ciemne, kręcone, wielkie oczy o łagodnym spojrzeniu i długich rzęsach, które dla dziewczyny byłyby darem niebios. Gaspar nazwał go zniewieściałym, ale Rosemary, poinformowana przez Annę o jego działalności, żywo zaprotestowała. Nie mógł być zniewieściałym chłopiec, który pisał te artykuły, jakie wychodziły w „Evening Post” i bezustannie niemal był w drodze między pałacem rodzicielskim a Clujem, mając w kieszeni owe niebezpieczne rękopisy.

Ale o tym, rzecz jasna, Gaspar nie wiedział.

\* \* \*

Elza Imrey rozmawiała z Rosemary bardzo szczerze i opowiedziała jej, że hrabia Imrey, mąż jej, złożył królowi rumuńskiemu przysięgę wierności. Zrobił to dla Filipa. Wysiłkiem całego ich życia było ocalenie dziedzictwa



dla jedynego ich dziecka. Rumuni zaś czyhali tylko na preteksty wywłaszczenia Węgrów transylwańskich. Wielu już opuściło ziemię ojców. Nic na świecie nie mogło ich skłonić do złamania przysięgi, złożonej prawowitemu królowi Węgier. Wywędrowali zatem. Czasem w 24 godziny pakowano rzeczy i opuszczano ziemię, na której przodkowie siedzieli przez szereg wieków. Ale hrabina Imrey nie dopuściła do tego. Jej szło o przyszłość Filipa. Okupacja rumuńska była według niej faktem dokonany, a oni byli zbyt słabi, bezsilni, by się sprzeciwić. Ale trzeba było bardzo uważać na każde słowo, jeden fałszywy krok mógł ich zgubić. Hrabina drżała, gdy mąż jej usta otwierał: był on taki nieostrożny i taki nieposkromiony w języku!

Rosemary słuchała tych wynurzeń z zapiętym oddechem. Pomna zwierzeń Anny Heves, cierpiała, myśląc o grozie, wiszącej nad ich domem, nad tą matką, żyjącą li-tylko życiem syna. Te ciągle wyjazdy Filipa! Ona wiedziała, co one znaczą. A szpiegów rumuńscy czuwali!

Ale podczas posiłków poruszano same tematy pogodne i obojętne. Kierowała rozmową Rosemary, a jej życzenia były tu rozkazami. Gościnni ci ludzie o żywiołowym temperamencie mieli przedziwny dar zapominania o swych troskach i oddawania się nastrojowi chwili. Tak więc podczas obiadu przygrywała orkiestra cygańska sprowadzona z pobliskiego miasteczka, w powietrzu unosiły się tęskne rzewnozmysłowe refreny melodii węgierskich, przemawiające do cudzoziemców nie mniej jak do tuziemców.

Rosemary, będąca doskonałą tancerką, marzyła o nauczaniu się czardasza. Zręczne jej nogi szybko pochwyciły rytm tego arcytrudnego tańca, który Filip pokazywał jej z całą gorliwością. Rosemary oddawała się całkowicie przyjemności obracania się wkoło, przyśpieszania tempa, to znów zwalniania i ciągłego niemal unoszenia się w powietrzu. Opuszczał ją wszelki intelektualizm, stawała się młodym, pięknym zwierzątkiem, cieszącym się swymi zmysłami, darami przyrody, tą upojną muzyką, tym żywym ruchem, wonią wędnących róż w wazonach.

Prędeż, wciąż prędeż! Wydała lekki krzyk, gdy Filip uniósł ją z ziemi i obrócił się z nią kilkakrotnie dokoła, podnosząc ją na zakończenie wysoko i przyśpieszając tempa tak, że aż światła migwały jej tylko przed oczami.

Prędeż, jeszcze prędeż! Wszystko jej się mieniło w oczach, nic już nie widziała prócz kręconych włosów Filipa. Muzyka zdawała się teraz zlewać z wszechświatem, tak, jakby to grał niejeden człowiek, nie kilku ludzi, lecz jakby całe powietrze rozbrzmiewało tysiącem dźwiękowych wibracji, dających ten rytm nieustający i nie kończący się chyba nigdy...

Wtem — wszystko ustało. Muzyka — ruch — wszystko. Rosemary byłaby upadła, gdyby Gaspar błyskawicznym ruchem nie był jej chwycił w objęcia. Zaśmiała się głośno.

— Co się stało? — zapytała, głos jej brzmiał trochę nerwowo.

Wtedy dopiero zaczęła się rozglądać. Najpierw ujrzała głowę Gaspara, pochylonego ku niej, ale patrzącego nie w jej twarz, podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i stłumiła krzyk przerażenia, kładąc rękę na ustach. W jednej sekundzie uległ zmianie radosny obraz. Cyganie skupili się w najciemniejszym kącie pokoju, trzymając w rękach instrumenty, starali się stać niewidzialnymi. Dwóch weszło pod fortepian, widać było tylko ich nogi w starym zniszczonym obuwiu, wystające spod brokatowej makaty.

Pośrodku pokoju zaś stała grupa mężczyzn w mundurach rumuńskich. Jeden z mężczyzn trzymał dłoń na ramieniu Filipa, którego otoczyli oni zwartym kręgiem. Był on jeszcze zdyszany tańcem, odurzony rytmem i muzyką i oczy jego błędziły z odcieniem zdziwienia od jednego żołnierza do drugiego.

Na progu drzwi, prowadzących do holu, stało dwóch służących, patrzyli oni na tę scenę jak zahipnotyzowani.

Rosemary miała szum w uszach i widziała rzeczy otaczające jak zza mgły. Pokój jeszcze wirował z nią razem, ale poprzez mgiełkę i szum w głowie, usłyszała:

— Opór na nic się nie zda. Lepiej pan zrobi, idąc z nami dobrowolnie. — Słowa te zostały wypowiedziane w języku rumuńskim, który Rosemary rozumiała.

Wtem rozległ się krzyk, przypominający ryk zranionego zwierza i Mariusz Imrey zerwał się. Ze schyloną głową wtargnął między żołnierzy, jak byk w furii, uderzający na wroga. Odepchnięto go, powalono na fotel z powrotem, ale on uczeplił się ramionami żołnierzy, obrzucając ich obelgami, a gdy obezwładniono go, kopał nogami jak szalenciec.

Jeden z żołnierzy, wyglądający na oficera, zwrócił się do niego, chłodno, ale grzecznie:

— Zachowuje się pan jak nieprzytomny człowiek, panie hrabio — dodał. — Niestety, obowiązkiem moim będzie zaaresztować pana również, jeżeli zechce pan przeszkadzać moim żołnierzom w spełnieniu otrzymanego rozkazu.

W odpowiedzi na te słowa Mariusz obrzucił go potokiem nowych obelg. Oswobodził się z uścisku żelaznych rąk, trzymających go z wysiłkiem, podniósł groźnie nogę do góry i zakrzyczał dziko:

— Jeżeli się mnie ośmielisz dotknąć, ty, nędzniku...

Ale zaraz objęły go od tyłu ramiona, silniejsze niż ręce żołnierzy i posadziły go przemocą na krześle. Były to ramiona jego żony. Elza Imrey przez cały ten czas nie straciła przytomności umysłu, mając jedynie na celu przyszłość i bezpieczeństwo Filipa. To upokarzające najście domu, bezczelna postawa żołdactwa rumuńskiego, to brutalne uprzytomnienie faktu okupacji i obcych rządów obchodziły ją niewiele w tej chwili. Jediną jej myślą był Filip, niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, a jakie potęgował szła jego ojca. Boże, co by to było, gdyby Mariusz zranił jednego z żołnierzy! Przytrzymała go więc, położyła mu dłoń na ustach, Rosemary posłyszała jej zdławiony, nerwowy szept:

— Mariusz, na miłość boską! Mariusz, uspokój się! Mariusz, zaklinam cię na życie Filipa, będące w niebezpieczeństwie, panuj nad sobą. Milcz!

Walczyła rozpaczliwie, trzymając go, jak tylko matka może trzymać wroga szczęścia i życia swych dzieci. Oficer przyglądał im się z ironicznym uśmiechem, gdy wreszcie Mariusz został okiełznany i zmuszony do milczenia:

— Jest pani bardzo rozumna, hrabino — zwrócił się do Elzy — że hamuje pani gniew pana hrabiego. Otrzymałem bowiem rozkaz aresztowania państwa trojga w razie oporu z ich strony. Nie potrzebuję dodawać, że wówczas państwo oboje będziecie wygnani z kraju, a syn wasz...

Przerwał mu straszny krzyk Elzy. Stała się naraz pokorna, czołobitna, cała arystokratyczna dumą opuściła, została tylko drżąca z trwogi matka. Przytrzymywała ona jeszcze ciągle Mariusza, bo bała się stracić władzę nad nim, ale zwróciła zalaną łzami twarz, z tragicznym wyrazem bólu i błagania ku Rumunowi:

— Niech pan nie zważa na hrabiego, kapitanie — rzekła, usiłując na próżno mówić pewnym, spokojnym głosem. — Pan — pan go zna — od lat — prawda? Pan pamięta — on zawsze był — gwałtowny — bawiliście się — pan i pańscy bracia — irytowaniem go w obecności chłopów — i strachem tych ludzi przed nim. Pamięta pan? — gdy pan był w garnizonie Sinaia, a myśmy mieszkali w Tusnad, przyjeżdżał pan do nas na śniadania i na bale samochodem i...

— Do obowiązków żołnierza nie należy pamiętanie takich szczegółów, pani hrabino — przerwał młody oficer. — O ile pan hrabia przestanie znieważać moich ludzi, zostawię go w zupełnym spokoju. W przeciwnym razie zmuszony będę aresztować państwa oboje.

Odwrócił się i mówił coś do żołnierzy. Chciał najwidoczniej dać Mariuszowi czas do namysłu. Rosemary znów posłyszała głos Elzy, drżący szaloną trwogą:

— Mariusz, na miłość boską... — Ten sam refren, ta sama modlitwa o uległość, jedyny sposób ulżenia losowi Filipa. Nie mogli nic złego mu zrobić, oczywiście. Co ten biedny chłopiec zawinił? Nic. Biedna matka łamała sobie głowę, chcąc domyśleć się, przypomnieć sobie, co on mógł popełnić. Nic. Złożył przysięgę wierności nowemu królowi. Następnego roku odbędzie swą powinność wojskową, istne piekło, ale Filip nie uchylał się nigdy od tego, nie narzekał nawet przed nikim. Nigdy nie należał do tych nierozsądnych ugrupowań politycznych, spotykających się potajemnie nocą i spiskujących. Nigdy w podobne rzeczy się nie wdawał. Ta chmura przejdzie niebawem, jest to nieporozumienie, omyłka. Byle tych ludzi nie drażnić, wszystko się wyjaśni.

Filip cały ten czas milczał. Pierwszym ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie była dla niego dłoń żołnierza na jego ramieniu. Zdyszany i odurzony tańcem nie próbował nawet protestować ni słowem, ni gestem. Wielkie jego, cygańskie oczy błędziły nieufnie od twarzy kapitana do twarzy wszystkich żołnierzy po kolei. Ale nie pytał o nic. On wiedział dobrze, co się stało.

Przed dwoma dniami pojechał konno do Cluju z pewnymi artykułami dziennikarskimi w kieszeni. Dał je Annie. Spędzili razem jeden z owych pięknych dni, równoważących w ich odczuciu ryzyko, na jakie się świadomie narażali. Widocznie podpatrzono go, wyszpiewowano, wyśledzono. Wiara w fatalizm, właściwa jego rasie cygańskiej, nakazywała mu rezygnację. Powoli twarz jego przybrała wyraz kamiennego spokoju, oczy zapatrzyły się w dal. Ale raz jeden Rosemary spotkała jego oczy. Wyczytała w nich jeden wyraz: „Anna!“. Filip milcząco, rozpaczliwie wstawiał się za Anną, błagał ją o pomoc i opiekę nad nią. To nagłe zrozumienie wzroku Filipa pomogło jej otrząsnąć się z odrętwienia, jakie owładnęło całym jej ciałem, gdy nagle przerwano im taniec, a ona padła w tył w ramiona Gaspara.

Wiedziała równie dobrze, jak Filip, co tu zaszło. Szpiedzy, jazda do Cluju, rękopisy wręczone Annie. A teraz aresztowanie Filipa i śmiertelne niebezpieczeństwo nad głową młodej dziewczyny.

— Czy można im pomóc? — szepnęła szybko Gasparowi do ucha, poprawiając nerwowym ruchem włosy i obciągając suknię.

Gaspar potrząsnął głową. — Lepiej nie interweniować teraz — rzekł poważnie.

Ale Rosemary zbyt była poruszona, aby słuchać odpowiedzi. Przypomniała sobie Naniescu i jego przyrzeczenie, prawa, jakich jej udzielił i prośbę o napisanie „prawdy”. Czuła, że jest pewną potęgą z którą będą chcieli się liczyć, na której świadectwie im zależy i ten atut należało tu wygrać.

Bez słowa wybiegła z salonu i udała się do przedpokoju, gdzie umieszczony był telefon. Gdy zdejmowała słuchawkę i z szalonym pośpiechem wymieniała numer pałacu Imreyów w Cluju, modliła się gorąco, aby jej niebo udzieliło paru minut zwłoki w uprowadzeniu Filipa przez żołnierzy rumuńskich.

— Halo! Halo! Jego Ekscelencja General Naniescu? Lady Tarkington życzy sobie mówić natychmiast z Jego Ekscelencją! Proszę powiedzieć, że sprawa pilna, bardzo pilna. Tak, lady Tarkington, Angielka z Kis-Imre. No, mniejsza o moje nazwisko, wystarczy: Angielka z Kis-Imre.

Chwila oczekiwania, równego agonii, po czym miodowy głos Naniescu. Bogu dzięki! Był w domu i dotarła do niego.

— Generał Naniescu? Tutaj mówi lady Tarkington! Dziękuję panu, mam się dobrze, zupełnie dobrze. Tak, pierwszy mój artykuł będzie gotów z początkiem przyszłego tygodnia. Owszem, na ogół bardzo zadowolona. Generale Naniescu, Filip Imrey został aresztowany przed chwilą... Nie wiem... Aresztuje go jakiś kapitan. Nie, nic nie powiedział... Ależ tak, pewna jestem również, że to pomyłka... Ale nie mniej fatalna pomyłka. Tak, tak! Zechce pan? Naprawdę? Jutro rano? Bardzo pan dobry. Ledwo się odważyłam telefonować do pana. Naturalnie, że będę tutaj. Czy zechce pan się teraz porozumieć z kapitanem i wydać mu sam odpowiednie dyspozycje? Dziękuję panu z całego serca. Pan nie odchodzi? Zaraz panu przyślę kapitana. Nie wiem, jak panu wyrazić moją wdzięczność. Nie, na razie nic więcej, ale cieszę się na sposobność podziękowania panu osobiście jutro rano. Około godziny dziesiątej. Tak jest! Dziękuję panu po tysiąc razy. Dobranoc!

Zaledwie skończyła, gdy usłyszała odgłos ciężkich kroków za sobą i ujrzała żołnierzy z kapitanem na czele i z Filipem pomiędzy nimi. Słyszać było tylko odgłos kroków. Żadnych protestów, żadnych krzyków. Filip pomiędzy żołnierzami, za nim Elza, milcząca, bacząca na każdy ruch, każde drgnienie syna i jego prześladowców, wpatrzona w jego ciemne, kręcone włosy i jego mocne barki.

Rosemary zaczekała, aż kapitan był tuż przed nią. Ukłonił się i miał zamiar przejść mimo, ale ona, jak tryumfująca bogini, zatrzymała go ruchem ręki.

— Jego Ekscelencja — Gubernator jest przy telefonie — rzekła krótko i podała słuchawkę młodemu oficerowi. — Życzy sobie mówić z panem.

Rumun, wyraźnie zaskoczony, przyjrzał jej się chwilę, marszcząc brwi, zanim wziął z jej rąk słuchawkę. Żołnierze przystanęli w oczekiwaniu dalszych rozkazów. Za nim Elza stała w wyczekującej postawie, w półmroku widniały tylko jej złote włosy i śmiertelna bladość jej twarzy.

Po krótkim wahaniu kapitan przyłożył słuchawkę do ucha.

— Tak jest, Ekscelencjo. Nie, Ekscelencjo. Tak jest Ekscelencjo. — Nastąpiła długa przerwa, podczas której kapitan stał ze słuchawką przy uchu, a Elza podeszła bliżej z niemym pytaniem w oczach, Rosemary z błyszczącymi oczami i zagadkowym uśmiechem położyła palec na ustach. Wreszcie: — Rozumiem Ekscelencjo! Tak jest, zupełnie dobrze rozumiem, na pewno! Oczywiście! — i kapitan odwiesił słuchawkę.

Następnie zwrócił się do Elzy, która przysunęła się tuż do Rosemary, ukłonił się obu paniom po wojskowemu, dotykając ręką swego kepi.

— Z rozkazu Jego Ekscelencji Generała Naniescu — rzekł — hrabia Filip Imrey ma prawo pozostać pod tym dachem. Da on nam słowo honoru, że nie opuści zamku przed przybyciem Jego Ekscelencji, który wybiera się tu jutro rano.

Na tym się skończyło. Filip dał żądane słowo honoru. Wśród ukłonów i salutowań młody kapitan wraz ze swymi żołnierzami opuścił zamek. Dopiero wtedy Elza przestała panować nad sobą: objęła Filipa za szyję i wybuchła spazmatycznym płaczem. Filip gładził włosy matki, całował ją w czoło, ale oczy jego patrzyły na Rosemary z naciskiem. Rozumiała to spojrzenie i odpowiedziała mu pełnym otuchy uśmiechem. — To dla dobra Anny — mówił ten uśmiech. — Anna ocaleje na pewno.

Teraz wróciła do salonu uspokojona. Gaspar wyciągnął do niej rękę, a kiedy mu podała swoją, podniósł ją do ust i pocałował. Wzięła to za uznanie i podała mu czoło do pocałowania. Wówczas wziął jej głowę w obie dłonie i patrzył jej w oczy długo i uważnie.

Nieraz to robił, lubił trzymać jej twarz w swych dłoniach, wyczuwać palcami aksamit jej policzków, Rosemary zaś okazywała mu wymownym spojrzeniem całą czułość i wdzięczność, na jaką zasługiwał. Ale dzisiaj było to coś innego, coś mocniejszego, nieomal strasznego. Dla uczuciowej i wrażliwej kobiety każda niepodzielana przez nią namiętność mężczyzny jest

czymś przerażającym, strasznym. Nerwy Rosemary były tego wieczoru napięte do ostateczności. Czyż kiedy indziej byłaby odczuła ten nedorzeczny strach przed nim?

Spojrzenie Gaspara nie tyle szukało jej duszy, ile usiłowało obnażyć ją. Coś w nim było, zda się, na uwięzi i pragnęło się wyzwolić przy jej pomocy. Jakaś siła większa niż miłość nawet, niż jego wielka miłość do niej, była w tym spojrzeniu siłą, która i tę miłość ujarzmiła. Rosemary nie mogła tego zrozumieć. Doznała tego samego dziwnego uczucia w owo popołudnie w Londynie, kiedy ją poprosił o wzięcie z nim ślubu przed wyjazdem do Węgier. Teraz wyglądał jak hipnotyzer, jakby chciał przelać w jej serce pożerającą go namiętność. I nagle pod wpływem tej woli, narzucającej się jej tak potężnie, Rosemary pojęła, że nigdy nie będzie mogła dać duszy za duszę, namiętności za namiętność. A jednak przyjdzie taki dzień, kiedy mężczyzna zażąda od niej, znużony sentymentalnym, niemal platonicznym stosunkiem — jej ciała, umysłu, duszy, wszystkiego słowem — ale zwłaszcza duszy — której ona dać nie będzie mogła, nie będzie chciała.

Dziwne to poznanie zaiste, to przeczucie raczej, ta obawa w momencie, kiedy oboje byli postronnymi osobami dramatu o szerszym podkładzie, rozgrywającego się przypadkowo w ich bezpośredniej bliskości. Jak wszystkie wielkie chwile w życiu człowieka, trwało to uczucie nader krótko. Był to błysk, ale wycisnął trwałe piętno na wspomnieniach Rosemary z tego okresu. Chciała w parę minut później po raz wtóry odczuć to samo, ale wrażenie już minęło, a wrażenia nie dają się wywoływać świadomie. Gaspar znowu wyglądał jak zwykle, mile i uprzejmie, umieścił ją na wygodnym fotelu i zajęty był podsuwaniem jej pod plecy i pod głowę niezliczonej ilości poduszek. Elza weszła z Filipem, a Mariusz ocknął się ze swej apatii i zaczął rzucać obelgi pod adresem tych łajdaków, zbrodniarzy-Rumunów.

Orkiestra cygańska również wróciła do salonu. Muzykanci uspokojeni zaczęli znowu przygrywać z cicha. Popłynęły tony melodii tęskne, marzące: „Jest na świecie jedna tylko piękna dziewczyna”, zapomniano o niebezpieczeństwie tak niedawnym wszakże. Elza siedziała, trzymając w swych rękach dłoń syna. Rosemary marzyła: muzyka przypominała jej kącik łoży w Albert Hallu, a w półmroku widziała wyraźnie ukochane rysy nieobecnego mężczyzny. I wtem, gdy straciła poczucie rzeczywistości usłyszała namiętny, poważny głos męski tuż przy sobie: „Nie należy, droga, myśleć o tym, co już nie wróci”.

Poranek był pogodny, uroczy, powietrze czyste, jak kryształ, niebo — turkusowe. W dali rysowały się czerwienieją kontury pagórków, ukrywające tajemnice horyzontu.

Rosemary otworzyła okno swej sypialni i wyszła na balkon. Z wyciągniętymi ramionami wciągała w płuca to upajające powietrze, przesycone wonią bzów i heliotropów. Miała rozkoszne poczucie dokonania czegoś pożytecznego, czegoś, co potwierdziło jej moc i władzę zarazem. Naniescu był niemal pokorny, gdy przy telefonie przeproszał ją za aresztowanie Filipa. Oświadczył, że musiała tu zajść pomyłka i że on przybędzie osobiście do Kis-Imre, by ją przeprosić. Rosemary za młoda była, by nie odczuwać naiwnej radości z tego powodu i ze swego dzieła. Uwolnienie Filipa, zwrócenie go matce, było rezultatem jej stanowiska w świecie dziennikarskim i politycznym. Była to świadomość równie upajająca, jak ten prześliczny poranek lipcowy.

W chwilę później usłyszała za sobą przyjemny odgłos filiżanek, ustawianych do pierwszego śniadania. Wróciła do pokoju i chciała uprzejmie powiedzieć „dzień dobry” małej pokojóweczce, patrzącej na nią zwykle z takim uwielbieniem. Ale wbrew swemu zwyczajowi pokojówka nie podniosła nawet oczu, gdy Rosemary weszła do pokoju. Zazwyczaj byłaby podbiegła i pocałowała ją w rękę, stosownie do tradycji wsi węgierskiej. Dzisiaj ustawiła na stole filiżanki i dzbanuszek z kawą i śmietanką, ale, jak zauważyła Rosemary, czyniła to drżącymi rękami, głowę zaś odwracała uparcie od światła.

— Co się stało, Rózo — zapytała Rosemary po węgiersku, siląc się na możliwie poprawne wysłowienie. — Dlaczego nie mówisz mi dzień dobry?

Miły jej głos i konieczność udzielenia odpowiedzi na pytanie do reszty wytrąciły Różę z równowagi. Podniosła fartuch do oczu i wybuchła płaczem. Rosemary podbiegła i otoczyła dziewczynę ramieniem.

— Rózo! — rzekła — Rózo! Co się stało? Powiedz mi, co ci jest, biedactwo. Co się stało? Kto jest powodem twoich łez?

Ale Róża płakała dalej, szepcząc tylko wśród szlochów:

— O! Łaskawa pani! Łaskawa pani! Co za klęska! Co za okropne zdarzenie!

Po kilku minutach Rosemary zaczęła tracić cierpliwość. Była ona praktyczną, czynną Angielką. Bezustanne szlochanie i urywane wykrzykniki Róży działały jej na nerwy. Potrząsnęła żartobliwie dziewczyną.

— Co za klęska, Rózo? — spytała. — Dziewczyno, opamiętaj się! Mów nareszcie!



Tę mowę Róża rozumiała znacznie lepiej niż łagodne naleganie. Energia „łaskawej pani” otrzeźwiła ją momentalnie, wytarła oczy i nos fartuchem i wyszeptała:

— Łaskawy hrabia Filip... zabrali go tej nocy.

Rosemary nie rozumiała od razu, co się stało. Sądziła, że Róża oszalała, albo też, że ona źle rozumie tę Węgierkę. Wpiła się paznokciami w jej ramię. — Co ty wygadujesz, Rózo? — wykrzyknęła — kto zabrał hrabiego?

— Żołnierze, łaskawa pani, — szepnęła Róża.

— Co za żołnierze? — pytała dalej niezbyt mądrze Rosemary, wiedziała wszakże, że nie było w Transylwanii innych żołnierzy, jak rumuńscy. Ale mózg jej nie mógł jeszcze pochwycić tego czegoś niepojętego, co tu zachodziło. Instynktownie chciała zyskać na czasie.

Róża odważyła się teraz spojrzeć „angielskiej pani” w oczy. Twarz miała jeszcze zalaną łzami.

— Rumuńscy żołnierze, łaskawa pani — odpowiedziała — ci sami, co byli tu wieczorem.

— Ależ oni odeszli bez niego, Rózo — tłumaczyła Rosemary powoli i cierpliwie. — Oni odeszli, a hrabia Filip pozostał w domu i położył się spać, podobnie jak my wszyscy. Antoni musiał na niego czekać jak zwykle.

Ale Róża westchnęła głęboko i znowu zaczęła ronić obfite łzy.

— Antoni czekał na hrabiego, gdy łaskawy hrabia szedł spać. Ale po północy żołnierze wrócili. Kazali odźwiernemu cicho się zachowywać, by nie budzić nikogo, prócz służącego hrabiego Filipa. Antoni, zbudzony, też się cicho zachowywał, bo żołnierze zagrozili mu pobiciem, jeżeli będzie hałasował lub krzyczał. Biedny Antoni mało nie zemdlał ze strachu, proszę łaskawej pani. Antoni zawsze był tchórzem. Cóż w tym dziwnego? Cygan! — Tu Róża wzruszyła wzgardliwie ramionami.

— Dobrze, dobrze! Mów dalej, dziewczyno, mów dalej! — nalegała niecierpliwie Rosemary.

— Żołnierze nie pozwolili Antoniemu ubrać się nawet. Prosto z łóżka, tak jak stał, kazano mu iść budzić hrabiego Filipa. Grozili, że dom podpalą, jeżeli rozlegnie się najmniejszy hałas. Łaskawy hrabia wyskoczył z łóżka, żołnierze stali przy nim, gdy się ubierał, ale nie dali mu nic z sobą zabrać, ani zegarka, ani pieniędzy, żadnego listu — nic! Wszystko razem, mówi odźwierny, trwało kwadrans czasu, nie więcej. Zabrali hrabiego, ale czterech zostało i zamknąwszy Antoniego i odźwiernego w mieszkaniu dozorczy, pilnowali ich do jakiejś godziny pierwszej w nocy. Potem dopiero odeszli, wypuściwszy ich obu, wówczas Antoni przybiegł z tą straszną wiadomością.

Och! Nasza pani hrabina! Nie powiedziała ani słowa i nie płakała, ale jakież to było straszne! O Boże! O Boże! Co się stanie z nami wszystkimi?!

Dziewczyna łamała ręce, a głos jej brzmiał rozpaczliwie wśród ciągłych szlochań, utrudniających jej mowę i bez tego dość niejasną chwilami dla cudzoziemki.

— Uspokój się, Rózo! Cicho bądź! — wyrzekła machinalnie Rosemary. Odczuwała potrzebę zebrania myśli. Jaką rolę odgrywał w tym Naniescu? Rosemary była zbyt prawą naturą, by posądzać drugich o oszustwo. Ludzie nazywają to głupotą. Ale Rosemary bynajmniej głupia nie była. W danej chwili nie dopuściła jednak do siebie podejrzenia względem generała Naniescu: może to młody oficer przesadził w gorliwości, albo też komendant placu z pobliskiego miasteczka żywił jakąś urazę do Imreyów. Ale Naniescu nie mógł jej podejść! Nie, to niemożliwe!

Odesłała Różę do kuchni. Prostaczka ta była komiczna w swych biadaniach i Rosemary, patrząc na nią, miała ochotę śmiać się wbrew powadze chwili lub gniewać na przemian. Odprawiła ją.

W chwilę później Gaspar wszedł na pierwsze śniadanie. Spojrzawszy na niego, Rosemary domyśliła się, że i on już słyszał hiobową wieść.

— Co ty o tym myślisz? — zapytała Rosemary, pocałowawszy go na dzień dobry.

— Kochanie — odparł Gaspar ze zwykłym sobie spokojem — myślę, że popełniasz duży błąd, wtrącając się do polityki tych obcych krajów...

— Tu nie o politykę chodzi, Gasparze — przerwała Rosemary.

— Wiem, dziecko, wiem. Znam też twe gorące serce i dlatego rozumiem, że działasz, gdy elementarna ostrożność nakazywałaby siedzieć cicho. Ale nie byłabyś tą czarującą istotą, jaką jesteś, gdybyś postępowała inaczej. Ale, wierz mi, najdroższa, że nie jest to rozsądne. Głową muru nie przebijesz. Ci ludzie wschodu muszą sami załatwić swe kwestie sporne. Mam przekonanie, że twoja interwencja tylko zaszkodzić może twym przyjaciołom. Poza tym, jestem przeświadczony, że młody Imrey zrobił jakieś głupstwo. Ci młodzi Węgrzy są w gorącej wodzie kąpani, a że nie lubią obcego reżimu to rzecz oczywista. Rząd zaś ma prawo bronić się przeciw spiskowcom i buntom, nawet jeżeli nam, cudzoziemcom, te spiski się wydają dziecinadą, a represje okrucieństwem. Trzeba ich zostawić samym sobie, najdroższa — zakończył Gaspar już pogodniej — my zaś napijmy się gorącej kawy.

Siadł wygodnie na sofie i usiłował ją przyciągnąć do siebie, ale Rosemary nie była usposobiona do pieszczot. Rozsądek przyznawał rację Gasparowi, ona wiedziała, że Filip „zrobił głupstwo” i że aresztujący go mieli

zasadniczo słuszność. Przyjechała tu w zamiarze oceniania faktów obiektywnie i sprawiedliwie i napisania szczerzej prawdy, toteż w sądach swych będzie bezstronna. Ale na razie musi ocalić Filipa od konsekwencji jego szaleństwa, a zwłaszcza musi się dowiedzieć, co się stało z Anną.

— Nie mogę ich zostawić własnemu losowi, Gasparze — rzekła powoli. — Nie mogę. We mnie na wszelką tyranie krew się burzy.

Gaspar westchnął z odcieniem zniecierpliwienia. — Wiem, droga, wiem — odrzekł wymijająco.

Rosemary zaniechała dyskusji z Gasparem. On miał zawsze rację, a Filip Imrey tak niesłusznie postąpił! Czyniła sobie wyrzuty, że nie odwiodła Anny od tej działalności konspiracyjnej. Wspomniała mężowi o Annie, ale Gaspar, nie wiedząc o całej akcji w sklepie Baloga, nie mógł oczywiście pojąć, co by mogło zagrażać dziewczynie.

— Ale — dowodziła Rosemary — Anna i Filip są spokrewnieni, blisko spokrewnieni, często się widują...

— Czyżby? — zdziwił się Gaspar — no, to nie dowód. Wyobraź sobie, droga, żeby rząd rumuński chciał aresztować wszystkich krewnych Imreyów, którzy są jedną z najbardziej rozgałęzionych rodzin węgierskich. Z pewnością ani mu to w głowie.

— No tak, zapewne — przyznała Rosemary powściągliwie.

Nie mogła zdradzić tajemnicy Anny, która z tak rozrzewniającym zaufaniem jej się zwierzyła. Gdyby niebezpieczeństwo się przybliżyło do dziewczyny, to co innego. Ale tymczasem nie wolno jej mówić.

Rosemary starała się zjeść śniadanie, by zrobić przyjemność Gasparowi, który patrzył na nią smutnymi oczami. Ale wszystkie jej myśli były przy Elzie.

— Czy ona zechce mnie przyjąć, czy jest na siłach? — zapytała raczej samą siebie. — Zamelduję się w każdym razie, spróbuję. Była to kobieta niezwyklej siły woli. Ale przez tę noc 20 lat jej przybyło. W całym zamku ona jedna nie płakała i nie miotała się, służba zachowywała się, jak grono szaleńców. Róża i Antoni mówili zresztą między sobą, że postawa pani hrabiny jest jakaś dziwna, ale kto by to rozumiał te wielkie panie? Elza wierzyła zresztą, że syn jej jest niewinny i z tej myśli czerpała nadzieję i otuchę. — Prawda, że nic mu nie mogą zrobić? — pytała rozdzierającym głosem, zwrócona ku Rosemary, ta zaś kiwnęła głową w milczeniu, niezdolna do wymówienia jednego wyrazu. Ona wiedziała już wszakże to, o czym ta nieszczęsna matka niechybnie dowie się niebawem.

Mariusz miotał się w swoim pokoju, jak dzikie zwierzę. Takie już miał usposobienie, jak twierdziła Elza — rezultat ormiańskiej krwi. (Nigdy nie pogodziła się z myślą, że to może być krew cygańska). Na szczęście służba była pewna, sami Węgrzy.

— Mariusz nie może pojąć—mówiła Elza — że jedynym ratunkiem dla Filipa jest uległość. Musimy poświęcić nasze usposobienie, urazy, nasze nienawiści. Jeżeli tylko uda mi się uspokoić Mariusza, Filip za tydzień wróci do nas.

Po chwili dodała znowu to samo:

— On przecież jest niewinny. Nic mu zrobić nie mogą. Prawda, że nie mogą?

\* \* \*

Naniescu przybył zaraz po dziesiątej. Rosemary usłyszała warkot motoru, gdy samochód generała wjeżdżał w bramę. Pokoje przez nią zajmowane wychodziły na park, nie widziała więc przyjazdu Rumuna, ale echa kroków, powitań, głosów dochodziły tu wyraźnie.

Gaspar na krótko przed przyjazdem generała poszedł na przechadzkę po parku, Rosemary przez ten czas przebierała się. Żałowała teraz, że nie poprosiła go, by koniecznie wrócił przed jej spotkaniem z Naniescu, aby ją chociaż swą obecnością poparł wobec niego. Ale była to tylko słabość przejściowa. Przywykła przez 4 lata do polegania na samej sobie i umiała powziąć błyskawiczną decyzję, gdy zachodziła tego potrzeba. Tak też i obecnie wzruszyła ramionami i zajęła się znowu gorliwie swą toaletą, było to bardzo ważne zajęcie, ważniejsze niż by się zdawało: ze specjalną uwagą badała w lustrze, czy Rosemary Tarkington nie jest mniej piękna niż Rosemary Fowkes, ale zwierciadło uspokoiło ją najzupełniej, siadła więc w buduarze z książką w ręku i czekała.

W kilka minut później jeden ze służących przyszedł jej oznajmić, że Jego Ekscelencja Generał Naniescu pragnie złożyć uszanowanie lady Tarkington.

Wszedł do pokoju, odświeżony i pełen galanterii. Ucałował rękę Rosemary, siadł na wskazanym przez nią krześle i dopytywał się o jej zdrowie, o podróż z Anglii do Transylwanii, o jej pracę, wszystko to słodkim głosem i okropną angielszczyzną. W ciągu tych pierwszych minut był on miłym, dobrze wychowanym światowcem, wymieniającym banalne grzeczności z ładną kobietą.

— Ten kochany Tarkington? — pytał. — Jak on się miewa?

— Mój mąż lada chwila się zjawi — odrzekła Rosemary, próbując nawiązać do najważniejszego tematu. — Zależy mu oczywiście bardzo na

zobaczeniu się z panem. — Nastąpiła króciutka pauza, rozmyślnie przez nią wywołana, po czym ciągnęła dalej już poważniej: — Mogę upewnić pana, Generale, że lord Tarkington interesuje się losem naszych przyjaciół i gospodarzy nie mniej niż ja sama.

— Naturalnie, naturalnie — odrzekł wymijająco Naniescu z nieokreślonym gestem swych wypielegnowanych rąk. — To strasznie głupi ludzie ci Imreyowie. A ten młody! Droga lady, nie może pani sobie wyobrazić, jakie kłopoty my mamy z tymi Węgrami! Oni są wszyscy trochę narwani, postrzeleni To, co Anglicy tak malowniczo określają, że mają „pszczołę w swych czapkach”. Co za obrazowy, wspaniały język!

Roześmiał się, zadowolony z samego siebie, uważając, że był bardzo dowcipny.

— Pszczoła w czapkach — powtórzył, robiąc wciąż faliste ruchy rękami. Zaciśnął zęby i naśladował brzęczenie pszczoły. — Bzzzzz! Ot tak! Ale — dodał sucho — pszczoły bywają męczące, zgodzi się pani ze mną?

— Pan zdecydowanie patrzy na tę rzecz żartobliwie, generale — rzekła Rosemary z odcieniem zniecierpliwienia — ale dla tych nieszczęśliwych rodziców nagle aresztowanie ich jedyne go syna nie jest żartem. Zeszłej nocy, przez telefon...

— Och, telefon! — przerwał generał z westchnieniem — cudowny wynalazek! Ale nie oddaje on tych drobnych niuansów, które są właściwą treścią rozmowy. Jakże słodko brzmiał czarowny głos pani w telefonie wczoraj wieczór! Nie byłem przygotowany na ten dźwięk, było to rozkoszne! Był to głos ducha, pochodzący z niewidzialnego miejsca, a usposabiający mnie do marzeń sennych.

Usiłował chwycić ją za rękę, a gdy wyrwała mu ją z wyrazem irytacji, zaśmiał się chrapliwie i zajrzał jej w oczy zuchwale. Rosemary czuła wzbierające w niej oburzenie, zapanowała nad nim li-tylko w poczuciu swej odpowiedzialności za istoty, które pragnęła ocalić dzięki temu bezczelnemu, a wszechmocnemu adoratorowi.

— Generale Naniescu — rzekła ze stanowczym spokojem — niech pan daruje, że nie mogę się dziś nagiąć do pana niefrasobliwego tonu. Jedyne syn moich drogich przyjaciół jest aresztowany za przestępstwo, o którym sam nie ma pojęcia, a na domiar złego został aresztowany w okolicznościach całkiem niezwykłych, dających mi do myślenia, że w kraju tym obowiązuje stan wojenny.

— Nie stan wojenny, ale skąd, droga lady — pośpiesznie i względnie serio zaznaczył Naniescu — ale obowiązują tu prawa, ustanowione przez

rząd suwerenny ku ochronie ludności rumuńskiej w dzielnicy okupowanej. Ale mniejsza o to. Wczoraj wieczorem była pani łaskawa poinformować mnie o aresztowaniu młodego Imreya i zaraz wydałem rozkaz wypuszczenia go na wolność. Ponieważ zamierzałem tu przyjechać dziś rano, chciałem osobiście tę rzecz zbadać i wyświecić.

— Hrabia Filip Imrey został zatem zwolniony z aresztu wczoraj o dziesiątej wieczór, a o północy aresztowano go powtórnie, nie dano mu nawet pożegnać się z rodzicami, ani zaopatrzyć w niezbędną odzież i gotówkę. Sądzę, panie generale — ciągnęła dalej Rosemary chłodnym tonem — że pan musiał być poinformowany o tym zdarzeniu.

Naniescu zawahał się, trwało to ułamek sekundy, po czym przyznał cynicznie:

— Oczywiście, wiedziałem o tym. A nawet stało się to na mój rozkaz.

Rosemary stłumiła oburzenie.

— A zatem? — spytała krótko, zdyszczonym głosem.

Ale Naniescu, ani trochę nie zmieszany, odpowiedział łagodnie:

— A jak ja mam rozumieć to zagadkowe dochodzenie, droga lady?

— Proszę je rozumieć jako wezwanie do usprawiedliwienia się z pańskich czynów — odparła odważnie Rosemary.

Pod jego szyderczym spojrzeniem zarumieniła się jednak. Rozumiała, że ta odpowiedź była bardziej efektowna niż zręczna. Traciła przewagę nad nim: bo skąd ona, cudzoziemka, ma prawo do żądania usprawiedliwienia się wobec niej, jego, namiestnika tej prowincji. Rosemary za dużo miała zdrowego rozsądku, by nie pojąć natychmiast, że przy całej potędze prasy, Naniescu nie pozwoli się egzaminować lub opanować przez najbardziej nawet wpływowego dziennikarza, obcokrajowca. Zapanowała więc znowu nad swym oburzeniem, mówiąc sobie, że raczej taktem zbawi rodzinę Imreyów. Tylko dyplomacja, dobry humor i pozorna uprzejmość mogły ocalić zagrożoną pozycję.

— Panie generale — rzekła po chwili — wiem, że mi pan wybaczy mój zły humor. Doznałam takiej przykrości w ciągu ostatnich kilku godzin, że nerwy moje są napięte. Pojmuję, że nie moja to rola krytykować zarządzenia władz rumuńskich względem ujarzmionego narodu. Rumunia ma całkowite prawo bronić swych interesów państwa suwerennego i to w sposób, który jej się wydaje najstosowniejszy. Proszę mi darować ostre słowa, jakie pozwoliłam sobie wypowiedzieć przed chwilą.

I z właściwym sobie wdziękiem, który ujarzmił mężczyzn bardziej niż jej piękność, wyciągnęła do niego rękę. Elegancki Rumun bez śladu

szyderstwa już teraz ujął tę rękę w obie swe dłonie, pochylił się i ucałował końce jej palców.

— A teraz — mówiła rezolutnie Rosemary — po tym akcie pojednania, niech mi wolno będzie bronić wobec pana sprawy Imreyów — w imię ludzkości, generale? Ten chłopiec ma zaledwie 19 lat.

Generał oparł się o poręcz krzesła, szarpiąc wąsa, nie tając przy tym zachwytu, że ta piękna, wytworna kobieta błagała go o coś nareszcie. Gdy przestała mówić, wzruszył obojętnie ramionami.

— Droga lady — rzekł — doświadczenie uczy, że w tej części Europy chłopcy i dziewczęta w wieku lat 19, nie zajmujący się tańcem ani miłością, są istną zarazą. Mieszają się oni bowiem z reguły do polityki.

— Ale Filip Imrey nie mieszał się do polityki — odparła Rosemary.

— Czy jest pani tego pewna? — zapytał.

Zadając to pytanie, wlepił w Rosemary przenikliwe, nieprzyjemne spojrzenie, Rosemary uczuła wzruszenie, ale nie dała tego po sobie poznać, ani mrugnęła i śmiało, bez wahania skłamała, nie zarumieniwszy się nawet:

— Jestem tego zupełnie pewna — odrzekła.

Zmieszała się jednak jeszcze bardziej, widząc, że Rumun jej nie wierzy.

— Czy Anna Heves nie zwierzyła się pani? — zapytał z idealną słodyczą w głosie i w oczach.

— Czy co?...

— No, to właśnie, co powiedziałem, droga lady. Anna Heves i Filip Imrey są dwiema gorącymi naturami, które przysporzyły nam wielu kłopotów. Przez czas bardzo długi nie mogliśmy wpaść na trop pewnych zgubnych dla nas artykułów, obrażających Rumunię, szkodliwych dla jej reputacji, a wysyłanych do pism angielskich i amerykańskich. Teraz znamy ich źródło.

— Wasz system szpiegowski jest widocznie skuteczniejszy, niż wasza cenzura — odrzekła Rosemary gorzko.

— To nie należy do rzeczy.

— To prawda: do rzeczy należy fakt, że te biedne dzieci...

— Pozwolę sobie nadmienić, że sąd weźmie ich wiek pod uwagę i łagodnie się z nimi obejdzie.

— Z nimi? — wykrzyknęła Rosemary na nowo przerażona. — Z nimi? Pan nie ma na myśli...?

— Czego, droga lady? — dopytywał się słodko.

— Że i Anna...?

— Anna Heves, owszem, córka zmarłego hrabiego Hevesa, obecnie „sklepowa” u kupca kolonialnego, Baloga. Nieraz się zastanawiałem, dlaczego podjęła się tej pracy. Teraz rozumiem.

— Tak, tak, naturalnie — mówiła bezładnie Rosemary, nie mogąc już dłużej panować nad głosem, zdradzającym jej straszne wzruszenie i trwożę. — Przecież pan nie aresztował Anny Heves, generale? To dziecko nic nie jest winne!...

Naniescu zaprotestował ruchem ręki.

— Droga lady — rzekł ze spokojną ironią, tonem, jakim się mówi do upartego dziecka — niech mi wolno będzie upewnić panią, że oskarżenie nasze przeciw tym dwojgu nie jest oparte na podejrzeniu, lecz na dowodach rzeczowych. Anna Heves została aresztowana i stanie przed sądem, ponieważ przemyślała ona za granicę artykuły dziennikarskie, oszczerstwa przeciw naszemu rządowi, w celu ogłoszenia ich w pismach angielskich i amerykańskich. Angielski zmysł sprawiedliwości słynny jest na świat cały, pani własny zmysł sprawiedliwości na pewno mówi pani w tej chwili, że nie należy odwozić mnie mocą wdzięków od spełnienia obowiązku. Składam, jak zawsze, hołd u stóp pani, ale byłbym zdrajcą ojczyzny, gdybym zapomniał, co jej jestem winien, patrząc w pani piękne oczy.

W miarę jak mówił, ironia zniknęła z jego oczu i głosu i teraz miał wyraz i ton czuły, uprzejmy, przy czym pochylał się tak bardzo do przodu, że dotykał niemal jej kolan. Rosemary cofnęła się gwałtownie. Nagle zaczęła jej świtać pewna myśl. Na pewno za parę dni dowie się prawdy, w jakich zamiarach ten człowiek, wschodni typ pod względem umiejętności kłamania, sprowadził ją tu i dlaczego jej tak schlebiał. Był to znów głos instynktu. Ale rozsądek sprzeciwiał się temu: ten człowiek miał niezawodnie słuszność. Anna i Filip byli bardzo nieostrożni, szaleni! Formalnie byli winni zdrady, nie było na to rady: Rosemary nie mogła zamykać oczu na prawdę, walczyła ona w tej chwili z tym przesłodzonym Rumunem o życie dwojga zdrajców. Ogarnęła ją namiętna tęsknota za Gasparem, bo nie wątpiła, że on swoim spokojem i niezachwianą logiką podda generałowi wyjście z sytuacji takie, aby i honor żołnierski był ocalony i nieszczęsne dzieci nie zostały pogrążone.

Z drugiej strony jednak wiedziała, że zdaniem męża powinna się trzymać z daleka od tych wydarzeń, tak przeciwnych naturze Anglika, dżentelmena, sportowca w pojmovaniu spraw politycznych.

Przeważała w niej jednak radość, że Gaspar był nieobecny. Niechętnym okiem patrzyłby na jej wstawiennictwo. A ona wstawiać się za nimi musiała.



Musiła prosić za nimi z całą żarliwością, całą siłą swej duszy i elokwencji, na jaką było ją stać.

— W imię ludzkości! — powiedziała, wpijając się trwoźnymi oczami w twarz mężczyzny, szukając w niej cienia litości.

— Anna i Filip są tacy młodzi — nalegała — przecież to dzieci jeszcze!

Ale Naniescu uśmiechnął się tym płytkim, zdawkowym uśmiechem, który nauczyła się odróżniać od istotnego wyrazu pogody lub życzliwości ludzkiej.

— Nie chciałby pan — rzekła po chwili — bym posłała sprawozdanie tego rodzaju do pism angielskich i amerykańskich: dwoje dzieci, jedno poniżej lat 18, drugie, mające lat niespełna 20, aresztowano w nocy, wyciągnięto z łóżek, stawiano przed sąd za szmugiel pocztą artykułów prasowych. Jeżeli pan się z nimi łagodnie nie obejdzie...

— Kto mówi, że się nie obejdziemy z nimi łagodnie? — przerwał Naniescu. — Nie ja z pewnością. Ja nie będę ich sądził.

— Generale Naniescu — odrzekła — dość dobrze znam stosunki transylwańskie, by wiedzieć, że pańska władza tutaj jest nieograniczona. Wyrozumiałość w danym wypadku może tylko podnieść prestiż pana i kraju, któremu pan służy.

— Ale, szczerze mówiąc, droga lady, nie bardzo widzę, co ja tu mam do powiedzenia. Ta sprawa już poszła do właściwej instancji...

— Niech pan odeśle te dzieci do domu za kaucją, panie generale — prosiła gorąco Rosemary — tak by postąpiono w Anglii w analogicznym wypadku.

— Żeby było coraz więcej zdrady, więcej kłopotów i komplikacji — wzruszył ramionami.

— Nie! — zaprotestowała. — Po to, żeby zdobyć sobie ogromną wdzięczność za pańską wspaniałomyślność, a tym samym doprowadzić do zgodnej działalności dwóch narodów dla dobra jednej wspólnej ojczyzny!

— O! Cóż za szlachetne uczucia, droga lady! — westchnął generał, składając ręce z umyślną przesadą. — Chciałbym, żeby choć część tych uczuć przeniknęła do serc tych młodych narwańców.

— I tak się też stanie, generale — zapewniała gorąco Rosemary. — Jeżeli pan odeśle te dzieci do domu, do ich rodziców, nie spocznę, nie wyjadę z Transylwanii, nie nawróciwszy ich na drogę prawomyślności, rozsądku.

— Trudne zadanie, droga lady — rzekł Naniescu z uśmiechem.

— Podejmę się chętnie i trudniejszego — odparła Rosemary, również się uśmiechając — byle tylko okazać panu moją wdzięczność.

— Słowa i tylko słowa, droga lady — wyrzekł słodko.

— Proszę mnie wypróbować! — sprowokowała go.

Nie odpowiedział od razu, ale patrzył na nią spod w półprzymkniętych powiek tak długo, aż poczuła coś nieprzyjemnego i nieczystego, co nieomal dotykało jej fizycznie. Dreszcz ją przeszedł, mimo woli spojrzała ku drzwiom, czy nie zobaczy tam wybawcy — Gaspara. Nie żałowała swego entuzjazmu, nie bała się niczego, ale nagle zdała sobie sprawę, że stoi nad brzegiem przepaści, że czekają tu zasadzka, że trzeba uważać na każde posunięcie wroga i własne.

Naniescu otworzył nareszcie oczy, poprawił się na krześle.

— Cieszę się, droga lady, że pani sama zrobiła mi propozycję, z jaką nie śmiałem wystąpić.

— Propozycję? Jaką mianowicie?

— Z pewnością to miała pani na myśli, że w zamian za żadaną ode mnie ofiarę, uczyni pani coś dla mnie, czy nie tak?

— Ofiarę? — spytała Rosemary marszcząc czoło. — Jaką ofiarę?

— Ofiarę z moich przekonań. Obowiązek nakazuje mi być surowym dla tych dwojga zdrajców, których pani nazywa uparcie dziećmi. Wiem, że źle postępuję, dając im możliwość stania się jeszcze gorszymi i niebezpieczniejszymi, wiem o tym. Ale...

Zatrzymał się i z widocznym upodobaniem przyjrzał się pięknym, rozgorączkowanym oczom Rosemary, utkwionym w jego twarzy z wyraźną uwagą i niepokojem.

— Ale co, panie generale? — spytała.

— Ale przygotowany jestem na ofiarę z moich przekonań na rzecz pani, jeżeli ze swej strony pani mi się odwzajemni.

Rosemary ściągnęła mocniej brwi.

— Nie sędzę, bym rozumiała.

— Zaraz pani zrozumie. Przyjechała pani do Transylwanii nastawiona negatywnie do mojego — biednego kraju! O! Nie zaprzeczy pani temu, co wiem najdokładniej i czemu się nawet nie dziwię. Wy, Anglicy macie wyborne powiedzenie: „Wschód jest Wschodem — a Zachód jest Zachodem”. Słusznie! nigdy jednakowo myśleć nie będziemy, także obserwacje ostatnich kilku dni musiały tylko umocnić panią w niechęci do mojej biednej ojczyzny. Każdy z nas sądzi po swojemu, ja panią rozumiem, proszę tylko o wzajemne zrozumienie. A teraz wyjawię moją propozycję — dobrze?

— Proszę — powiedziała zimno.

— Dzieci, jak je pani stale nazywa, wyrządziły nam dużą krzywdę w opinii angielskiej i amerykańskiej, za to zasługują na karę. Otóż proponuję zawieszenie tej kary, o ile pani zgadza się naprawić krzywdę, przez nie wyrządzoną.

— Ja? — zdziwiła się szczerze Rosemary — jakim sposobem?

— Odpierając w szeregu artykułów kalumnie głoszone przez te dzieci — rzekł uprzejmie generał. Rosemary cofnęła się, jakby uderzona w twarz, on zaś kończył z całym cynizmem: — Jest pani świetnym dziennikarzem, droga lady, obdarzonym bogatą wyobraźnią. Z łatwością pani przyjdzie napisanie takich artykułów dla ocalenia tych dwojga młodych zdrajców, którymi się pani interesuje. Może pani zacząć, na przykład, od napisania prawdy, tj., że rząd mój zaprosił panią do Transylwanii w celu zbadania prawdziwych stosunków politycznych, rzekomego ucisku mniejszości narodowych. Następnie obwieści pani, że po dokładnym przyjrzeniu się sytuacji tu na miejscu, przychodzi pani zadać kłam tym fałszywym i tendencyjnym wersjom, że zmuszona jest pani, wręcz przeciwnie, stwierdzić, że mniejszości korzystają u nas ze swobody i absolutnego bezpieczeństwa, że są pod opieką prawa...

Potok słów generała przerwany został nagłym wybuchem śmiechu Rosemary. Zmarszczył się, pomyślał, on nie będący znawcą kobiet, że to atak hysterii. Znał ongiś kobietę...

W śmiechu Rosemary było istotnie coś histerycznego. Angielka, obdarzona z natury bogatym intelektem, nie traci nigdy poczucia humoru, tak też i Rosemary, walcząc już od chwili między odruchem oburzenia a wesołości, wybrała ostatni. Nie widziała się bowiem w roli królowej z tragedii klasycznej, odpowiadającej patetycznie: „Nie” lub „nigdy!” na propozycję Rumuna. Śmiała się więc, wyobraziwszy sobie taką teatralną scenę między nimi.

— Niech się pan nie gniewa, panie generale — rzekła, uspokoiwszy się — ale propozycja pana jest taka zabawna!

— Zabawna, droga lady! — zaprotestował. — Doprawdy nie widzę...

— Nie — przerwała — naturalnie pan nie może tego widzieć.

— Czy raczy mi pani to wyjaśnić?

— Nie — odparła Rosemary pogodnie — nie widzę celu. I tak pan nie zrozumie.

— W takim razie — rzekł zimno — nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać panią, wyrażając żal, że naraziłem panią na stratę czasu, jaką jest rozmowa z głupcem.

Wstał i wyciągnął rękę ku niej, ale Rosemary nie ruszyła się z miejsca.

— Nie może pan odejść, panie generale, nie udzieliwszy mi definitywnej odpowiedzi.

— Dałem pani definitywną odpowiedź, droga lady. Nie mam szczęścia dzisiaj: wzięła ją pani za żart.

— Ależ pan nie mógł myśleć poważnie, bym...

— By pani naprawiła krzywdę, wyrządzoną przez zdrajców, za którymi się pani ujmuje. Czy to nie brzmi poważnie?

— I pan naprawdę sądzi, że ja się zgodzę na taką umowę? Że podpiszę twierdzenia niesprawdzone albo wręcz fałszywe? Panie generale, gdzie pan sobie urobił podobne mniemanie o angielskiej kobiecie i o angielskim dziennikarstwie?

Naniescu uderzył się w piersi z komiczną przesadą.

— Omyliłem się — rzekł słodko. — Bardzo się omyliłem. Niech mi pani wybaczy i pozwoli się pożegnać...

— Panie generale!...

— Sługa pani, droga lady.

— Młody Imrey! Anna Heves!

— Żał mi ich istotnie — rzekł wzruszając ramionami, — ale chyba nie sądzi pani na serio, iżbym mógł się zgodzić na taką wymianę, gdy chodzi o dobro mego kraju. Droga lady, gdzież pani sobie urobiła podobne mniemanie o oficerze rumuńskim i o rumuńskim dżentelmenie?

— Pan mi proponował niecny handel — odrzekła — nie ja panu.

— Przepraszam panią — zaprotestował — chciałem wyrównania krzywd. Nie miałem szczęścia trafić pani do przekonania. Żałuję i nie mówmy o tym więcej.

Chwycił jej rękę i podniósł do ust, wyrwała mu ją brutalnie, nie panując już dłużej nad oburzeniem. Naniescu roześmiał się głośno.

— Mam wrażenie — dodał cynicznie — że propozycja moja nie tylko była zabawna. A teraz pozwoli pani, że się pożegnám?

— Czy to pańskie ostatnie słowo, generale Naniescu?

— Tak jest — odpowiedział tonem galanterii — ale nie mniej pozostaję nadal do pani usług. Jeżeli pani się namyśli i zapewni mnie, że napisze pani, dajmy na to do „Timesa”, serię artykułów wyżej wymienionej treści, młody Imrey i Anna Heves nie staną przed sądem wojskowym. Jeżeli pani mi to przyrzeknie, przekroczę nawet na rzecz pani moje właściwe kompetencje i pozwolę im wrócić na razie do domu. Z dniem zaś, w którym się ukaże

ostatni artykuł z owej świetnej serii, Imrey i jego kuzynka będą uniewinnieni przez rząd, który obrazili, a któremu pani się zasłuży.

Przerwał na chwilę i dodał teatralnym tonem:

— Ale dopiero wtedy.

Rosemary stała nieruchoma. Podejrzewała ona w duchu Naniescu o przekroczenie swych kompetencji w ogóle. Czy rząd rumuński wiedział, jak dalece ograniczano wolność osobistą w Transylwanii? To należało zbadać.

— Jaką mam gwarancję — zapytała w końcu — że o ile ja dotrzymam takiej obietnicy, pan się potem nie zaprze swojej?

— Pani mnie nie docenia — odparł z uśmiechem, całkiem nie urażony — ale co mogę zrobić, by panią uspokoić?

— Napisać list, — odrzekła zimno — w którym pan gwarantuje mi bezpieczeństwo i uwolnienie Imreya i Anny Heves, o ile ja dotrzymam powyższej umowy.

— Czy to pani wystarczy? — zapytał.

— To pana bądź co bądź zobowiąże.

Oczy rozbłysły mu ironicznie i radośnie, ale nie zauważyła tego.

— Wy, Angielki, jesteście praktyczne! — wyrzekł z podziwem. — Wszystko chcecie mieć czarno na białym, prawda?

— Tak jest! — odrzekła zimno.

— Zatem napiszę żądany list, droga lady, i zapewniam panią, że dotrzymanie warunków jest całkowicie w rękach pani.

Skłonił się głęboko i wyszedł. Rosemary otworzyła okna, by przewietrzyć pokój, w którym zostawił nieznośną woń cygara i wody kolońskiej. Im więcej myślała teraz, tym bardziej nogi uginały się pod nią, mózg jej doznawał bolesnego wstrząsu. Stała wobec alternatywy poświęcenia honoru dziennikarskiego, honoru Angielki, żony para angielskiego, a wydania na pewną śmierć Filipa i Anny. Nie! Nie! Nie na śmierć! Owszem, tak! Rozstrzelani będą jak Edith Cavell. Czyż to możliwe, by teraz po wojnie zabijano dzieci lub kobiety? W tym zapadłym zakątku świata i to jest możliwe. Boże! Boże! Ocalić dwa istnienia ludzkie za cenę prawdy, to przecież wolno, to obowiązek! Zatem za cenę prawdy kłamać? Czy to może być obowiązkiem?... Rosemary znów wybuchnęła strasznym, spazmatycznym śmiechem, tym razem był to śmiech wariatki o zmańczonych wizjach i nieprzytomnych myślach, aż stopniowo śmiech ten przeszedł w straszne, również spazmatyczne łkanie. Łzy polały się strumieniem z jej oczu.

\* \* \*

Rosemary, jak każda istota bardzo młoda, uczuła znaczną ulgę, wyplakawszy się do woli. Fizycznie była zmęczona, oczy ją paliły, nogi jej drżały, głowa bolała, ale psychicznie czuła się lepiej.

Zerwała się teraz, zwilżyła oczy zimną wodą, ułożyła włosy grzebieniem. Niechciała zwracać niczyjej uwagi swym wyglądem, a spodziewała się lada chwila powrotu Gaspara z przechadzki. Opowie mu, co zaszło.

Ale co się stało z Gasparem, gdzie on się podział?

Rosemary pragnęła zasięgnąć jego rady. Zwolniona była, niestety, z sekretu względem niego co do spraw Anny Heves i Filipa. Niebawem spisek ten głośny będzie na świat cały.

Jakby przeczuwając jej życzenie, Gaspar zjawił się niebawem, pełen kurtuazji, rycerskości, przepraszając ją, że nie był obecny przy rozmowie z generałem Naniescu.

— Widocznie śniłem na jawie — rzekł tonem skruchy — wędrowałem bowiem po parku, gdy wtem znalazłem się na wzgórzu, dość wysoko, wciąż myśląc intensywnie o tobie. Twoja droga twarz wyglądała ku mnie spoza drzew, gdy nagle uprzytomniłem sobie, że wprawdzie marzenie jest rzeczą piękną, ale że przez nie porzuciłem cię w opresji, zostawiając samą z Naniescu. Czy mi przebaczysz?

Siadł przy niej na sofie i ująwszy jej rękę całował po kolei każdy paluszek.

— Gdzie bym się nie znajdował, maleńka moja — rzekł czule — zawsze mam cię przed oczami. Twoja obecność przy moim boku była przed chwilą tak żywa, tak namacalna prawie, że dopiero wysiłkiem woli uprzytomniłem sobie, że to złudzenie. Czy mi przebaczysz? — powtórzył.

Rosemary zwróciła się ku niemu z uśmiechem. Najmilszy człowiek pod słońcem ten jej Gaspar! Rosemary przytuliła się mocno do niego i jednym tchem opowiedziała mu wszystko, o aresztowaniu Filipa Imreya i Anny Heves, o przyczynach tego i niecnym propozycjach Naniescu.

Gaspar nie odpowiedział. Słuchał nawet niezbyt uważnie. Gdy mówiła o Annie i o Filipie, zdawał się myśleć o czym innym, albo przynajmniej jeszcze o czymś, prócz tego, co mówi żona, a później Rosemary na próżno czekała na wybuch oburzenia pod adresem generała. Milczał. Zarzucony pytaniami przez żonę, podniósł wreszcie z pewnym wyrzutem fakt, iż ona, wiedząc o poczynaniach tych dwojga szaleńców, nie odwiodła ich od tej zgubnej akcji.

— Ta dziewczyna wyglądała na bardzo uczuciową — rzekł tonem zniecierpliwionym niemal — byłaby się poddała twemu wpływowi. Ta

zmowa była romantyzmem, nonsensem. Wszystkie tego rodzaju intrygi polityczne są szaleństwem. Niemcy, Austria i Węgry sprowadziły na świat nieszczęście, a teraz nie chcą przyjąć pokuty!

Oczywiście Gaspar miał słuszość. Był on rozsądny, sprawiedliwy i trzeźwy. Ale uznając jego słuszość, nie mogła Rosemary pogodzić się z wyrokiem na te dzieci. Bo to rozumowanie równało się wyrokowi oddania ich pod sąd wojskowy. Rosemary nie śmiała pytać męża wprost o radę, obawiając się, że jej doradzi napisanie owych artykułów, przeciw którym burzyło się jej poczucie sprawiedliwości, jej uczciwość zawodowa i umiłowanie prawdy.

Może jej Gaspar już to poradził? Rosemary nie mogła ręczyć za to. Podczas ostatnich jego słów była obecna, ale nieprzytomna. Dusza jej uleciała na chwilę w przestworza, przebyła równinę węgierską, łańcuchy gór, kanał La Manche i znajdowała się w Londynie w kąciku Albert Hallu. Wspomnienie owej nocy wracało uporczywie, nocy, w której się rozegrał jej los: widziała przed sobą każdy szczegół, każdy moment tej nocy, widziała każdy rys twarzy Piotra... Ach, żeby to Piotr był z nią teraz w Rumunii! Nie byłby może tak rozsądny jak Gaspar, na sądzie jego nie mogłaby tak polegać, jak na trzeźwym, niezawodnym sądzie Gaspara, ale — byłby taki ludzki, tak współczujący, taki wyrozumiały! Po raz pierwszy od ślubu z Gasparem Rosemary dopuściła do siebie porównanie między tymi dwoma mężczyznami i przeprowadziła je na korzyść Piotra. Uprzytomniła sobie, co straciła w jego osobie: młodość, humanitaryzm i entuzjazm.

Naraz przywołał ją do rzeczywistości głos Gaspara:

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, droga, że Piotr Blakeney jest w Transylwanii?

Gaspar zadał to pytanie czule i grzecznie. Nie przybierał on nigdy w stosunku do Rosemary postawy autorytetu mężowskiego, nigdy też nie czynił jej wyrzutów. Ale tym pytaniem zwrócił znowu myśli Rosemary do Albert Hallu. Ściągnęła brwi i spojrzała mężowi prosto w oczy. I on widocznie był myślami daleko. Miał jeszcze wyraz zadumany, ale zarazem na dnie jego źrenic było coś twardego, co rzadko się tam wkładało, gdy żona jego była w pobliżu.

— Co to znaczy na Boga Ojca? Piotr Blakeney? — zapytała Rosemary powoli. — Co ty mówisz, Gasparze?

Gaspar uśmiechnął się. — Wypadki ostatniej doby i mnie poruszyły bardzo, maleńka. Widocznie mówię bezładnie i wydaję ci się niezupełnie poczytalny. Ale wytłumaczę ci wszystko: przed chwilą ujrzałem,

przechodząc holem, generała Naniescu. Wychodził on z palarni i nie widział mnie. Zwrócił się do młodego oficera, który widocznie czekał na rozkazy i rzekł: — Niech pan zadzwoni natychmiast do pana Blakeney i powie mu, że się z nim chcę widzieć w wiadomej sprawie o piątej po południu, może mu pan powiedzieć, że na ogół powiodło mi się nieźle.

— Niemożliwe! — wykrzyknęła Rosemary.

— I ja tak sądziłem — odrzekł Gaspar. — Przeszedłem więc przez hol po raz drugi i zamieniłem parę słów z generałem. Gdy mnie zobaczył, nie miał miny zadowolonej i zdążyłem zauważyć, że dał jakiś porozumiewawczy znak oficerowi, który otrzymał powyższy rozkaz. Kilka minut zatrzymałem generała rozmową w holu. Nie wspomniał wcale o waszej wymianie zdań, ani o przyjeździe Piotra.

— Musiałeś się przesłyszeć, to było chyba inne nazwisko — nalegała Rosemary.

— Tak też i przypuszczałem, ale miałem zaraz potwierdzenie, niestety. Naniescu najwidoczniej tak manewrował, by mnie skierować do sali jadalnej. Gdy już tam byłem, zamknął szczelnie drzwi. Ale ja mam niezwykle wyostrzony słuch i chociaż Naniescu mówił bardzo głośno słyszałem każde słowo, dolatujące z holu. Oficer telefonował do „New York Hotelu” w Cluju, po czym nastąpiła pauza. Chciałem pożegnać generała, bo miałem ochotę udać się co rychlej do ciebie, ale mnie nie puszczał. Mówił bezustannie, wciąż podnosząc głos bez potrzeby. Podprowadził mnie do okna, na drugi koniec pokoju, pod pretekstem, że chce mi pokazać widok. Starał się przekonać mnie, że jest tak pięknie, że powtórna przechadzka dobrze mi zrobi, że powinienem ją zatem odbyć w jego towarzystwie. Ale los mi sprzyjał: podchwyciłem niebawem odgłos dzwonka telefonicznego, wymknąłem się wówczas generałowi i w chwili, gdy otwierałem drzwi do przedpokoju, usłyszałem:

— To pan, panie Blakeney? Panie Blakeney, Jego Ekscelencja chce się z panem widzieć... — w tym momencie Naniescu pochwycił mnie za ramię, wciągnął do pokoju jadalnego z powrotem, krzycząc mi do ucha jakąś anegdotę, której sensu oczywiście nie pochwyciłem, wcale się o to nie kusiłem zresztą. Grunt że ostentacyjnie przeszkodził mi w dalszym słuchaniu rozmowy telefonicznej, przy czym zdążyłem jednak usłyszeć nazwisko Piotra tak wyraźnie, że już potem mogłem być dyskretny wobec tajemnic Naniescu — lub też Piotra...



— Ale to na pewno nie Piotr Blakeney — wtrąciła Rosemary z zapalem.  
— Piotr nie może być w Transylwanii. Byłby mi o tym powiedział, napisał.  
To inny jakiś Blakeney.

Gaspar wzruszył ramionami. — Być może — rzekł spokojnie.

— Ja jestem tego pewna — nalegała Rosemary.

Gaspar nic już nie dodał na ten temat, a Rosemary czuła niewytłumaczoną irytację, zwróconą, o dziwo! przeciw temu poczciwemu, zacnemu mężowi. Ale dlaczego się upierał przy tym absurdzie, jakoby Piotr był w Transylwanii? Po minie jego widać było, że ustąpił przez grzeczność, ale, że nie wątpi o tożsamości owego Blakeneya. Jak mógł tak myśleć, to przypuszczać?! Piotr! Syn tej uroczej matki, Węgierki z pochodzenia! Nonsens! Ale Rosemary nie mogła już po tej nieprawdopodobnej rewelacji usiedzieć spokojnie. Zerwała się z kanapy i zaczęła biegać po pokoju tam i z powrotem, dotykając nerwowymi ruchami sukni, włosów, twarzy. Nie patrzyła na Gaspara i była zdecydowana, że nie powie teraz nic więcej. Gaspar przekona się wkrótce, że się omylił, a jej mogłoby się teraz wyrwać jakieś zdanie, którego by żałowała całe życie.

Piotr w zмовie z Rumunami! Niemożliwe! A jednak nerwy jej były teraz stokroć bardziej naprężone, niż bezpośrednio po rozmowie z Naniescu. Nie mogła zwłaszcza spojrzeć na Gaspara. Była tym przerażona: czyżby go znienawidziła za te insynuacje? Na szczęście rozległ się dzwonek, wzywający na śniadanie. Gaspar zerwał się. On też najwyraźniej wołał zaniechać tego tematu.

— Czy chcesz się zobaczyć z Elzą? — zapytał.

— Z Elzą? — powtórzyła Rosemary. — Dlaczego?

— Naniescu ze swą świtą jest w pałacu — odparł Gaspar sucho.

— Zostaje na śniadaniu. Nie wiem, co o tym sądzi Elza.

— Sądzi o tym na pewno to, co ja — odrzekła Rosemary z oburzeniem — mianowicie, że obecność tego człowieka przy jej stole jest zniewagą.

— Ale on powiedział do mnie, że pozwoli Annie i Filipowi wrócić do domu.

— Tak, warunkowo. O ile... — Elza nie potrzebuje wiedzieć o tym — przerwał Gaspar szybko. — Dlatego chciałem, byś się z nią teraz zobaczyła i porozmawiała. Nie trzeba, by wiedziała, że uwolnienie Filipa jest — uwarunkowane...

Rosemary zastanowiła się. Jak zawsze, Gaspar miał słuszność. Elza nie powinna o tym wiedzieć. Jeszcze nie teraz.

— Czy mam zaraz iść do niej? — spytała. — Sądzę, że to będzie najlepiej. Dla niej będzie to przecież taka radosna wiadomość.

— Biedactwo kochane! — Westchnęła Rosemary, po czym dodała chłodno: — Ale co ze mną ma być? — Co masz na myśli? — Czyja mam zasiać do stołu z tym przesłodzonym Rumunem?

Gaspar uśmiechnął się.

— Jakże w przeciwnym razie chcesz wytłumaczyć swą nieobecność, czym ją upozorować wobec Elzy?

Rosemary uczuła dla męża wdzięczność: jak on serdecznie współczuł Elzie! Miał zupełną słuszność.

— Czy zechcesz dotrzymać towarzystwa generałowi przez ten czas, gdy ja pomówię z Elzą? — spytała.

Była już znowu zupełnie opanowana, na szyję włożyła sznur pereł, w uszach jej świeciły olbrzymie dwa brylanty, była wielką damą, świadomą swej piękności.

— Jakaś ty piękna — wyrwało się mimo woli młodemu małżonkowi i oczy jego, ciemne, tajemnicze, rozbłysły nagle ogniem szczerzego podziwu.

Zeszli razem na śniadanie. Rosemary wstąpiła do pokojów Elzy. Gaspar, stosownie do jej życzenia, poszedł bawić generała pogawędką. Ale Rosemary, idąc długim korytarzem, prowadzącym do pokojów pani domu, nie o niej myślała. Całą duszą starała się rozwiązać ponurą zagadkę: Piotr po stronie Rumunii? Piotr w zмовie z wrogiem ojczyzny swej matki?

Co za absurd!

Chyba Gaspar oszalał!

Gdy Rosemary weszła do sypialni Elzy, odgadła, że nowiny musiały już tu dotrzeć. Elza miała łzy w oczach, lecz nie były to łzy trwogi lub zmartwienia, były to łzy radości.

— Filip wraca z Anną! — zawołała na widok Rosemary.

— Kto ci to powiedział? — spytała Rosemary.

— Generał Naniescu przysłał mi kapitana z tą wiadomością dopiero parę minut temu. Cóż to za parę minut było, Rosemary, kochana!

Rosemary ucałowała ją czule. Nie była zdolna wymówić słowa.

— Czy to nie cudowne zrzádenie? — mówiła dalej Elza, wkładając pierścionki na palce. I czy Naniescu nie jest uprzejmy? Ja wiedziałam, że oni nic nie mogą zrobić Filipowi, bo on nic nie popełnił, i nie sądę, by Anna coś zawiniła ze swej strony. Ale, jak wiesz, droga moja, w tych czasach zdarzają się fatalne omyłki. A ja nieraz doświadczyłam w życiu, że ludzie nie tacy straszni jak ich malują! Tak łatwo urobić sobie pogłąd o człowieku

na mocy fałszywych przesłanek. Byle dać ludziom sposobność do wykazania zalet serca, a zawsze prawie je wykażą.

Na szczęście, Elza była zbyt zajęta własnymi myślami i opanowywaniem roztrzęsionych nerwów, by zauważyć milczenie Rosemary, milczenie wręcz nienormalne w tych okolicznościach.

— Kiedy się spodziewasz przybycia Filipa i Anny? — zapytała wreszcie Rosemary.

— Po południu — odrzekła Elza radośnie.

— A wiesz Rosemary, że Mariusz jest tak uszczęśliwiony, iż zszedł na dół, by powitać grzecznie Naniescu, którego, rzecz jasna, zatrzymałam na śniadaniu. A teraz — dodała, zebrawszy swoje klucze, włożywszy chusteczkę do kieszeni i zaczesawszy włosy, — chyba i my zejdziemy również?

Rosemary poszła za nią bez słowa. Doznawała uczucia, jakby ją ktoś dusił oburącz. Szczęście Elzy było bodaj najcięższą próbą, na jaką miała być wystawiona młoda Angielka w ciągu tego straszego tygodnia, jaki ją czekał.

— O! Byłabym zapomniała — odezwała się Elza na schodach, prowadzących do sali jadalnej —jeszcze jedna radość, mniejsza, ale też znaczna: mam wiadomość o Piotrze Blakeney.

— Od Piotra?

— Tak. Jest w Cluju, w hotelu „New York”. Przybył tu w jakiejś sprawie krokietowej, jakiś konkurs ma się niebawem rozgrywać w tych stronach. Znasz zresztą Piotra: zwariował na punkcie krokietu. Otrzymałam od niego list dziś rano, ale nie myślałam o tym, rzecz prosta, wszystkie moje myśli były pochłonięte Filipem. Muszę ci teraz dać ten list do przeczytania. Nie bardzo bowiem się orientuję, o co mu chodzi, wiem tylko, że jest w Cluju i że tu się wybiera.

Szła lekkim, tanecznym krokiem, odmłodzona o 20 lat najmniej. Rosemary, patrząc na nią, powtarzała sobie: „Nie potrzebuje wiedzieć o tym przed upływem trzech tygodni. Nie trzeba, by wiedziała, a ja muszę udawać, muszę grać komedię za wszelką cenę. Ona zawsze ma czas się dowiedzieć, biedactwo!”

Rosemary zaczęła się wprawiać w swą rolę. Musiała grać wobec każdego z osobna, wobec Elzy, Mariusza, generała Naniescu, a nawet wobec Gaspara. To było najtrudniejsze, tym bardziej, że Gaspar oka z niej nie spuszczał w swej ustawicznej troskliwości. Ona zaś nie mogła mu okazać, że jest niespokojna o Piotra. Nie dlatego, aby wierzyła w jego zdradę i

dwulicowość, o nie, to było wykluczone, on po prostu przyjechał w sprawie konkursu krokietowego, od generała Naniescu musiał zaś uzyskać pozwolenie i dlatego chciał się z nim widzieć. Pewna była, że Piotr pisał do niej, ale że list jego został przejęty. Nie, przenigdy! Nie mogło być mowy o intrydze Piotra z Rumunami przeciw Węgrom, ale Rosemary czuła, że Gaspar źle sądzi Piotra i współczuje żonie, która tak niefortunnie zaufała temu zdrajcy. Okropne! Wstrętne!

Elzy radość była chwilami aż nieznośna w tej sytuacji, Mariusz również pozbył się swego złego humoru i żartował z Naniescu. Czas upływał powoli. Śniadanie wlokło się w nieskończoność, potem zaś kawa z likierami trwała denerwująco długo. Ale najgorsze nawet momenty życia ludzkiego muszą się przesunąć w przeszłość, tak że gdy Rosemary doszła do wniosku, że już absolutnie dłużej nie wytrzyma, Naniescu i jego oficerowie zaczęli się właśnie żegnać.

Gaspar był czarujący po śniadaniu. Przemyślał całą tę historię, mówił do żony, no, i doszedł do wniosku, że on sam może odwołać się wprost do króla i prosić za Anną i Filipem. Oddał przecież niemałe usługi Rumunii podczas wojny i zaraz po wojnie, a w tym kraju wpływy osobiste odgrywają dużą rolę. Postanowił wyjechać do Bukaresztu. Wspomniał Elzie i Mariuszowi o zamierzonej podróży, podając, jako pretekst, interes urzędowy, a Elza zaraz wydała polecenie by konie zawiozły go do Cluju na ekspres popołudniowy. Serce Rosemary napełniło się uczuciem wdzięczności, miała żal do samej siebie, że przez chwilę mu nie ufała. Pomagała mu gorliwie w przygotowaniach do podróży, upajając się słodkim złudzeniem, że jego pobyt w Bukareszcie stanie się pomyślnym rozwiązaniem tej okropnej sytuacji. Gdy godzina odjazdu wybiła, życzyła mu szczęśliwej drogi serdeczniej i czulej, niż kiedykolwiek przedtem.

— Poza nieprzewidzianymi wypadkami powinienem być z powrotem za dwa tygodnie, gdybym miał dla ciebie szczególnie dobre wiadomości, zatelegrafuję. Ale gdybyś nawet nie miała listu ani depeszy, wiedz, że wracam za dwa tygodnie.

— Liczyć będę godziny do twego powrotu — powiedziała.

— A przez ten czas — nalegał z głęboką powagą — nic nie zrobisz bez mej rady.

Uśmiechnęła się na ten brak logiki, tak niepodobny do zwykłej skrupulatności jej małżonka.

— Nie będę mogła zasięgnąć twej rady, drogi — rzekła. — Będiesz nieobecny.

— Nie, nie, nie o to mi chodzi, rzecz jasna, — odparł — ale przyrzeknij mi, że zostawisz na razie wypadki ich biegowi. Nie chcę, byś się zwierzała z czegokolwiek Elzie, Filipowi lub Annie. Przyrzeknij.

— Ależ chętnie — odrzekła z całą gotowością. — Przyrzekam. Bóg świadkiem, że nie zależy mi na przynoszeniu im hiobowych wieści.

— I bądź ostrożna z Piotrem — dodał poważnie.

— Z Piotrem?

— Proszę cię o to przyrzeczenie, Rosemary: nie będziesz rozmawiać o tej nieszczęsnej aferze z Piotrem Blakeney.

Zdawała się wahać, onieśmielona jego niezwykłą powagą, nastawał bardziej:

— Przyrzeknij mi to koniecznie, Rosemary, że cokolwiek posłyszysz, o jakim bądź planie powziętym przez Elzę lub przez kogo innego, przyrzeknij, że nie wspomnisz o tym Piotrowi.

— Ależ, Gasparze — wykrzyknęła wreszcie — dlaczego? Oczywiście przyrzeknę, jeżeli ci na tym zależy, ale szczerze mówiąc, nie pojmuję, dlaczego tak nalegasz i to tym uroczystym tonem — dodała, siłąc się na pogodę, której bynajmniej nie odczuwała. Po czym dodała poważniej:

— Mogę ufać Piotrowi, jak samej sobie.

— Przypisuj to nerwom — rzekł Gaspar, próbując się uśmiechnąć

— albo też zazdrości lub słabemu charakterowi, przypisuj to czemu chcesz, moja droga, ale przyrzeknij! Przyrzeknij, że — do pewnego czasu — cała ta przykra sprawa pozostanie między nami, tj. między tobą a mną. Niech inni rozmawiają, planują, odgadują przyszłość. Ty przyrzeknij mi milczenie wobec Piotra. Przyrzeknij, albo zostanę tutaj i nie zajmę się tą smutną historią. Niech Naniescu i jemu podobni robią, co im się podoba. Moje miejsce jest przy tobie, gdy może ci coś zagrażać.

Wymusił na niej w końcu to przyrzeczenie, jakkolwiek serce jej mówiło, że popełnia zdradę względem Piotra. Nalegania Gaspara napełniały ją trwożnym przecuciem, skoro tylko usłyszał jej przyrzeczenie, stał się znów czułym, łagodnym, kochającym, tak jakby chciał zatrzeć wrażenie swej poprzedniej surowości. Wziął ją w objęcia i zajrzał jej w oczy z taką miłością, że serce ją zabolalo: jak ona go czasem krzywdziła w myślach!

— Bóg jest okrutny — szeptał, jakby do siebie samego — że cię stworzył tak piękną i tak pociągającą.

Czułość przechodziła w namiętność, w ogień niemal prawdziwy, trzymał ją teraz, jak człowiek, broniący największego skarbu, jaki posiada na ziemi, a nie jak mąż żonę.

— Gdybym ja cię miał stracić przez to, Rosemary! — wyszeptał tragicznie.

Usiłowała śmiać się: — Stracić mnie? — rzekła pytająco. — Nie grozi ci to, drogi, z tego ani z innego powodu. Naniescu nie ma nade mną prawa życia i śmierci — dodała poważniej.

W tym momencie zaszło coś z Gasparem, czego Rosemary nie umiała sobie wytłumaczyć. Dwa razy już widziała go w podobnym nastroju, kiedy namiętność przechodziła u niego w stan dzikości, kiedy ona czuła się wobec niego bezsilna, zdana na jego łaskę i niełaskę. Doznawała wrażenia, że był w tych momentach zdolny do wszelkiej brutalności, gdyby odważyła się stawić mu czoło. Rosemary nie bała się Gaspara. W ciągu całego życia nie bała się nikogo ani razu, ale zawsze była panią swej woli, a w takich chwilach, gdy leżała w objęciach mężczyzny, któremu przysięgła miłość i wierność, czuła się, jak starożytna niewolnica w szponach swego władcy.

— Pokochasz mnie kiedyś, powiedz, Rosemary? — szeptał Gaspar z wyraźną namiętnością. — Powiedz, że mnie kiedyś pokochasz, gdy już będziemy w Anglii, gdy wolno nam będzie żyć własnym życiem, naszą miłością. Boja nie będę mógł żyć przy tobie, Rosemary, czując zawsze, że nie należysz do mnie całą duszą. Ty masz takie cudowne oczy, oczy bogini, syreny, oczy przyprawiające o szaleństwo. Ja bym dostał chyba pomieszania zmysłów ze szczęścia, gdybym zdołał wzbudzić w tobie odrobinę miłości.

Obsypał ją pocałunkami. Rosemary nie śmiała się ruszyć, ale modliła się o uwolnienie z jego ramion. Na szczęście zapukano do drzwi. Służący przyszedł po bagaż milorda, kładąc kres tej scenie, bardzo ciężkiej dla Rosemary. Po odejściu służącego Gaspar stał się znowu uprzejmym, poważnym człowiekiem z wielkiego świata, jakim był zazwyczaj. Epizod, tak niedawny wszakże, zdawał się być zapomniany, przynajmniej przez niego, bo gdy Rosemary miała zimny pot na dłoniach i szczerkała zębami ze wzruszenia, on chodził po pokoju, mówił o swej podróży, o powrocie za dwa tygodnie, jakby nic nie zaszło między nimi.

\* \* \*

Ten sam powóz, którym Gaspar pojechał do Cluju, przywiózł Filipa i Annę. Dom ożywił się, jak rój pszczół w maju. Rosemary przez chwilę tylko widziała się z obojgiem. Czuła się intruzem wśród tej atmosfery rodzinnej, a serce jej było tak przepełnione żalem, że wołała pod jakimś pretekstem uciec do swego pokoju. Przy całej gościnności tych zacnych ludzi, musieli oni przecież odczuwać potrzebę pozostania bez świadków po takich przeżyciach, jakie przyniosła im ostatnia doba. Jasne było dla niej, że Filip i

Anna nie wiedzieli, za jaką cenę ich wypuszczono z aresztu. Filip mówił spokojnie, że jakiś czas będą pod nadzorem policyjnym, przy czym zaznaczał pół żartem, że chętnie by się zgodził na wyrok, skazujący go na dożywotni pobyt w Kis-Imre bez prawa wychodzenia poza bramę, dopóki obecny stan rzeczy trwać będzie na świecie. Promieniał szczęściem, patrząc w błyszczące radością oczy swej matki i na razie nic go nie obchodziło.

Siedzieli wszyscy do późnego wieczoru w salonie i gawędzili, a gdy Rosemary znalazła się sama u siebie, zapukano cichutko i Aneczka wsunęła się do pokoju. Biedne dziecko wyglądało mizernie i poważnie: znikła z jej bladej twarzy radość, jaka ją opromieniała w pierwszej chwili pobytu w tym domu, który był dla niej jakby drugim domem rodzicielskim. Wyglądała staro, miała zwiędłą cerę, rysy zmęczone.

Rosemary wyciągnęła ramiona, Aneczka rzuciła się w nie i przytuliła się do niej, jak dziecko, szukające opieki. Przez dłuższą chwilę stały tak splecione w milczącym uścisku. Od czasu do czasu gorąca łza spływała na rękę Rosemary. Aneczka płakała po cichu, a Rosemary czekała cierpliwie, aż się mała uspokoi.

— Nie rozumiem tego wszystkiego, Rosemary — rzekła wreszcie Aneczka.

— Czego nie rozumiesz, droga? — zapytała Rosemary.

— To całkiem do nich niepodobne — ta łagodność, prawda? — rzekła dziewczyna, patrząc badawczo w twarz przyjaciółki.

— O! W danym wypadku... — odrzekła Rosemary wymijająco — jesteście oboje tacy młodzi!

Anna potrząsnęła głową powątpiewająco.

— Nie zważaliby na to po tych kłopotach, jakich przysporzyliśmy im wielokrotnie.

— Schwymano was na gorącym uczynku, przypuszczam? — spytała Rosemary.

Anna przytaknęła. — Tak, i to też było bardzo dziwne. Paczki moje do Budapesztu były gotowe, jak zawsze. Rękopisy Filipa znajdowały się w pudełku z warzywami. Sześciu żołnierzy i oficer wtargnęło do sklepu, podeszli prosto do stołu, na którym leżały paczki. Robili wrażenie poinformowanych z góry o wszystkim, bo oficer kazał żołnierzom rozwinać wszystkie pakunki i naturalnie znaleźli w jednym z nich notatki Filipa.

— W tym nie widzę nic dziwnego, Aneczko — rzekła Rosemary.

— Nie wątpię, że od dłuższego czasu byliście śledzeni przez agentów wywiadowczych, aż wpadliście w pułapkę.

Ale Anna nie dała się przekonać.

— Nie umiem wytłumaczyć jaśniej, co chcę powiedzieć, — rzekła, ściągając brwi. — Mam przeczucie, które mnie ogarnęło, gdy ujrzałam żołnierzy w sklepie. Intuicja mówi mi, że nie zostaliśmy wysledzeni przez szpiegów rządowych. Służba wywiadowcza rumuńska zbyt jest ograniczona, a my zbyt ostrożni, by to było możliwe. Nie, z pewnością, żaden wywiadowca rumuński nas nie wysledził.

— Któż zatem?

— A! Tego właśnie nie wiem. Doznaję wstrętnego uczucia. Mianowicie wydaje mi się ciągle, że jakieś oczy, wrogie oczy obserwują Filipa i mnie, złe oczy, oczy diabła, które chcą nas sprowokować, byśmy znowu zrobili coś nieostrożnego, co nas tym razem pograżyłoby na dobre.

— Jesteś przewrażliwiona, droga Aneczko! — przerwała łagodnie Rosemary. — Nie dziwię ci się zresztą wcale! Wiemy wszyscy, że rząd rumuński ma tu wszędzie szpiegów oraz że ty i Filip musicie w przyszłości podwójnie uważać na każdy wasz krok, ale tutaj w Kis-Imre jesteście wśród przyjaciół. Służba twojej ciotki Elzy składa się z samych Węgrów i zasługuje za całkowite zaufanie.

Anna nic nie odpowiedziała. Patrzyła prosto przed siebie, jakby wypatrując w dali owej tajemniczej pary oczu, które ją gnębiły swym spojrzeniem. Mimowolny krzyk grozy wyrwał się z ust Rosemary.

— Anno! — zawołała. — Anno! Ty chyba nie posądzasz mnie o... Ale zanim skończyła, dziewczyna zarzuciła jej ręce na szyję.

— Rozumie się, że nie, — szeptała mała czule. — Rosemary, kochanie moje, rozumie się, że nie!

— Z nikim na świecie nie mówiłam o waszych sprawach i poczynaniach, Aneczko — rzekła Rosemary poważnie. — Daję ci na to uroczyste słowo honoru, że nawet mężowi mojemu do chwili aresztowania was nie wspomniałam o naszej rozmowie.

— Wiem, Rosemary, wiem — powtórzyła Anna — tobie powierzyłabym każdą tajemnicę, tobie powierzyłabym życie moje i życie Filipa.

— A nikomu więcej byś nie zaufała tajemnic? — zapytała Rosemary.

— Nigdy nie powiedziałam o tym wszystkim ani słowa nikomu prócz ciebie i Piotra Blakeney.

— Piotr wiedział?...

— Tak jest, Piotr wiedział.

— Pisałaś mu o tym? — nalegała Rosemary. — W takim razie rozumiem. Listy twoje zostały przejęte przez cenzurę i...



— Nie, nigdy nie pisałam do Piotra o mojej i Filipa działalności. Ale przyjechał on, jak wiesz, do Cluju, w przeddzień naszego aresztowania. Przybył tu w celu zorganizowania jakiegoś meczu krokietowego między

Rumunami i Węgrami. Nie znam się zupełnie na krokiecie, ale Piotr był naturalnie pochłonięty tym tematem. Przyszedł mnie odwiedzić w mieszkaniu zupełnie nieoczekiwanie. Byłam zdumiona jego widokiem i taka uszczęśliwiona! Tak bardzo lubię Piotra! Rozmawialiśmy do późnej nocy. Ale poza tą jedną rozmową z Piotrem i drugą z tobą, nigdy nie wspomniałam nikomu na świecie o naszej akcji, żywa dusza o tym nie wiedziała!

Rosemary nic nie odpowiedziała. Cóż mogła powiedzieć? Aneczka wyobraziła sobie, że jakaś tajemnicza ręka im szkodziła. Co za różnica w gruncie rzeczy? Szpieg zawodowy czy zdrajca? Anna bała się powtórnej denuncjacji. Nie wiedziała, że jej życie wisiało na włosku, że była biedną myszką, której pozwolono biegać na wolności i że znów zostanie schwytana w pułapkę, o ile przyjaciółka jej, Rosemary, której wierzyła całą duszą, nie okupi jej życia i wolności za cenę własnej duszy.

Ale inna myśl zaprzętała umysł młodej Angielki. Anna mówiła o swej akcji konspiracyjnej tylko z nią i z Piotrem. A Gaspar uzyskał od niej przyrzeczenie, że z Piotrem nie będzie mówić o sprawach Anny i Filipa. Jaki był związek między tym zakazem Gaspara a tymi okropnymi myślami, jakie rodziły się gdzieś het! — na dnie umysłu Rosemary, dręcząc ją jak zjawy piekielne? Jaka tajemnica tkwiła tutaj? — w uwięzieniu tych dzieci, wypuszczeniu ich na wolność, w tej alternatywie, postawionej jej samej przez generała Naniescu? Jakie ukryte siły sprzysięgły się na jej honor i na życie tych dwojga młodych?

Rosemary czuła duszność. Wstała nagle i otworzyła szeroko drzwi balkonu. Księżyc świecił łagodnie, widno było jak za dnia, przyroda tchnęła spokojem. Czemuż w niej go nie było? Rosemary zdawało się nagle, że i ona widzi oczy wpatrzone w nią — oczy, o których Aneczka dopiero co mówiła.

Naraz podniosła rękę do ust. chcąc stłumić krzyk, który już, już miał się wyrwać z jej ust, instynktownie cofnęła się w głąb pokoju i zamknęła pośpiesznie okno balkonowe.

— Co się stało, Rosemary, droga moja? — zapytała Anna.

— Nic, kochanie, nic — odparła szybko Rosemary. — To ta woń tuberoz uderzyła mi do głowy.

Nie mogła powiedzieć Annie, że nagle w tej spokojnej atmosferze nocy letniej posłyszała szelest liści, a gdy zwróciła wzrok w tę stronę, z której szelest dochodził, ujrzała rękę rozgarniającą krzewy, rękę, której każdy palec

ostro się rysował w świetle księżyca i odcinał od ciemnozielonego tła gęstwiny, a nieco wyżej niż poziom tej ręki — ujrzała parę oczu, patrzących na nią uporczywie.

Usiłowała rozmawiać wesoło z Anną, aby siebie uspokoić, była bowiem strasznie zdenerwowana. Wiedziała teraz z pewnością, że Anna ma uzasadnione przeczucie grożącego jej niebezpieczeństwa. Nie przeczuła tylko, że los jej i kuzyna spoczywał w rękach przyjaciółki, której zaufała tak bezgranicznie. Jak oni zniosą okropną prawdę, która wyjdzie na jaw i wszystko niebawem stanie się tak, jak stać się musi. Jak ona, Rosemary, spojrzy im w oczy, nawet jeżeli nie będą jej czynili wyrzutów, a jeśli nie zdradzi ich sprawy, to jak będzie mogła żyć z tym straszliwym wyrzutem sumienia: „mogłaś ich ocalić, a wydałaś ich na pewną śmierć”.

\* \* \*

Od tej chwili Rosemary prześladowana była nieustanną udręką. W nocy nie sypiała. Za dnia nie zaznawała sukundy ukojenia. Czasem rzucała się na kolana w parku, ona, ta zrównowazona, wolna od neurastenii kobieta i błagała Boga, by ją uwolnił od tej nieznośnej zmory dwu sprzecznych obowiązków, wyłączających się nawzajem. Doszło do tego, że chciała umrzeć.

Godziny mijały, dni upływały jeden za drugim. A wszyscy inni w Kis-Imre tacy byli szczęśliwi. Ta atmosfera ciążyła jej teraz. Nie wiedzieli, że żyli na wulkanie, a jej nie wolno było ich ostrzec! Co za piekło!

Nie zobaczyła już więcej tych tajemniczych oczu, które wpiły się w nią owego wieczoru. Doszła do wniosku, że była to chyba gra jej przemęczonych nerwów.

Zbliżał się dzień powrotu Gaspara. — Dwa tygodnie — powiedział. Nie miała wiadomości od niego i nie oczekiwała ich nawet. Zaczynał Gaspar: gdyby było coś bardzo dobrego, byłby telegrafował na pewno. Nie miała żadnej nadziei.

Dziesiątego dnia po wyjeździe Gaspara przyjechał Piotr. Oznajmił swój przyjazd na 24 godziny wcześniej. Wieść ta wywołała radosne poruszenie. Każdy coś organizował, obmyślał: Piotr był doskonałym tancerzem, grał w tenisa, był muzykalny. Planowano teatr amatorski, postanowiono sprowadzić Cyganów, urządzić konkurs tenisa, a może i — krokiet?! Zwrócono się o radę do Rosemary, ponieważ krokiet jest grą angielską i winien być urządzony według angielskich metod jak najwierniej. Dancing zaś i teatr winny być zorganizowane na sposób węgierski i przedwojenny oczywiście, będzie to najweselsza zabawa, na której Rosemary była kiedykolwiek.

Rosemary uprzytomniła sobie dopiero później, jak bardzo wypatrywała przybycia Piotra. Jakie nadzieje wiązała z jego obecnością, z jego bliskością, to też zrozumiała dopiero potem. Po kilku godzinach jego obecności pod dachem Imreyów zauważyła, że się zmienił. Nie zmienił się na gorsze, ale się zmienił.

Wydawał się młodszy, bardziej chłopięcy, bardziej angielski. Węgierska krew zdawała się stopniowo zanikać w nim, stawał się typowym młodym sportowcem angielskim.

Pierwszego popołudnia po swym przybyciu był dosłownie rozrywany, każdy chciał z nim mówić, z nim się naradzić odnośnie projektów sportowych i dancingowych.

Dopiero po obiedzie, gdy całe towarzystwo udało się do ogrodu, by odetchnąć świeżym powietrzem, Rosemary znalazła się sama z Piotrem. Wyszła z innymi, ale zmęczona upałem oddaliła się od gwarnej gromadki i siadła w ciemnym kącie pod drzewem.

Nie usłyszała za sobą kroków Piotra. W Kis-Imre nie przebierano się do obiadu, tak że Piotr miał na nogach obuwie tenisowe i szedł lekko i cicho: buty nie skrzypiały na żwirze. Wyrósł przed nią nagle, jak to bywa w bajce, jakby się z wody wyłonił i dopiero co dotknął stałego lądu. Pierwsze jego słowa były już w stylu dawnego Piotra, nieco sentymentalnego, mającego domieszkę gorącej krwi węgierskiej w żyłach.

— Uroczą boginko! — rzekł — uwierzyć mi trudno, że to pani! Odpowiedziała obojętnym głosem, nie patrząc na niego, lecz obserwując z niezwykłym skupieniem klomby kwiatów.

— Panie Piotrze, dlaczego mnie pan nie zawiadomił, że pan przyjeżdża do Transylwanii? Dowiedziałam się o tym, jak zwykle, od osoby trzeciej.

— Kto pani o tym powiedział? — zapytał.

— Zdaje się, że Gaspar najpierw. Jemu zaś wspomniał o' tym generał Naniescu.

Teraz dopiero podniosła oczy ku młodemu olbrzymowi, stojącemu przed nią. Nie, nie zmienił się: były to te same wierne, błyszczące oczy, jasne, falujące włosy. Patrzył z góry na nią uważnie i nagle powiedział:

— Nie wygląda pani na szczęśliwą, Rosemary!

Roześmiała się i powiedziała mu, że nie jest dobrym obserwatorem. Wszyscy są dla niej tacy dobrzy, gościnni, czegóż więcej można pragnąć? Piotr wzruszył ramionami. Włożył ręce do kieszeni i patrzył teraz na końce swych butów.

— No, dobrze — rzekł pogodnie — nie chce mi pani powiedzieć prawdy, nie powie mi jej pani. Ale chociaż jestem takim głupcem, niech mi pani pozwoli powiedzieć sobie, że pani bardzo zeszczupłała i ma gorące dłonie i wilgotne oczy...

Przerwał nagle w środku zdania i zapytał szorstko:

— Gdzie jest Gaspar?

— Pojechał do... — zaczęła i zaraz urwała. Przynęła Gasparowi nie mówić z Piotrem o Filipie i o Annie. Czy złamie przyrzeczenie, mówiąc mu, że Gaspar pojechał do Bukaresztu, ale przecież nie powie mu, po co tam pojechał, nie, nie, oczywiście! Ale Piotr ją zapyta, po co tam Gaspar pojechał. Zada pytania, dużo pytań, a przecież jej nie wolno dać odpowiedzi.

— Musiał wyjechać w interesie — rzekła krótko. Wahanie jej trwało najwyżej dwie sekundy. Miała nadzieję, że Piotr go nie zauważył. Gdy teraz zapytał: — Dokąd, do Budapesztu? — odrzekła już bez zająknięcia:

— Tak, do Budapesztu. I dodała prawie wesoło:

— Wraca w końcu tygodnia. Nie wyobraża pan sobie, jak mi go brak na każdym kroku! Może dlatego zeszczuplałam i mam gorące dłonie.

— Może — przyznał lakonicznie Piotr.

Rozmowa się urwała, Rosemary poczuła nagle przejmujący chłód, chociaż wieczór był upalny. Drżała. — Chodźmy się przejść — zaproponowała — czy też zaczekamy na resztę towarzystwa?

— Chodźmy — odpowiedział.

Szli obok siebie. Rosemary milczała. Piotr monologował. Opowiadał jej o Lidze Narodów, pełen entuzjazmu dla tej wielkiej idei, mówił o znaczeniu sportu dla rozwoju stosunków międzynarodowych. Wychwalał piękno gry w krokieta. Wymienił dużo nazwisk wspólnych znajomych, między innymi Paysonów z Budapesztu.

Rosemary dawała od czasu do czasu monosylabowe odpowiedzi. Nie mogła się zdobyć na nic więcej. Piotr zmienił się jednak, myślała, ten rozmowny, swobodny, wesoły młody człowiek to nie był dawny Piotr. Była jakby rozczarowana, sama nie zdawała sobie sprawy dlaczego. Wreszcie przerwała mu:

— Jak według pana wygląda Aneczka? — zapytała.

— Niedobrze — odrzekł Piotr spokojnie. — Biedne maleństwo! Powinna pani zabrać ją ze sobą do Anglii, gdy pani będzie wracać. To by jej dobrze zrobiło. Trzeba ją obronić przed nią samą, pani Rosemary!

— Ona nie pojedzie — odparła Rosemary.

— Sądzi pani?

— Pan wie dlaczego, panie Piotrze, więc po co to zdziwienie? — odrzuciła, zniecierpliwiona tą jego ciągłą obojętnością do wszystkich osób i tematów.

— A zresztą — dodała impulsywnie — nie sędzę, by dostała pozwolenie.

— Pani przypuszcza, że matka jej nie pozwoli?

— Nie — odparła — nie przypuszczam.

— Zatem? — nacierał dalej.

Rosemary, niezadowolona z obrotu rozmowy, milczała z zaciśniętymi wargami. Piotr wzruszył ramionami i rzekł:

— O, ma pani na myśli tego... Naniescu i jego bandę. Nie sędzę, by go to bardzo obeszło, w przeciwnym razie nie byłby ich wypuścił z aresztu, jej i Filipa. Ich zaś nauczy ta lekcja rozumu, a mała podróż zrobi im również bardzo dobrze, zwłaszcza Aneczce!

Przyjrzał się swej milczącej towarzyszce i zapytał :

— Czy pani się nie zgadza ze mną?

— Może — odrzekła z ciężkim westchnieniem.

— Pomyśli pani nad tym w każdym bądź razie, dobrze? — Milczała uparcie.

— Pewien jestem, że termin wyjazdu ustali pani z łatwością z tym starym Naniescu. On ma dla pani podziw nieskończony, wie pani?

Coraz gorzej. Albo Piotr nie domyśla się nawet smutnej prawdy, albo też — Gaspar ma rację. Czyżby?... Nagle uczuła szaloną chęć ucieczki stąd, jak najdalej od Piotra. Instynktownie przyśpieszyła kroku. Dotychczas nie zauważyła, jak się ściemniło. Księżyc schował się za obłoki, niebo było usiane gwiazdami, barwy klombu przestały olśniewać swym bogactwem, wszystko stało się szare, przybrało kolor zmroku.

Od strony pałacu rozległo się wołanie: — „Halo!” — Piotr odpowiedział wesoło: — „Halo!”. Wówczas zawołano:

— My już wracamy!

— Dobrze! — odkrzyknął Piotr — my także!

Wtem skoczył, rzucił się w bok, jednym susem przesadził klomb i znikł w gęstwinie. Rosemary, zdumiona, zatrzymała się. Z krzewów doszedł jej uszu krzyk okropny, potem głośne przekleństwa Piotra, a wreszcie szamotanie się i błagania o litość w imię wszystkich świętych. Żebrzący o litość mówił w języku węgierskim i to poprawnym, nie ludowym. W parę sekund później zaledwie Piotr ukazał się spoza krzewów, pchając przed sobą bezkształtną postać w łachmanach, z których wyglądała para ciemnych, głęboko osadzonych oczu.

— Co się dzieje? — zawołała Rosemary.

— Chciałbym sam to wiedzieć. — odpowiedział Piotr ze ściągniętymi brwiami. — Ujrzałem w krzewach to podłe nasienie, czające się i szpiegujące nas wyraźnie, skoczyłem więc i wziąłem go za ucho, co nie bardzo mu się widocznie podobało, co, przyjacielu?

Targnął znowu uchem, które trzymał wciąż w palcach, w odpowiedzi na tę brutalność ofiara jego wydała przeraźliwy krzyk.

— Litości, łaskawy panie! Litości dla biednego człowieka. Nic złego nie robiłem, doprawdy! Przysięgam na świętego Józefa, że nic złego nie robiłem!

Udało się tej kreaturze uwolnić z rąk Piotra. W tejże chwili próbował umknąć, ale szybki jak błyskawica i zwinny jak wiewiórka olbrzym pochwycił go za ramię i wymierzył mu karę nieco surowszą niż pociągnięcie za ucho.

— Niech pan puści tego człowieka, — zawołała Rosemary oburzona. — Nie ma pan prawa znęcać się nad nim.

— Czyżby? To się dopiero okaże, czy nie mam prawa — odrzekł Piotr szorstko.

— A zatem, przyjacielu — mówił dalej po węgiersku, zwracając się do człowieka w łańcuchach, którego trzymał mocno w ręku — uwaga! Poczujesz na krzyżu ciężar mego buta, tak że możesz sobie wyobrazić, co cię czeka, jeżeli mi natychmiast nie powiesz, co robisz tu o tej godzinie w ogrodzie hrabiego?

Człowiek widocznie nie mógł mówić ze strachu, bo milczał uporczywie. Usiłował tylko od czasu do czasu wyrwać się z rąk Piotra, który wówczas poturbował go tak, by mu przeszła ochota do ponownej próby ucieczki. Nareszcie, żebrak przemówił:

— Ja tylko chciałbym pomówić z łaskawą panią hrabiną, mam dla niej zlecenie!

I dlatego chowasz się w krzakach po nocy? — zapytał Piotr i wyjął z kieszeni coś, czego Rosemary nie mogła dostrzec, pokazał to żebrakowi, który znowu zaczął wzywać wszystkich świętych.

— Los biednego Cygana nie jest pewny nigdzie, łaskawy panie. Ja zaś mam zlecenie...

— Kto wam dał zlecenie dla hrabiny? — zapytała łagodnie Rosemary.

— Ja... ja... ja sam nie wiem, łaskawa pani. Piękny pan na koniu dał mi list. — Weź ten list — powiedział — zawieź go do łaskawej hrabiny w Kis-

Imre, ale oddaj go tylko do rąk własnych pani hrabinie, pamiętaj! I bez świadków — koniecznie!

— Gdzie macie list?

— Tu, łaskawa pani — i człowiek wyciągnął z kieszeni podartych spodni jakiś pomięty zwitek papieru, wyglądający istotnie na list w kopercie. Piotr chciał mu go wyrwać z ręki, ale Rosemary zatrzymała go rozkazującym gestem.

— Panie Piotrze — rzekła poważnie — temu człowiekowi kazano oddać list do rąk własnych Elzy.

— Ten człowiek łże — odparł Piotr gwałtownie. W tej samej chwili posłyszeli głos Filipa:

— Gdzież wy jesteście oboje?

— Filipie, czy twoja matka jest tam z tobą? — zawołała Rosemary.

— Owszem! Właśnie wracamy do domu.

— Poproś matkę, by zaczekała.

— A co się stało? — zapytała Elza.

— Nic, kochana — odparła Rosemary. — Odeślij resztę towarzystwa do domu, a sama zaczekaj na mnie, dobrze? Po czym, zwrócona do Cygana, rzekła łagodnie:

— Chodź ze mną i nie próbuj uciekać, łaskawy pan nie zrobi ci nic złego, jeżeli pójdziesz spokojnie za nami.

Ruszyli więc, Rosemary naprzód, za nią Cygan i Piotr, pilnujący go, by nie uciekł. Elza poszła im naprzeciw i niebawem spotkali się w pobliżu pałacu. W krótkich słowach Rosemary poinformowała Elzę o przebiegu zdarzenia. Wówczas właścicielka pałacu rzekła do Cygana:

— Jestem hrabiną Imrey. Daj mi ten list! Cygan skurczył się cały.

— Pani hrabino — wyszeptał — ja mam oddać ten list bez świadków!

Instynktownie obejrzała się Rosemary za Piotrem. Wchodził najspokojniej na stopnie pałacu z rękami w kieszeniach, gwiżdżąc jakąś melodię. Zdawał się nie pamiętać o Cyganie, którego tylko co tak poturbował. Rosemary zawołała niecierpliwie:

— Panie Piotrze!

— Halo! — odkrzyknął, zatrzymując się na chwilę.

— Czy można Elzę z nim zostawić samą?

Piotr wzruszył ramionami. — Dlaczego nie — odpowiedział śmiechem.

Po czym zwrócony do Elzy:

— Ciotko Elzo, gdyby cię chciał pocałować, zawołaj — zażartował. Elza roześmiała się wesoło. — Oczywiście — odrzekła — ale naprawdę zaciekawia mnie ten list.

Rosemary usunęła się. Była niezadowolona z Piotra. Postępowanie jego było dla niej niezrozumiałe. Chciałaby je wyjaśnić, wypytać się go o powody tego dziwnego zachowania — od zainteresowania i gniewu do nonszalancji. Ale Piotr szybko odszedł w głąb pałacu. Rosemary zawołała więc tylko:

— Elzo, gdyby ci coś groziło, krzyknij, a zaraz jestem przy tobie!

— Dobrze, dobrze — odparła Elza ze śmiechem. — Nie boję się Cyganów, moja droga, o to mnie chyba nie posądzasz.

Zaczekała chwilę, aż oddaliły się kroki przyjaciółki i rzekła do Cygana:

— Jestem zupełnie sama. Możesz mi oddać list.

\* \* \*

Całe towarzystwo zgromadziło się w salonie, gdy Rosemary weszła, Piotr siedział już przy fortepianie i grał czardasza. Jak on gra! Miał widocznie tę muzykę we krwi. Rosemary nie przypuszczała nawet, że był tak świetnym pianistą. W muzyce jego była tęsknota, namiętność, żar i była czułość, słodycz, miękkość niemal kobieca — wszystko to, co pragnęłaby w nim widzieć, co w nim zawsze przeczuwała. Elza wróciła po chwili, siadła spokojnie obok Mariusza i mniej bacznemu oku niż Rosemary uszedłby na pewno jej niepokój wewnętrzny.

W godzinę później, gdy już wszyscy byli w pokojach sypialnych i gdy Rosemary zaczęła się rozbierać, zapukano do drzwi i weszła Elza. — Nie przeszkadzam ci, Rosemary? — Siadły obie na kanapce. Elza najwidoczniej była poruszona. Mówiła o muzyce, o Piotrze, o Annie i Filipie, ale znać było, że myśli jej są gdzie indziej. Rosemary zastosowała się do jej lekkiego, powierzchownego tonu, wiedząc, że prędzej czy później dowie się prawdy.

— Gdzie ujrzełście najpierw tego Cygana? — spytała nagle Elza.

— Krył się w krzewach — odrzekła Rosemary — z drugiej strony klombu. Ja go nie widziałam. Piotr go zauważył, skoczył na niego i poturbował go srodze.

— Dziwna rzecz, że nie poszedł po prostu do drzwi kuchennych i nie prosił o widzenie się ze mną!

— To właśnie wzbudziło podejrzenie Piotra. Obawiam się, że biedak odpokutuje ten niewczesny pomysł: Piotr zmaltretował go okropnie.

— Szkoda, to mnie bardzo martwi — rzekła Elza zamyślona — ten człowiek naprawdę miał dla mnie ważne zlecenie.



— Tak, widziałam list.

— Nie, to nie był list. Widzisz, Cyganie to dziwny rnfod. Oni mają dar jasnowidzenia. Ten człowiek... Zawahała się i urwała.

— Ależ ten człowiek miał list do ciebie, Elzo droga — nalegała Rosemary. — Sama widziałam ten list, trzymał go w ręku.

— Szło tylko o upozorowanie chęci widzenia się ze mną. Historia o panu na koniu też była zmyślona. On przyjechał z Uljaku. Uljak to moja wioska rodzinna. Bratowa moja mieszka tam do dziś dnia. Tam się urodziła Anna i siostra jej, Maria. Stamtąd przybył ów Cygan.

— By pomówić z tobą.

— Tak twierdzi.

— A cóż ci miał do powiedzenia?

— Że miał widzenie: Ukazał mu się we śnie mój ojciec i kazał mu iść do mnie. Kazał mi powiedzieć, że najdroższa mi osoba jest w wielkim niebezpieczeństwie, zagrażającym życiu.

Rosemary siedziała nieporuszona. Patrzyła na Elzę jak zahipnotyzowana. Dopiero gdy Elza przestała na chwilę opowiadać dalej, Rosemary rzekła:

— Ta... ohydna kreatura to ci powiedziała? — Elza skinęła głową.

— Widzę po twym wyrazie twarzy, Rosemary, że on nie skłamał i że to, co potem mówił, również było prawdą.

— Cóż mówił jeszcze?

— Powiedział, że cudzoziemka, przebywająca obecnie w naszych murach, wie o tym niebezpieczeństwie i potwierdzi to, co mu się przyśniło. A teraz, droga moja, jedno spojrzenie na twoją słodką twarzyczkę wystarcza mi, bym wiedziała, jak dalece ta kreatura, jak ją nazywasz, mówiła prawdę. Wizja senna oświeciła go jakoby, ja nie zadawałam mu żadnych pytań. Cyganie to łgarze zawołani, zmyślają niebywałe historie, byleby dostać parę groszy. Ale twoje spojrzenie potwierdza treść jego słów, teraz od ciebie żądam prawdy, Rosemary kochana! Jakie niebezpieczeństwo zagraża Filipowi, odpowiedz!

— Elzo, kochanie... — wyszeptała Rosemary.

— Jestem jego matką — dodała Elza z łagodnym, smutnym uśmiechem — muszę wiedzieć. On jest dla mnie wszystkim. Skoro tylko wiedziałas, że coś zawisło nad głową mego dziecka, powinnaś była mnie ostrzec, maleńka.

Rosemary walczyła z sobą, prosząc Boga, by ją oświecił, co czynić, jak postąpić.

Elza ciągnęła dalej:

— Trudno ci mówić, rozumiem to, ale lepiej, bym ja z góry wiedziała. Spędziłam bardzo, bardzo szczęśliwe dni od powrotu dzieci, ale podświadomie dręczona byłam jakąś niewytłumaczoną obawą. Ile razy Filip mnie pocałował, łzy mi się cisnęły do oczu.

Elza mówiła to wszystko jak przez sen, oczy jej wpatrzone były w dal, w jakiś punkt niewidzialny. Teraz drgnęła, jakby się ocknęła, i zwrócona prosto do Rosemary pytała spokojnie, rzeczowo:

— A zatem: odpowiedz, Rosemary, Filip i Anna są zwolnieni z aresztu czasowo tylko, czy tak? Rosemary, skinęła głową. Nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie słowa. Elza pytała dalej:

— O co są oskarżeni?

— Filip napisał pewne artykuły do dzienników — odrzekła Rosemary mechanicznie niemal — które się ukazały w pismach angielskich i amerykańskich. Anna zaś posyłała je stale w paczkach z warzywami, jakie sklep Baloga nadawał pocztą do Budapesztu.

— O tych artykułach wiedziałam — odparła Elza spokojnie. — Nie było człowieka w Transylwanii, który by o tym nie wiedział, ale nie przyszło mi do głowy, że Filip lub Anna mają z tym coś wspólnego. A zatem — jest to oskarżenie o zdradę?

— Tak!

— Sąd wojskowy?

— Tak.

— Jeżeli będą uznani za winnych — wyrok śmierci?

— Nie! Nie! Nie! — krzyknęła Rosemary wielkim głosem, runęła na kolana, obejmując Elzę ramionami i podnosząc ku niej twarz zalaną łzami. Elza nie płakała, oczy jej tylko miały wyraz dziki, ale całe ciało i rysy twarzy zdawały się być zastygłe. Łagodnie, ale stanowczo, uwolniła się z objąć Rosemary.

— Mówmy spokojnie i rozsądnie — rzekła — dlaczego zatem Naniescu pozwolił im wrócić do domu? Dlaczego ryzykował, że ujdą wymiarowi sprawiedliwości?

Rosemary zwiesiła głowę na piersi.

— Nie wiem — szepnęła.

Ale Elza ujęła ją za podbródek i zmusiła do spojrzenia jej prosto w oczy.

— Nie kłam, droga — prosiła — powiedz mi prawdę.

— Powiedziałam ci prawdę, Elzo. Rosemary protestowała przez łzy.

— Muszę ci wierzyć. Ale wszystko to jest bardzo tajemnicze. Na co czeka Naniescu? Dlaczego igra z tymi dziećmi, jak kot z myszą? Czy wiesz, Rosemary, co mi Cygan powiedział na zakończenie?

Rosemary potrząsnęła głową przecząco.

— Powiedział, że ta cudzoziemka może ocalić mi syna od śmierci. Czy możesz to uczynić, Rosemary?

— Nie! Nie! — zaprotestowała Rosemary z wyrazem obłędu w pięknych oczach.

— Czyżbym się wahała, gdybym naprawdę mogła to uczynić? Elza przytaknęła. — Naturalnie, kochana. I ja tak myślę. Ale, gdy Cygan mi to powiedział, uczułam szaloną radość, nadzieja wstąpiła we mnie, bo wszystko, co mi obwieścił poza tym, zgadzało się zdumiewająco...

Naraz zwróciła się żywym ruchem do przyjaciółki, wzięła jej twarz w obie dłonie i patrząc jej w oczy z bliska, jakby chciała jej wydrzeć tajemnicę siłą swego spojrzenia, wyszeptała błagalnie:

— Przysięgnij, Rosemary, przysięgnij, że nie jest w twojej mocy ocalić Filipa!

Rosemary, wytrzymując jej spojrzenie, odrzekła:

— Przysięgam, że nie jest w mojej mocy ocalić Filipa i Annę.

— Gdyby tak było — nie zawahałabym się.

Elza nie rozplakała się i teraz. Siedziała wyprostowana w milczeniu. Wyglądała tragicznie, ale nie wykonała ni gestu, nie rzekła ni słowa.

— A zatem jesteśmy bezsilni — wyszeptała.

— Nie mów tego, droga, — przerwała Rosemary. — Gaspar pojechał przecież do Bukaresztu, by uzyskać osobistą audiencję u króla. Rząd rumuński winien jest wdzięczność mojemu mężowi za usługi oddane podczas wojny. Pewna jestem, że Gaspar osiągnie cel swej podróży i przywiezie przebaczenie królewskie dla tych dzieci.

— Sama w to nie wierzysz, droga moja — odrzekła Elza spokojnie.

— Te dzieci popełniły przestępstwo polityczne, największą ich zbrodnią jest ich narodowość węgierska. Król sam uniewinniłby Filipa, pewna jestem, ale Bukareszt jest daleko, a tutejsza biurokracja nie zna słowa litość.

— Ale my znamy słowo nadzieja, Elzo droga — powiedziała Rosemary stanowczym głosem. — Nie wyrzekajmy się nadziei. — Mówisz, że Cyganie mają dar jasnowidzenia, teraz ja z kolei zabawię się w proroka: Filip i Anna są w ręku Boga i my obie będziemy się za nich modlić tak żarliwie i bezustannie, że Bóg nam dopomoże, na pewno!

Elza westchnęła ciężko.

— Ach! Jacy wy Anglicy jesteście szczęśliwi! Wy macie wiarę. Ale my tutaj inaczej myślimy. Nasi duchowni w miasteczkach i po wsiach są chłopami, których nauczono łaciny, z którymi nie mamy nic wspólnego, oni oddalają nas raczej, niż przybliżają do Boga, którego reprezentują na ziemi. Zapominamy często katechizmu z czasów dzieciństwa i wierzymy często we własne siły, ale w Boga prawie nigdy.

Wstała i z tą samą macierzyńską czułością, jaką stale okazywała Rosemary, wzięła ją w swe objęcia.

— Dobranoc, droga moja — rzekła tonem rezygnacji. — Przepraszam, że cię tak długo zatrzymałam. Dobranoc. Módl się za nas wszystkich. Angielski Bóg jest wyrozumialszy, sądzę, niż nasz Bóg węgierski.

— Elzo — prosiła Rosemary — przyrzeknij mi, że nie stracisz nadziei. Gaspar wraca jutro. Przywiezie dobre wieści, ale przyrzeknij, że w żadnym razie nie oddasz się rozpaczy.

Elza próbowała się uśmiechnąć.

— Przyrzekłam ci, że będę w miarę możliwości wierząca. Ucałowały się czule. Po czym Rosemary raz jeszcze zapewniła Elzę, że życie swoje oddałaby z chęcią za tych dwoje, ale niestety, to by się na nic nie zdało! Gdy za Elzą drzwi się zamknęły, Rosemary pozostała sama w obliczu nocy.

\* \* \*

Całą noc męczyła się Rosemary trwogą i daremnym rozwiązywaniem zagadki, otaczającej ten dom, ją samą i drogich jej ludzi. Kim był ten Cygan? Czy istotnie był Cyganem? W takim razie kto go przysyłał? Trzeźwa Angielka ani chwili bowiem nie wierzyła w jego objawienie i w dar nadprzyrodzony w ogóle.

Przed oczami miała wciąż białą, nieruchomą twarz Elzy, tej kobiety, wzbudzającej w niej głęboki podziw swym cichym bohaterstwem. Elza łązy jednej nie uroniła, siedziała w jej pokoju jak posąg. Jakie miała projekty, jakie żywiła nadzieje? A Aneczka? Aneczka wiedziała. Aneczka domyślała się. Ona powiedziała już Rosemary o swych obawach. Ona mimo woli drżała na wspomnienie tych tajemniczych oczu, które ją prześladowały. Elza i Anna! Co za przykład odwagi i godności!

Nazajutrz spokój Elzy wzbudził w niej jeszcze większy podziw: wobec tylu osób nosiła ona maskę zaaferowanej pani domu, tak że nikt by się nie domyślił, że ta kobieta drży o życie syna, będące jej jedyną radością życia. Martwiła się głośno, że karp wydobyty tego dnia z rana z jeziora nie był, jak się okazało, dość tłusty. Doznawało się wrażenia, że poza tym karpem nie ma dla Elzy rzeczy ważniejszych.

Dla Rosemary zachowanie Elzy było tylko o pół tonu za głośne, zbyt ożywione w stosunku do jej zwykłego sposobu bycia. Ale nie wtajemniczeni nie mogli żadną miarą zdać sobie z tego sprawy. Ożywienie to było zresztą uzasadnione ogólną rozmową o tryumfach, czekających niebawem Piotra, pod którego kierunkiem miał się rozegrać konkurs krokietowy w Cluju, przedtem zaś projektowano bal w Kis-Imre z udziałem wszystkich krewnych Imreyów, bliższych i dalszych. Między innymi obiecały swój przyjazd ciotka Szarlota i Maria, matka i siostra Aneczki.

Zmęczona gwarem, Rosemary oznajmiła ze śmiechem, że idzie do parku zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdy przechodziła obok fortepianu, Piotr przez zaciśnięte zęby mruknął:

— Rosemary, oni są bardzo weseli, rozumie pani? Elza powzięła szalony plan, zaklinam panią, niech pani użyje całego wpływu, jaki pani mieć może i odwiedzie ją...

Głośno zaś zawołał:

— Dosyć mam tych amerykańskich melodii. Kto chce czardasza?

Ale nie zagrał czardasza. Palce jego wędrowały kapryśnie po klawiszach, oczami zaś ścigał Rosemary, schodzącą drzwiami balkonowymi do ogrodu. Gdy Rosemary oddaliła się już od domu, posłyszała wreszcie melodię, ale nie były to tony czardasza, lecz znana piosenka węgierska: „Jest na świecie tylko jedna piękna dziewczyna”. Fortepian śpiewał pod palcami Piotra, Rosemary przystanęła i stała tak nieruchomo, spokojnie, wchłaniając w siebie muzykę i pozwalając sobie na tęskne myśli, bujne marzenia, pragnienia, na wznoszenie się ku tej nieskończoności, ku której tylko muzyka może skierować duszę ludzką na magicznych swych skrzydłach.

Czas szybko zszedł jej na marzeniach i rozmyślaniach w samotności i w ciszy ogrodu. Kiedy wróciła do rzeczywistości, pora śniadania się zbliżała.

Gdy weszła na werandę, zastała tu zgromadzoną całą rodzinę z wyjątkiem Piotra. Elza, Mariusz, Filip i Anna siedzieli w milczeniu. Jednym rzutem oka objęła Rosemary całokształt sytuacji, Elza powiedziała im o rozmowie z Cyganem. Mariusz siedział jak złamany człowiek, oczy mu błyszczały nienaturalnym blaskiem, miał rumieniec gorączki na twarzy, włosy mu się jeżyły, patrzył przed siebie błędnym wzrokiem.

Filip zerwał się nagle i zaczął biegać tam i z powrotem po tarasie. Anna siedziała spokojnie z głową opartą o filar tarasu, wyglądała jak mała męczennica. Filip robił raczej wrażenie podnieconego niż zdeprymowanego. Elza wodziła za nimi wzrokiem z wyrazem troski. Troski, ale nie rozpacz.

Rosemary pomyślała:

— Wiedzą, Elza im powiedziała. Przy tym Elza ma plan, Piotr mi o tym wspomniał. Piotr mówi, że to plan szalony. Plan ucieczki najwidoczniej.

Czy oni jej powiedzą, co to za plan?

Pierwszą nowiną, jaką posłyszała, był nieoczekiwany odjazd Piotra. Dlatego był nieobecny na tarasie, tłumaczyła Elza: musiał pakować rzeczy, bo nagle powziął decyzję wyjazdu po krótkiej rozmowie telefonicznej. Po konkursie krokietowym oczywiście powróci i wtedy dopiero będzie jakiś uroczysty obchód na cześć domniemanego zwycięzcy.

Co to znaczyło? Ten wyjazd Piotra też jej się dziwny wydawał. Widocznie upozorował krokietem chęć usunięcia się, ponieważ nie solidaryzował się z planem Elzy. Uwolnił ją od tych sprzecznych myśli dzwonek, wzywający na śniadanie.

Piotr był już w jadalni. Elza zapytała go uprzejmie, czy już się spakował i czy można mu w czym pomóc. Podziękował za wszystko, prosząc tylko o konie do Cluju. Był tak wesół i rozmowny jak nigdy. Zdawał się nie przeczuwać chmur, jakie zawisły nad pałacem. Rosemary, postawiona wobec tej zagadki, usiłowała pochwycić spojrzenie Elzy, ale daremnie. Elza zdawała się unikać jej wzroku. Czy ta kochana, zacna dusza straciła do niej zaufanie wskutek sprzeczności między jej zapewnieniem o swej bezsilności a twierdzeniem Cygana o wszechmocy cudzoziemki, będącej pod dachem hrabiny Imrey? Rosemary nie mogła rozwikłać tych zagadek mnożących się z godziny na godzinę. Tajemnica wokoło niej stawała się coraz głębsza, coraz bardziej niepokojąca.

Po śniadaniu zbliżyły się do niej Elza i Anna.

— Chodź z nami na chwilkę, Rosemary droga — rzekła Elza — mamy ci coś do powiedzenia.

Poszły do małej altanki w głębi parku. Siadły, po czym Elza ujęła mocno w swe dłonie ręce przyjaciółki. — Prosiłaś mnie ubiegłej nocy, kochana, bym się nie wyrzekała nadziei, tej najcenniejszej dźwigni człowieka, nieprawdaż? — rzekła. Rosemary przytaknęła. — Przyrzekłam ci nie poddawać się rozpacz — ciągnęła dalej Elza — z trudem udało mi się trwać w wierze i odwadze przez tę okropną, bezsenną noc.

O świcie poczułam istotnie nadzieję, pewność lepszego jutra i sympatię dla całego świata.

Rosemary uścisnęła jej dłoń.

— Droga moja! — wyszeptała ze wzruszeniem.

— Otóż powzięłyśmy plan, droga moja! — wyrzekła teraz Elza z tryumfem. — Pyszny plan! Jutro w nocy Anna i Filip znajdą się zdrowi i cali na ziemi węgierskiej.

Rosemary spodziewała się tej rewelacji. Spojrzała na Annę, która potwierdziła te słowa ciotki skinieniem głowy.

— Słuchaj, kochanie — mówiła Elza — jutro przyjeżdżają tu wszyscy uczestnicy konkursu krokietowego wraz z Piotrem, tak już zostało zaplanowane. Wieczorem wydajemy bal. Następnego dnia mają oni wprost stąd wyjechać do Hódmeze, gdzie się rozgrywa konkurs. Hódmeze leży, jak wiesz, po tamtej stronie granicy. Stąd droga trwa autem 4—5 godzin. Jadą trzema samochodami, oddanymi im do dyspozycji przez generała Naniescu. W dwóch samochodach jadą młodzi oficerowie rumuńscy, ludzie z najlepszego towarzystwa. Generał dał im naturalnie przepustki. Na szczęście dał również cztery przepustki dla służby. Dwóch przewidzianych na tę okoliczność służących to dwóch synów Janosa, młynarza, szczerze oddanego nam wszystkim. Zgadujesz, Rosemary, prawda?

Rosemary kiwnęła głową. — Zgaduję dalszy ciąg, ale mów, Elzo opowiedz szczegóły.

— Posłałam po Janosa dziś rano. Zrozumieliśmy się w kilku słowach, jak przystało na Węgrów w okupowanych terytoriach. My żyjemy z niebezpieczeństwem u naszych drzwi. Zżyliśmy się razem z nimi, zahartowani jesteśmy, toteż radzimy sobie nieźle wspólnie. Janos zaraz opracował szczegóły mego planu. Gdy tylko samochody wyruszą z uczestnikami konkursu, zaraz Anna i Filip pobiegną ścieżką do młyna, tam się przebiorą w odzież synów Janosa. Trzeci samochód przez ten czas zabierze z miasteczka dwu innych służących i zajedzie przed młyn. Janos poczęstuje tamtych dwóch czymś „mocnym”, a obaj ci mężczyźni są znanymi w miasteczku pijakami. Gdy już będą „gotowi”, Janos zaprowadzi ich z powrotem do samochodu, gdzie niezawodnie usną niezwłocznie. Ale Filip i Anna też wsiądą przebrani za synów Janosa i zaopatrzeni w ich przepustki. Przybędą do Hódmeze o 5 rano. A wówczas już będą ocaleni! Rosemary, kochana! Ocaleni!

Rosemary milczała. Według niej plan nie był szalony. Czego Piotr się obawiał? Szpiegów, oczywiście. Słusznie. Ale wszak życie tych dwojga było już z góry przekreśloną pozycją, jeżeli tu zostawali, ryzykowali więc bardzo mało. Według niej plan był dobrze obmyślony i miał szanse powodzenia. Niewykonanie go równało się położeniu głowy pod topór.

No, Bogu dzięki, Gaspar był już niedaleko, Gaspar wracał i będzie mógł służyć radą i pomysłem. Jej samej, im dłużej myślała, tym wspanialszym się ten plan wydawał. Po prostu wspaniałym, tak jest! Jutro jeszcze młodzi będą tutaj pod mieczem Damoklesa, a pojutrze już będą na terytorium węgierskim, ocaleni, przy boku Piotra.

Zapatrzyła się przed siebie i myślała. Wtem zdawało jej się, że mignął jej przed oczami Cygan, ów wczorajszy, ale uprzytomniła sobie zaraz, że to złudzenie. Po prostu napięte nerwy były przyczyną, że na każdym kroku widziała człowieka, od którego coś ją odpychało instynktownie.

Drgnęła. Tuż przy sobie usłyszała wybuch śmiechu, a jednocześnie rozległ się głos Elzy:

— Ależ Rosemary! Mówimy przecież cały czas po angielsku! Elza powiedziała to z głośnym śmiechem, Anna jej wtórowała.

— Czy ja mówiłam coś? — spytała Rosemary.

— Tak, Rosemary — odrzekła Anna — milczałaś przez dłuższą chwilę, aż nagle powtórzyłaś parę razy: Cygan, Cygan. Brzmiało to tak zabawnie.

— Sądziłam — rzekła Elza — że może przyszło ci do głowy, że ten obdartus słyszy, co my mówimy. Ale Cyganie na Węgrzech nie rozumieją po angielsku, mogę cię upewnić. Nie chodzą oni zresztą do szkoły nigdy w życiu.

Elza była już całkiem dobrej myśli.

— Wiedziałam, że ty mi przykłaśniesz.

Rosemary łamała sobie głowę: dlaczego Piotr był przeciwny projektowi?

— A co Piotr mówi na to? — zapytała wreszcie.

— Piotr? — Elza otworzyła szeroko oczy.

— No, tak. Powiedziałyście mu o tym planie, prawda?

— Nie, nie! — zapewniała Elza stanowczo. — Nie powiedziałyśmy mu. Piotr odjeżdża. Po co ma o tym wiedzieć?

— Myślałam... — szepnęła Rosemary.

— Nie, nie, na to będzie dosyć czasu, gdy się spotkamy niespodziewanie w Hódmeze — powiedziała wesoło Anna.

Co to znowu znaczy? Piotr wie, bo cóż by znaczyły jego słowa wyszeptane pośpiesznie przy fortepianie dzisiaj rano? Piotr wie, chociaż nikt mu nie powiedział. Nowa tajemnica, Boże, jak ją dręczą te nierozwikłane tajemnice! Te zagadki niebezpieczne i przerażające!

Tęskniła teraz z całej duszy do Gaspara. Drogi, dobry Gaspar, nietajemniczy, prosty i prostoliniorny, który pewną ręką wyprowadzi ją z tego labiryntu. Dobrze, że przyrzekła Gasparowi milczenie wobec



Piotra. Nie miałyby teraz chwili spokoju wobec tej nowej tajemnicy, najbardziej podejrzanej, gdyby się była zwierzyła Piotrowi. A przecież, jak niełojalnym był ten nagły strach. Strach przed Piotrem! Podejrzenie względem Piotra! Tak niedawno jeszcze byłaby ręczyła za prawość Piotra, poczucie honoru dżentelmena, Anglika, angielskiego sportowca! Co się z nią działo w atmosferze tego nieszczęsnego kraju, gdzie dla najzacniejszych zdrada była prawem, wynikiem nieubłaganych konieczności?

\* \* \*

Rosemary po rozmowie z Elzą i z Anną wyśmiała samą siebie: jak można było podejrzawać tak głupio Piotra? Wielkie nieba! Piotr zdrajcą? Do czego dochodziło jej podenerwowanie!

Zdawała sobie sprawę, że to Gaspar tak ją nastroił i miała znów żal do niego. Ale z drugiej strony stęskniona była do jego silnego ramienia, na którym nareszcie będzie mogła się oprzeć po długiej przerwie. Dwa tygodnie to długa rozłąka. Pocziwy Gaspar!

— Halo! — Głos Piotra przywrócił jej przytomność. Była przez chwilę tak pogrążona w myślach, że tylko ciało jej bawiło tu w Kis-Imre. Dusza, jak to często bywało w ciągu ostatnich dni, uleciała w przestworza, a ona wciąż uparcie rozważała te same sprawy, gubiąc się w domysłach.

Piotr dogonił ją niebawem. — Sądzę — rzekł — że powiedzieli pani, jaka nedorzeczna myśl powstała w ich głupich, kochanych głowach.

Wskazał w kierunku pałacu. Rosemary milczała. Więc Piotr wiedział? Jakim sposobem? O, jak nieznośnie dręczące były te ciągłe tajemnice!

— Czy pani nie życzy sobie mówić ze mną? — zapytał Piotr, zdziwiony jej milczeniem. Nie odpowiedziała. Zbierała myśli. Chyba, że oni mówili tak głośno, iż Piotr bez zamiaru popełnienia niedyskrecji usłyszał całą rozmowę. Tak, tak, tylko to było możliwe. Co jej przedtem do głowy przychodziło! Absurd!

— A więc nie życzy pani sobie mówić ze mną? — powtórzył Piotr zmienionym, szorstkim głosem.

Piotr miał z natury głos melodyjny, często zmieniający się, miękki, głos pełen czaru męskiego, którym niegdyś podbił serce Rosemary. Spróbowała zażartować:

— Cóż pan się tak nasrożył, jak pater familias, drogi panie Piotrze? Za chwilę postawi mnie pan do kąta!

Piotra rozśmieszyć było bardzo łatwo. I teraz wybuchnął śmiechem i na dobre się już rozchmurzył.

— Nie udawać, pani Rosemary — zawołał w swój zwykły, chłopięcy i rubaszny sposób.

— Proszę mi powiedzieć, co ciotka Elza powiedziała pani przed godziną?

— Ależ, Piotrze, głuptasie, nic mi ciekawego nie powiedziała. Piotr nachmurzył się znowu. — Aha, więc mówiłyście panie cały ten czas o sukniach, o modzie, przez półtorej godziny!

— Nie — odrzekła chłodno — mówiłyśmy o przygotowaniach do jutrzejszego balu.

Piotr zaklął przez zaciśnięte zęby i zaczął biec ku pałacowi. Na to Rosemary nie była przygotowana. Może go nie zobaczy już nigdy w życiu?...

— Piotrze! — krzyknęła.

Jednym susem był przy niej z powrotem. Oczy ich się spotkały: Rosemary pochwyciła w jego źrenicach ten sam wyraz, co w Albert Halu, namiętny i słodki, ubóstwiający, wyraz, który do najwyższego napięcia doszedł owej pamiętnej nocy czerwcowej nad brzegiem rzeki w Anglii, który ją ujarzmił i zostawił w jej duszy na zawsze tęsknotę za tym człowiekiem.

— Co pan chciał usłyszeć ode mnie, panie Piotrze? — zapytała, by zyskać na czasie i okazać swą dobrą wolę.

— Nic — powiedział szorstko — czego by pani nie chciała powiedzieć.

— Panie Piotrze — rzekła prosząco — dlaczego pan tak dziwnie postępuje ze mną? Przecież ja pana niczym nie obraziłam. A czasem zdaje mi się, że pan jest wręcz moim nieprzyjacielem.

Piotr roześmiał się, ale śmiech jego był wymuszony, brzmiał nieszczerze.

— Nieprzyjacielem pani! — powtórzył. — Bóg widzi, że nie!

— Ale coś zaszło między nami, panie Piotrze — nalegała — nie umiem panu powiedzieć, jaki pan jest zmieniony.

— No, tak — odrzekł krótko — coś zaszło, wyszła pani za mąż za Gaspara.

— Nie, nie, to nie to. Widziałam się z panem po moich zaręczynach i był pan normalny, był pan sobą. Dopiero tutaj, w Transylwanii, jest pan inny...

— Widocznie to otoczenie działa mi na nerwy — odparł, wzruszając ramionami.

— Musi im pan darować, oni są tacy zatroskani!

— Doprawdy?

— Jakże to? Pan nie wie o tym? Czy też pan wątpi? — głos jej drżał z oburzenia.

— Mogę wątpić, mam wszelkie dane po temu. Od czasu mego przyjazdu tańczą po całych dniach, śmieją się, śpiewają, myślą tylko o organizowaniu balów i festynów. A pani mówi, że są zatroskani. A gdy się pani wypytuję o najważniejsze rzeczy, mówi pani same kłamstwa.

— Panie Piotrze!!

— Bardzo panią przepraszam, ale jak mam inaczej nazwać twierdzenie, że Gaspar pojechał w interesach do Budapesztu?

— ?

— Było to kłamstwo i to niepotrzebne. Znając zaś prawość pani natury, tłumaczę to sobie w jedyny możliwy sposób, że Gaspar kazał pani mieć się w stosunku do mnie na baczności.

— Ależ skąd! — zaprotestowała.

— A zatem nieufność wypływa z pani samej.

— Znowu nonsens, Piotrze! Nie mam pojęcia, o co panu chodzi. Skąd ta kwestia zaufania lub nieufności? Jeżeli ciotka Elza nie mówiła z panem otwarcie, to nie moja to rzecz poinformować pana o tym, czego ona panu sama nie mówi. Już i tak powiedziałam w tej chwili więcej niż powinnam. Ale Elza i Anna nadchodzą właśnie. Jeżeli pan chce stawiać pytania, to wystarczy przejść przez ten trawnik i przedłożyć tym paniom pański kwestionariusz.

I szybko wstała i poszła ku domowi. Czowała się niezadowolona i zawstydzona. Piotr miał słuszość: powiedziała mu dużo niepotrzebnych kłamstw. Była zła na niego, zła za Gaspara i zła na samą siebie.

Gaspar wymusił na niej te kłamstwa i tę nielojalność względem Piotra. Z tego wynikła fałszywa sytuacja, na której cierpiała ona jedna. Piotr powinien był wziąć w swoje ręce wykonanie planu Elzy. Rosemary czuła ogromną pokusę złamania przyrzeczenia danego Gasparowi i pomówienia z Piotrem, tak jak ten zacny chłopak na to zasługiwał: szczerze, ufnie, z prośbą i o dobrą radę.

Wyszła na taras. Piotr był już tutaj, siedział wygodnie na fotelu i myślał. Stała przed nim i powiedziała szybko:

— Niech pan nie jedzie dziś do Hódmeze panie Piotrze. To nie jest chyba konieczne. Niech pan zamówi tam pokoje przez telefon i pojedzie jutro po balu. Niech pan tu spędzi z nami te 24 godziny, proszę!

Piotr nie patrzył na nią. Poprawiał sobie sznurowadło u buta.

— Żałuję, ale już przyrzekłem być tam jutro — odrzekł krótko. Westchnęła zniecierpliwiona i odwróciła się od niego.

— Ale, wie pani — zawołał — mamy czas zagrać jednego seta do czasu mego odjazdu! Co pani na to? Przy takiej pogodzie tenis jest rozkoszą!

Pokusa szczerzej rozmowy z tym niepoczytalnym chłopcem opuściła Rosemary. Gaspar miał rację. Elza miała rację. Ona tylko, Rosemary, była niemądra, a jej znajomość natury ludzkiej była tylko próżnym urojeniem.

Zapanowała nad sobą i odpowiedziała pogodnym tonem.

— Nie, dziękuję, jestem zmęczona. I szybkim krokiem odeszła, pobiegła do swojego pokoju, chciała być sama.

\* \* \*

Rosemary nie zobaczyła już Piotra przed jego odjazdem. Zamknęła się w swoim pokoju z goryczą w sercu. Nie mogłaby go pożegnać serdecznym „do widzenia”. Wracał niebawem, zatem nie mogło to zwrócić niczyjej uwagi, że lady Tarkington, znużona upałem, nie wyszła przed dom, gdy konie po niego zajechały.

Wieczór był nudny, ciągnął się w nieskończoność, mówiono o rzeczach błahych, które nikomu nie były w głowie. Wreszcie Rosemary poszła do swego pokoju i zaczęła się rozbierać. Zapukano. Weszła

Aneczka. Był to ostatni ich wspólny wieczór. Aneczka przyszła ją ucałować. Po krótkiej wymianie zdań, przerywanej wzruszeniem, przyjaciółki rozstały się. Rosemary przyrzekła modlić się za Aneczkę i za Filipa.

Po jej odejściu Rosemary myślała długo o bohaterstwie, o rezygnacji tego nieszczęśliwego narodu. Anna powiedziała jej kiedyś, że Węgrzy są religijni, jak dzieci, a nie jak cywilizowane i rozsądne narody Zachodu. Może też w imię słów Zbawiciela, który uczył, byśmy mieli serca niewinne jak małe dzieci, te narody osiągną Królestwo Niebieskie? Może Anna i Filip zostaną wybawieni z opresji dzięki swej spontanicznej wierze, dzięki swej naiwności religijnej — bo taka religia właśnie podoba się Panu?

Nazajutrz rano budząc się, Rosemary usłyszała nieopisany zgiełk, śmiechy, tupania, nawoływania się wesołe w parku, odgłosy tenisa, grę na fortepianie. Pałac żył intensywnym życiem przed wieczornym balem. Rosemary z westchnieniem uprzytomniła sobie, że na cały dzień musi przywdziać maskę, by ukryć prawdziwą swoją twarz jako nieodpowiednią na dzień dzisiejszy w tym ogólnym nastroju. Musiała przestać być Rosemary o zbolałym sercu, a stać się „drogą lady Tarkington” albo „Rosemary kochaną, drogą”, stosownie do wylewnego stylu bycia tych zacnych, arcygościnnych ludzi Wschodu.

Trzeba było zapomnieć na razie o swej trosce, zejść na dół, śmiać się, grać w tenisa, grać farsę, tragifarsę, zrodzoną w umyśle nieszczęśliwej matki, hrabiny Elzy Imrey.

\* \* \*

Dzień był piękny, słońce zdawało się dzielić radość ludzi. W przejrzystym powietrzu, ponad głowami grających przelatywały białe piłki tenisowe. Przy śniadaniu zachwycono się kunsztem kucharza Imreyów, który istotnie przeszedł samego siebie. O piątej po południu przybyli Cyganie i od tej chwili aż do północy dom i park rozbrzmiewały muzyką, orkiestra cygańska grała bezustannie, przygrywano przy witaniu nowo przybywających gości, przy obiedzie, przy zawodach sportowych, przy flirtach i przy spacerze, przy przebieraniu się — dom cały zamienił się w istną orgię tonów i melodii.

Po obiedzie przybyli młodzi oficerowie rumuńscy z garnizonu w Cluju. Wśród nich znajdowało się jedenastu uczestników rozgrywek krokietowych, zachwyconych, że na nich padł wybór reprezentowania Rumunii w historycznym meczu. Byli to przeważnie przystojni młodzieńcy, ale zachowanie ich cechowała arogancja zdobywców względem rasy podbitej. Elza była wzorową panią domu i ani na sekundę nie wypadła z tej roli. Mariusz po krótkim powitaniu zaszył się w kąt sali balowej w gronie swych najbliższych przyjaciół. Panował nad sobą w imię miłości ojcowskiej i z nakazu żony, ale wolał unikać wrogiego żywiołu, nie dowierzając własnym nerwom.

Matka i siostra Aneczki przybyły z Uljaku. Matka była kobietą wyniosłą, najwidoczniej egoistką, robiła wrażenie bardzo niesympatyczne. O niebezpieczeństwie, grożącym jej córce, zdawała się nie wiedzieć. Własne przejścia psychiczne i materialne uczyniły ją twardą, gorzką, odebrały jej wszelką kobiecość. Broniła się przeciw otaczającemu światu pogardą, którą darzyła w pierwszym rzędzie Rumunię. Rumunów nazywała dziką hordą, barbarzyńcami i cieszyła się, że mąż jej, Bela, w porę przeniósł się do wieczności, by nie widzieć tych rządów rabunkowych.

Młodzież, przebywająca w zamku tego dnia, niewiele sobie robiła z polityki. Oni chcieli się bawić. Bawili się zresztą, korzystając z każdej dostępnej formy rozrywki, czerpiąc z niej radość życia, wydawałoby się tak łatwego i beztroskiego. Nikt się tu nie domyślał, co może się wydarzyć.

Rosemary była również bardzo wesola. Tańczyła z Węgrami i Rumunami, mówiła pochlebnie o krokiecie i o zespole zawodników. Ale ona czuła napięcie, jakim atmosfera była naładowana. Zdawało jej się od czasu do

czasu, że słyszy szcęk nożyc, jakimi Atropos, bogini losu, przecina nić życia dwojga młodych i niewinnych istot.

Przed północą drużyna krokietowa wyruszyła w drogę w dwu samochodach, jadących wprost do Hódmeze. Rosemary pożegnała Rumunów jak automat, zdobywając się na wyszukaną uprzejmość i świetnie zagrane ożywienie.

Elza i Mariusz byli niezrównani. Oboje żegnali gości nie tylko mile, ale wręcz serdecznie, nawet Mariusz wysilił się i był teraz wylewny, wesół i dowcipny. Elza zaopatrzyła Rumunów w zapasy żywnościowe,

Mariusz wymógł na nich, by przyjęli cztery butelki najlepszego wina, czerwonego bordeaux, i choć się wzbraniali, zmusił ich niemal do zabrania wina ze sobą. — Będziecie potem lepiej grali w tę głupią grę — mówił wesół — a skoro już w nią gracie...

Czterech mężczyzn, stanowiących służbę drużyny, układało w samochodach butelki, paczki owoców i ciast. Rosemary знаła z widzenia obu synów Janosa, młynarza. Byli to smukli, dobrze zbudowani młodzi ludzie, ale w oczach mieli coś ofiarnego i gorącego zarazem, coś, co miewają bohaterowie, bo wszak bohaterami byli ci młodzieńcy ryzykujący swe życie dla ocalenia życia swego panicza i jego kuzynki.

Aneczka uwijała się wśród odjeżdżających jak motyl, uroczo wyglądała jej blada twarz w obłoku błękitnego tiulu, który opływał jej wątłą postać. Żegnając jednego z młodych oficerów, rzekła:

— Nieładnie to było z pańskiej strony odwoływać wczoraj przez telefon Piotra Blakeney i pozbawiać go tym samym tak miłej rozrywki.

Młody człowiek otworzył oczy szeroko:

— Czy zechce mi pani łaskawie wytłumaczyć, co pani ma na myśli...?

— O! Bardzo proste chyba — odrzekła Aneczka z głośnym śmiechem. — Byliśmy wszyscy bardzo zmartwieni odjazdem Piotra Blakeney, po którego panowie telefonowali wczoraj...

— Przepraszam panią, hrabianko — przerwał oficer. — Myśmy nie telefonowali wczoraj po pana Piotra Blakeney. Spodziewaliśmy się istotnie tutaj go zastać.

— Ale przecież on miał zarezerwować dla panów pokoje?

— Pokoje w Hódmeze zostały dla nas zarezerwowane już od dawna, wszystko jest w największym porządku...

— Aneczko kochana — przerwała Rosemary — Piotr nie powiedział nam, kto telefonował do niego. Możliwe, że to Hódmeze dzwoniło, może właściciel hotelu...

Co ją skłoniło do tej interwencji, nie rozumiała. Był to tylko instynkt, ale poczuła nakaz takiej właśnie reakcji i nawet nie zdążyła rozumować.

— To prawda — przyznała Aneczka — Piotr nie mówił, kto do niego dzwonił. No, w każdym razie, kłaniajcie mu się panowie od nas, gdy go zobaczycie jutro rano.

— Nie zobaczymy go wprawdzie przed wieczorem, ale nie omieszkam powtórzyć mu...

— Jak to, jutro wieczorem dopiero? — przerwała Aneczka.

— No, tak, przecież rozgrywki trwać będą parę dni, zaczynają się w czwartek, jutro wieczorem przyjeżdża do Hódmeze mistrz Blakeney, jutro, tj. w środę, a dziś mamy wtorek.

— Ale zaraz będzie środa rano, jak ci nie przerwę twoich wywodów, ty paplo — wtrącił ze śmiechem inny oficer.

Nastąpiła nowa seria pożegnań, życzeń dobrej podróży, powodzenia w zawodach, wreszcie samochody ruszyły. Elza wymiany zdań między Aneczką a oficerami nie zauważyła. Ale Rosemary doznała wstrząsu: świat dla niej zasunął się czarną, ołowianą chmurą. Piotr skłamał. Piotr był dwulicowy. Trzeba było czekać na rozwiązanie tej ponurej tajemnicy, która z każdą chwilą zdawała się bardziej komplikować i bardziej zaciemniać. Ale na co czekać? Dla Rosemary wszystko było skończone. Zrezygnowała ze szczęścia, ale wolno jej było ufać człowiekowi, dla którego mogła odczuwać przyjaźń zgodną z jej obowiązkiem wierności małżeńskiej, przyjaźń, której nigdy nie kryła przed mężem, dzisiaj nie mogła mu już ufać, nie mogła żywić dla niego przyjaźni. Najcenniejszy rozdział jej życia zamykał się, a końcem tego rozdziału było ohydne rozczarowanie. Gdzie był teraz Piotr, gdzie ukrył się ten kłamca? I dlaczego ta tajemniczość? Dlaczego?

Rosemary schowała się w ciemnym zakątku parku. Dlaczego Piotr kłamał, dlaczego? Ona, Rosemary, była igraszką Fatum, które sprzysięgło się na nią od jakiegoś czasu. Co z tego wyniknie? Czym to grozi ukochanym przez nią przyjaciółom?

Gdy wróciła na salę balową, towarzystwo zmalało liczebnie. Rumunów nie było. Brydż starszyny był skończony. Rodzice stali na progu i patrzyli na swoje dzieci tańczące przy dźwiękach ostatniego fokstrota.

Rosemary rozejrzała się za Elzą. Ale ani Elzy ani Mariusza nie było na sali. Filip i Anna również znikli.

O wpół do pierwszej salony recepcyjne i hol opustoszały. Rosemary pomogła Elzie, która przyszła pożegnać uprzejmie gości, w porządkowaniu

porcelany, złotego i srebrnego serwisu i razem poszły pod rękę do sypialni Elzy. Tu dopiero można było rozmawiać swobodnie.

— Pojechali — szepnęła Elza i oparła się o ścianę. Rosemary podbiegła ku niej z wyciągniętymi ramionami.

— Nie obawiaj się o mnie, droga — rzekła Elza ze słodkim uśmiechem — mnie nic nie jest.

Nagle skoczyła ku drzwiom:

— Zaczekaj na mnie chwileczkę, Rosemary, muszę zajrzeć do Mariusza.

— Przyjdź potem do mojego pokoju — zaproponowała Rosemary — tam wyciągniesz się na sofie, ja przez ten czas się przebiorę, bo spać i tak tej nocy nie mam zamiaru.

— Dobrze — zgodziła się Elza — przyjdę, skoro tylko Mariusz uśnie.

Przed drzwiami zatrzymała jeszcze przyjaciółkę.

— Jutro z samego rana będzie telefon z Hódmeze, Filip i ja mamy umówiony klucz. Jeżeli wszystko poszło po naszej myśli, powie mi, że mówi Piotr Blakeney i że pogoda na Węgrzech jest piękna. Po usłyszeniu tych słów usnę na pewno, toteż dopiero wtedy pójde do łóżka.

Rosemary poszła do swojego pokoju. Rozczesała włosy i zarzuciła szlafroczek. O położeniu się do łóżka mowy być nie mogło, i tak by oka nie zmrużyła. Wszystkie szczegóły niebezpiecznej wyprawy przesuwwały się teraz przed oczami jej wyobraźni, migotały, skakały różne obrazy rzeczywistości i fikcje, terażniejszość i wspomnienia z przeszłości, wszystko to plątało się w jej przemęczonym umyśle. Rosemary była teraz najgorszej myśli. Noc była upalna, ona mimo to drżała. Kwadrans wlokły się nieznośnie. Co pół godziny zegar kościelny odmierzał głośnym biciem upływający czas. Poza tym nic nie było słychać. Naraz rozległ się hałas motoru, gdzieś nie opodal, a potem odgłos jadącego po szosie samochodu, odgłos słabł, aż zupełnie się oddalił. Wyjechali z miasteczka!

— Wyjechali już stąd. — Głos wchodzącej Elzy powtórzył to, co Rosemary powiedziała sobie po cichu jednocześnie z odezwaniem się biednej matki. Ale ten głos macierzyński dźwięczał zupełnie spokojnie, bez śladu wzruszenia. Rosemary ujęła jej rękę. Była lodowata. Ogrzała ją w swych dłoniach.

Wyszły na balkon i usiadły tam na trzciniowej kanapce. Noc była piękna. Księżyc rzucał promienie srebrnego światła na równinę, kwiaty na klombach były jakby uśpione, ale heliotropy rozlewały swą mocną woń wokoło, była to atmosfera radości życia, nadziei, upojenia, marzeń miłosnych.

— Czy Mariusz śpi? — zapytała Rosemary.



— Owszem — odrzekła Elza. Dałam mu proszek, uspokoił się i usnął po chwili.

— Czy ty byś nie spróbowała zamknąć oczu, Elzo, i zdrzemnąć się trochę? Jest bardzo wcześnie, boję się, że będziesz bardzo przemęczona. Tyle już przeszłaś!

— Nie mówmy o moim śnie w tej chwili, kochana moja — odparła Elza spokojnie.

— Chciałabym tylko tu trochę posiedzieć z tobą, jeśli ci nie przeszkadzam.

Rosemary wykonała ręką i głową gesty protestu.

— Wiesz, Rosemary, jak tak lubię zapach kwiatów w nocy. Nie uważasz, że pachną one inaczej niż w dzień?

Po czym dodała bez żadnego wstępu:

— Byle tylko szofer drogi nie pomylił! Uległby wówczas zwłoce ich przejazd przez granicę, normalnie powinni za pół godziny przejechać granicę węgierską.

— Czy szofer nie ma tu wrócić z pierwszą wiadomością?

— Owszem, kazałam mu zajechać do Janosa, otrzyma wówczas tysiąc lei nagrody, a jeżeli zdąży przed ósmą rano — dwa tysiące.

Po godzinie trzeciej w nocy siedziały w zupełnym milczeniu, ale ani na moment się nie zdrzemnęły. Rosemary weszła do pokoju i położyła się na sofie. Oczy jej się kleiły, miała lekki zawrót głowy. Gdy się ocknęła, ujrzała światło dzienne. Pośpieszyła na balkon, Elzy już tam nie było. Przechyliwszy się przez poręcz, ujrzała ją na dole, schodziła ze stopni tarasu.

Elzo! — zawołała Rosemary stłumionym głosem — zaczekaj na mnie.

Elza przystanęła i skinęła głową. Rosemary zbiegła jak szalona po schodach, w pantoflach i szlafroku, z włosami spadającymi na ramiona. Elza cierpliwie czekała i wzięła ją pod rękę, gdy się znalazły obok siebie.

— Usnęłaś troszeczkę, kochanie, tak się cieszę!

— A ty, Elzo?

— O! Ja będę spać niebawem — odrzekła Elza w swój zwykły, spokojny sposób.

— Zapomniałam zupełnie spojrzeć na zegarek — zauważyła Rosemary.

— Było wpół do piątej, gdy opuściłam twój pokój. Poszłam do Mariusza. Śpi jeszcze.

— Bogu dzięki i za to. Obudzimy go dopiero, gdy dotrą do nas dobre wieści.

Rosemary nie mogła już dłużej panować nad drżeniem swego głosu, mówiąc te słowa. Czuła przy tym, że Elza, idąca tuż przy niej, trzęsie się cała: ale twarz była, jak zawsze, marmurowa, niemal pogodna. Gdy zbliżyły się do zroszonego trawnika, podniosła głowę do góry i z rozkoszą wchłonęła w płuca świeże powietrze letniego poranku.

— Mamy jeszcze przed sobą sporo wolnego czasu — powiedziała Elza.

Pod stopami ich skrzypiał żwir. Dwa psy, Muffi i Karo, zwabione tym hałasem, rzuciły się na ich spotkanie, kręcąc z radością ogonami.

— Chodźmy obejrzyć klomby — zaproponowała Rosemary — przekonamy się, czy pachną one równie łagodnie teraz, jak w nocy.

Poszły w kierunku wielkiego klombu.

— Kochane kwiatki — odezwała się Elza. — Tak je lubię. Są na świecie piękniejsze kwiaty i klomby niż moje, ale nie zamieniłabym się z nikim.

W tejże chwili rozległ się w oddali jakiś odgłos, przecinający ciszę poranku.

Odgłos przybliżał się i wzmacniał z każdą chwilą. Elza na przeciąg sekundy zastygła w bezruchu. W chwili, gdy hałas się rozległ, schylona była nad bratkami, pozostała w tej pozycji, zgięta niemal w pałąk. Po sekundzie wyprostowała się szybkim ruchem:

— Motor samochodu — powiedziała — idziemy.

Odgłos wzrastał się z każdą minutą, potem osłabł, aż wreszcie ucichł. Samochód musiał się zatrzymać, ale nie przed bramą parku, zamkniętą jeszcze o tej porze. Rosemary i Elza opędzały się od psów, których wybuchy radości utrudniały im przyspieszone tempo marszu.

— Leżeć, Muffi! Leżeć, Karo! — powtarzała machinalnie Elza. Tchu jej brakło. Rosemary, nie oglądając się na nią, pobiegła po nocnego dozorcę, Feriego, by otworzył bramę. Usłyszał on oprócz szczekania psów także głos hrabiny, stanął więc na progu, zdziwiony, że obie panie wyszły na przechadzkę o tak ранней porze.

— Prędko, Feri! Otwierać bramę! — zawołała Rosemary. Szukanie kluczy przez Feriego trwało wiecznie.

Od strony miasteczka rozległ się nagle przeraźliwy krzyk, a po chwili odgłos strzałów i biegnących kroków ludzkich.

— Biegnij naprzód Feri, — rozkazała Rosemary — zobaczysz, co się stało, prędko!

Ujęła mocno dłoń Elzy i wpół ją objęła drugim ramieniem. Ale Elza zaczęła biec również i podążała prawie tuż za Ferim. Za aleją akacji widoczna była ulica miasteczka. Na końcu tej ulicy, przed oberżą, której

właścicielem był Żyd, stał samochód, otoczony gromadką gestykulujących żywo miejscowych chłopów. Ze wszystkich stron zbiegli się już ludzie, by zobaczyć, co się stało. Zatrzymali się, onieśmieleni, na widok hrabiny i wytwornej cudzoziemki. Hrabina w miasteczku o tej porze! To się jeszcze nigdy nie zdarzyło! Mężczyźni zdjęli kapelusze i czapki, kobiety dygały niezgrabnie, dzieci stały jak zahipnotyzowane. Ale Elza wyrwała się z kręgu dzieciaków, nie miała dziś dla nich uśmiechu ni spojrzenia. Feri, podbiegłszy pod samą oberżę, rozpychał ludzi, torując paniom drogę. Ale jak tylko podszedł do samochodu, zawrócił nagle i cofnął się do Elzy:

— Niech łaskawa pani hrabina tam nie podchodzi. Nie trzeba, pani hrabino! To nic... nic... wypadek... — ręce mu drżały, szczekał zębami. Elza usunęła go na bok bez słowa, ale Rosemary znów ją chwyciła za rękę. Znów ją objęła ramieniem i przytrzymała tak silnie, że Elza nie mogła się uwolnić z tego uścisku.

W następnej chwili stały obie przed samochodem. Był to duży, zniszczony wóz, pomalowany na szaro i wyłożony wewnątrz skórzanymi poduszkami. Na tylnym siedzeniu nie było nikogo, ale właściciel oberży wdrapywał się właśnie na miejsce obok szofera. Ten zaś siedział bez ruchu, jak uśpiony. Oberżysta zdjął mu czapkę z głowy, zajrzał w twarz i momentalnie przyłożył rękę do ust, by sprawdzić oddech. Czapka wypadła mu z lewej ręki, a szofer potrącony przechylił się w bok, prawe ramię poruszyło się kilkakrotnie ruchem wahadłowym. Mężczyzna, stojący najbliżej, nie wiedząc prawdopodobnie o obecności dostojnych pań, wykrzyknął z przerażeniem:

— Boże wielki! Ten człowiek nie żyje! Zastrzelony!

\* \* \*

Rzadko się spotyka taką siłę woli, jaka cechowała Elzę Imrey. Nawet Rosemary z trudnością zapanowała nad sobą. Oberżysta zeskoczył z samochodu, jak wyrzucony jakąś mocą piekielną. Chłopi gestykulowali i szeptali z wyrazem panicznego lęku. Elza była biała jak płótno, wargi jej straciły wszelką barwę, nawet wielkie oczy zdawały się być wyblakłe w tej chwili. Ręka jej, którą Rosemary trzymała w swych dłoniach, była zimna, jak sopel lodu i drżała. Ale dla chłopów i służby była to ta sama spokojna pani hrabina z pałacu, nie tracąca ani na moment przytomności umysłu. Głos jej nie drżał, gdy zapytała tonem rzeczowym, niczym sędzia śledczy:

— Który z was najpierw zauważył samochód?

— Ja posłyszałem hałas motoru, łaskawa pani hrabino — wyrwał się Żyd — gdy wóz już stawał przed drzwiami i...

— A ja widziałem żołnierza, jak zeskakiwał z wozu — przerwał młody rolnik, silnie podnieconym głosem — pobiegł...

— Zaraz — rzekła Elza zimno. — Niech każdy mówi po kolei. Wejdziemy do oberży i posłucham was. Idziesz ze mną, maleńka? — zwróciła się do Rosemary.

Potem do swego służącego Feriego:

— Idź natychmiast do żandarmerii. — Oni powinni byli już dawno zostać zawiadomieni.

Weszły do oberży. Za nimi weszli Żyd oraz kilku chłopów. Rosemary obejrzała się raz jeszcze na trupa, siedzącego za kierownicą. Zwróciła ona uwagę na jego dłoń kurczowo zaciśniętą, zdawało jej się, że wygląda z tej pięści jakiś zwitek. Niepostrzeżenie zawróciła i przewyciężając nieodparty wstręt, dotknęła tej pięści, pociągnęła za wystający papier, palce trupa otworzyły się i kartka, którą trzymał, upadła na ziemię. Rosemary schyliła się szybko i podniosła ją. Był to list, zaadresowany do lady Tarkington. Rozerwała kopertę i przeczytała:

Bardzo niedorzeczny pomysł, droga lady. Jak pani widzi, nie dał on pomyślnych wyników. Pani oboje protegowani znajdują się obecnie pod moją bezpośrednią pieczę, zostało pani zaledwie dwa tygodnie czasu do napisania w ich interesie artykułów, które są mi potrzebne.

Podpis: Naniescu. Rosemary wsunęła list do kieszeni sukni i weszła z powrotem do oberży. Izba cuchnęła brudem, widocznym również w każdym kącie. Obecność chłopów przyczyniła się również do tego, że zaduch był w izbie straszny. Ale Elzie, siedzącej przy stole, były te zapachy, to niezwykle, a niepożądane sąsiedztwo chłopów, zupełnie obojętne. Przesłuchiwała teraz młodego rolnika, jedyne go człowieka, który widział wjazd samochodu do miasteczka. Był on najwidoczniej przejęty doniosłością swej roli.

— Zobaczyłem go, łaskawa pani hrabino, gdy wjeżdżał i tu zakręcał.

— A kto prowadził samochód? — spytała Elza.

— Prowadził jakiś żołnierz.

— A był jeszcze inny pasażer?

— Owszem, łaskawa pani hrabino, był jakiś kłębek łachmanów czy odzieży, na tylnym siedzeniu, ale trudno mi było zrazu osądzić, czy to był człowiek.

— Dobrze, co dalej?

— Samochód jechał powoli, łaskawa pani hrabino, aż zakręcił na rogu i stanął tu przed drzwiami. Wówczas żołnierz zeskoczył, nachylił się nad owym kłębkim łachmanów i wyciągnął go z wozu.

— Tak, co dalej?

— Wziął zatem ów kłębek i rzucił na siedzenie. Potem zaś uciekł, jak mógł najprędzej.

— W jakim kierunku?

— W tym kierunku, skąd przyjechał, łaskawa pani hrabino. W pobliżu czekał na niego inny samochód, o pół kilometra stąd mniej więcej.

— Inny samochód?

— Tak jest, nie wiem, kiedy tam zajechał, ale słyszałem, jak odjeżdżał powoli. Żołnierz wskoczył do tego samochodu już w biegu, na co sam patrzyłem, po czym odjechali w kierunku Cluju.

Drugi mężczyzna spośród obecnych odezwał się, potwierdzając zeznania młodego rolnika.

Przez ten czas zjawilo się dwóch żandarmów. Zadawali oni z kolei zwykle, schematyczne pytania. Z początku nie zwracali uwagi na Elzę ani na Rosemary, wreszcie jeden z nich zwrócił się do Elzy:

— Widziała pani ten samochód, gdy nadjeżdżał?

— Nie! — odrzekła.

— W takim razie co pani tutaj robi? — zapytał szorstko żandarm. Elza zarumieniła się lekko, ale odpowiedziała uprzejmie:

— Mielismy nadzieję w pałacu, że to samochód, który zawiózł dwóch synów młynarza do Hódmeze i wraca z wiadomością, że przybyli oni zdrowi i cali na miejsce przeznaczenia.

Mężczyzna zaśmiał się ordynarnym śmiechem.

— Ależ panią obchodzą ci synowie młynarza! — rzekł ironicznie. — O tej godzinie trzyma panią poza łóżkiem troska o ich losy!

Zwrócił się do chłopów:

— Możecie iść wszyscy do domu — powiedział grzeczniej. — Rząd zajmie się tą sprawą, poza tym nie obchodzi ona nikogo. Zrozumiano?

Dwaj żandarmi wypchnęli obecnych chłopów za drzwi jak stado baranów. Chłopi wycofywali się posłusznie bez szemrania. Ten i ów wzruszył lekko ramionami, jakby chciał powiedzieć: — No, no, co za dziwne czasy, ale to fakt, że nas ta historia nic nie obchodzi.

Żandarmi wyszli z oberży i przystąpili do oglądania samochodu. Po czym w milczeniu wsiedli, jeden z nich zajął miejsce szofera i wóz potoczył się szybko w kierunku żandarmerii.

Gdy już cała gromada ludzi się rozpierzchła, Elza wstała, blada, z błędnymi oczami i zwróciła się do Rosemary.

— Nie mamy tu już co robić — rzekła. — Pójdziemy chyba do domu?

Skinęła głową Żydowi i opierając się ciężko na ramieniu Rosemary, wyszła na ulicę. Było już wpół do siódmej, miasteczko skąpane było w potokach światła. Zmęczone, obolałe oczy Elzy zmrużyły się pod wpływem nagłego kontaktu z pełnym światłem. Rosemary chciała otoczyć ją ramieniem, bo czuła, że biedna kobieta bliska jest omdlenia. Elza odrzuciła tę pomoc łagodnie, lecz stanowczo. Duma nie pozwalała jej okazać słabości nawet w tym najstraszniejszym momencie jej życia. Obawiała się, że mogą ją dostrzec oczy chłopów rumuńskich.

— Oni są wstrętni — mówiła z wolna do swych myśli raczej niż do Rosemary. — Tytułują mnie tak, jak chłopci węgierscy, łaskawą hrabiną i całują mnie w rękę, ale w duszy nienawidzą nas i nasze upokorzenie jest dla nich tryumfem.

Dziwny, godny podziwu naród! W takiej chwili ta kobieta myślała o dumie narodowej. Elza przeszła przez miasteczko krokiem pewnym i wolnym, z podniesioną głową. Dopiero przekroczywszy bramę parku, zwiesiła głowę na piersi i pierwszą jej myślą był Mariusz.

— Jak ja mu przyniosę te hiobowe wieści? — wyszeptała zdławionym głosem. — Boże mój, jak mu to powiedzieć?

W holu, upewniwszy się, że są zupełnie same, Rosemary zarzuciła jej rękę na szyję i zmusiła ją, by siadła na kanapie.

— Elzo, kochanie, wypłacz się, proszę cię! — szepnęła. — To ci dobrze zrobi.

Elza potrząsnęła głową.

— To nie wróci nam Filipa i Anny — rzekła ponuro. Zajrzała teraz badawczo w oczy Rosemary. Wiedziona intuicją, zgadywała, że przyjaciółka może pomóc, że może coś uczynić, coś zdziałać dla dobra Filipa właśnie teraz. Rosemary zrozumiała to nieme błaganie i poprzez łzy potrząsnęła przecząco głową. Wówczas Elza ukryła twarz na poduszkach kanapy, konwulsyjne łkania wstrząsnęły jej ciałem. Chwilami wyrywał się z jej ust cichy, przewlekły jęk. Może to i lepiej, myślała Rosemary. Ten spokój, ten stoicyzm ostatnich godzin był czymś nienaturalnym. Wytrzymałość ludzka ma granice, a Elza stanęła właśnie u jej kresu.

Gdy najostrzejszy atak minął, Rosemary zapytała:

— Elzo droga, czy godzisz się, bym ja zaniósła tę wiadomość Mariuszowi? Uczynię to bardzo oględnie, przygotuję go na złe wieści, obawiam się, że dla ciebie będzie to za ciężkie przeżycie.

Ale w tejże chwili Elza już stała wyprostowana.

— Nie, nie, kochana moja — odparła, szlochając jeszcze, ale już z suchymi oczami. — Pod żadnym pozorem. — Ja znam Mariusza.

Wiem, jak przemówić do niego. Biedny, biedny Mariusz! On tak nie umie panować nad sobą! Aleja potrafię z nim mówić. Idź teraz do siebie, moja droga, weź kąpiel i przebierz się, to cię odświeży. I ja to zrobię, zanim pomówię z Mariuszem. Róża za pół godziny przyniesie ci pierwsze śniadanie. Zdążysz?

O niczym nie zapominała, myślała o kąpieli Rosemary, o jej śniadaniu, o rozkładzie dnia. Rosemary zapomniała zupełnie o tym wszystkim. Ale niebawem goście balowi zaczną wstawać, dochodziła siódma. Wszyscy oni będą czekali na kąpiel i śniadanie, bo przecież Elza o wszystkim pamięta. Bogu dzięki, że ma tyle do pamiętania!

— Idź na górę, Rosemary — prosiła — o mnie się nie troszcz. Jedna ze służących przeszła przez hol, zajęta swą robotą. Elza zatrzymała ją, wydała jakiś rozkaz, kazała zawołać sobie inną służącą.

— Powiedz kucharzowi — rzekła do Antoniego, który właśnie się zjawił — by przyszedł zaraz do mnie po dyspozycje. A do pana hrabiego nie wchodzi, póki ci nie każe.

Rosemary zaczęła jeszcze z minutę w holu aż nadszedł kucharz. Elza zatopiła się natychmiast w rozważaniach, co dać na drugie śniadanie, co ma być na deser. Rosemary sama nie wiedziała, kiedy i jak znalazła się w swoim miłym, staroświeckim pokoju. Jak tu było ładnie i jak spokojnie! Przez otwarte okno słyhać było śpiew ptaka. Kos gwizdał gdzieś nie opodal, tysiące wróbli świergotało, a nad sztucznym stawem, na wprost głównego wejścia siedziała wrona i nawoływała swe potomstwo. Jak tu było spokojnie, jaka cisza tu panowała! Rosemary wchłaniała ją w siebie, stojąc w otwartym oknie i rozkoszując się tym spokojem po tylu wrazeniach i dramatycznych przeżyciach. Aż nagle z płaczem padła na kolana, wyciągnęła ramiona ku obłokom, ku Wszechmocnemu i zaczęła się modlić żarliwie z całego serca, wołając z rozpaczą:

— Boże! Mój Boże! Oświeć mnie, co mam czynić!

\* \* \*

Ach, gdyby Rosemary była jasnowidząca!

Zobaczyłaby w tym momencie, kiedy błagała Wszechmocnego o pocieszenie jej w tej udręce, generała Naniescu i jego przyjaciela, pana de Kervoisin, popijających z apetytem kawę i chrupiących bułeczki z masłem w pałacowych komnatach domu Imreyów w Cluju. Pan de Kervoisin przybył do Cluju poprzedniej nocy. Był gościem generała i teraz korzystał z

towarzystwa przyjaciela i z komfortu tego pięknego apartamentu, oddanego przez rząd rumuński do dyspozycji gubernatora wojskowego Transylwanii.

Pan de Kervoisin nie przejął się troskami służbowymi swego przyjaciela. Albowiem filozofią jego życia było: nie przejmować się kłopotami swych przyjaciół. Przybył on tutaj, by radzić, a rola doradcy była trudna, ale zaszczytna, w sytuacji wymagającej wielkiego taktu i absolutnej dyskrecji. Słuchał teraz uważnie wywodów Naniescu oraz jego smętnych zwierzeń na temat owej pani, która żadną miarą nie chciała zrobić tego, o co ją prosił, a była znaną i wpływową publicystką.

— Prosiłem ją tylko — zwierzał się generał — o napisanie paru artykułów do „Timesa”, które by naprawiły naszą reputację w oczach Anglii i Ameryki, ale wiesz, co to jest kobieta. Nie widzi nigdy dalej jak koniec swego nosa. A ta jest uparta jak muł. Nie mogę przełamać tego uporu.

Skończył śniadanie i słowom jego towarzyszyły teraz patetyczne gesty rąk i palców, w których trzymał hawańskie cygaro.

Kervoisin uśmiechnął się. — A pan potrzebuje koniecznie tych artykułów? — zapytał. — Koniecznie?

— Koniecznie — odrzekł Naniescu. — Rząd mój wzbudził podejrzenia zagranicy. Z kolei tu traktują mnie z wielką podejrzliwością, sądząc, iż zaniedbuję się w akcji kontrpropagandowej i w pracy w ogóle. Powiedzieli mi ostatnio, że moją rzeczą jest ukrócić wszelkie rozruchy w Transylwanii i pogodzić nas z Europą i Ameryką, które z powodu tej prowincji krzywo na nas patrzą. Jak zaś to zrobię, to już moja rzecz, powiedzieli mi w Bukareszcie. Rozumie pan, czym mi grozi niewywiązanie się z tego polecenia w najkrótszym czasie. Mogę zostać odwołany. Pogorszyła się znacznie moja sytuacja osobista na skutek artykułów tego głupca, Imreya, artykułów bardzo gorących, zaiste, które udało mu się przeszwarcować do Anglii!

— Wiem to wszystko, ale zawsze myślałem, że pan zbyt dużą wagę j przywiązuje do tych kwestii prasowych. Mon Dieu! Konfiskaty, rewizje, : aresztowania, a nawet egzekucje są nieodłącznymi konsekwencjami wszelkiej okupacji — i pan de Kervoisin starannie pokrył swą bułeczkę z masłem cienką warstwą miodu, po czym nalał sobie drugą filiżankę kawy. — Wie pan — ciągnął dalej, wzruszając ramionami — publiczność angielska i amerykańska jest w gruncie rzeczy bardzo obojętna na to, co się tu dzieje. Cluj jest tak daleko od Londynu i Nowego Yorku! Dla formy zaprotestuje ten i ów w parlamencie, prasa udaje oburzoną bezpośrednio po otrzymaniu tych wiadomości, przeciw którym państwa chrześcijańskie



muszą protestować dla zasady, ale mimo wszystko jesteście ich aliantami, nie można was zbyt otwarcie i zbyt długo poddawać krytyce. Daje się więc odprawę niewygodnym interpelacjom w parlamencie: et voila!

— Wiem to wszystko — odrzekł Naniescu z odcieniem zniecierpliwienia — ale, niestety, rząd mój nie zapatruje się na tę sprawę tak jak pan. Próżność mego rządu cierpi na tym atakowaniu nas przez prasę angielską, a na kim wyładowują swą ziość ci panowie z Bukaresztu? Na mnie!

Pan de Kervoisin milczał chwilę, potem powiedział uprzejmie:

— Zdaje mi się, że teraz zrozumiałem.

— No tak, chodzi ni mniej, ni więcej — o moją ewentualną dymisję. Pan de Kervoisin uśmiechnął się.

— A pan nie chce się podać do dymisji?

— Naturalnie, że nie. Pięć tysięcy funtów szterlingów rocznie jest w tym kraju nędzy istną fortuną, a do tego dochodzą rewizje i konfiskaty.

Pan de Kervoisin skończył śniadanie. Odsunął filiżankę i talerzyk, oparł się o stół i przyjrzał się swemu nazbyt szczeremu przyjacielowi z sarkastycznym uśmiechem.

— Chodzi zatem głównie o wydostanie artykułów od pięknej Uno? — spytał.

— Tak: i prędzej czy później będę je miał, — odparł Naniescu — ale w tym rzecz, by je mieć prędzej, a nie później.

— A jeżeli ich pan mieć nie będzie?

— O! Z pomocą mego przyjaciela...

— Sz... — przerwał pan de Kervoisin. — Nie wymieniałbym jego nazwiska nigdzie, nawet tutaj.

— Tu jesteśmy u siebie i zupełnie bezpieczni.

— Ściany mają uszy, drogi przyjacielu, — odrzekł Francuz — nawet w kraju idealnie administrowanym przez generała Naniescu. A praca naszego przyjaciela byłaby udaremniona, gdyby ktoś ustalił jego tożsamość. Przedstawiłem go panu jako Nr 10. Nazywajmy go tak w dalszym ciągu.

— Sądzę, że jemu można wierzyć — mruknął Naniescu. — Pan mi zaręczył, że on jest człowiekiem pewnym. Ale czy można wierzyć Anglikowi?

— Temu może pan zaufać — rzekł krótko Kervoisin. — Jest to najlepszy nasz szpieg z czasu wojny.

— Tak! Podczas wojny, to było co innego! Ten człowiek mógł myśleć, że służy wspólnej sprawie, między innymi angielskiej również. Ale teraz! Ale

tutaj! Doprawdy ja nie rozumiem jego pobudek. Jest bogaty, dobrze urodzony, a naraża się dla nas, którzy jesteśmy dla niego niczym.

— On nie naraża się dla was, niech się pan o niego nie troszczy, drogi przyjacielu — odrzekł Kervoisin z szyderycznym uśmiechem. — Po pierwsze, może on mieć powody nienawidzenia Węgrów, powody nam nieznane, po drugie, Rumunia jest jednym z aliantów, tak że akcja jego jest skierowana przeciw eks-wrogom. Ale ja myślę, że on działa z całkiem innych pobudek niż chęć służenia wam.

— Z jakich, mianowicie?

— Po pierwsze, potrzebne mu są pieniądze. Nie jest on bogaty, jak się panu wydaje, a ma upodobania kosztowne. Ale to nie wystarcza. Znam Anglików lepiej niż pan, drogi generale, i mogę pana upewnić, że dla Anglika szpiegostwo jest rodzajem sportu. Mężczyźni, a nawet kobiety w Anglii przebaczyliby z łatwością agentowi jego działalność, gdyby o niej wiedzieli, bo u tych ludzi sport, chęć przygód górują nad wszystkim. Gra jest jedyną ważną pobudką działania Anglika.

Naniescu siedział zamyślony. — Może pan ma rację — powiedział wreszcie. Nie bawiąc się w analizowanie tego, zadowolił się wykładem Kervoisina. Zresztą bez względu na jego pobudki, ten szpieg był bardzo użyteczny, a w sprawie Imreyów i owej upartej publicystki podsunął parę genialnych pomysłów.

— Jakoś nie przychodzi nasz przyjaciel — rzekł po chwili milczenia Kervoisin.

— Przyjdzie na pewno — odpowiedział Naniescu. — Ale z Kis-Imre do Cluju są dwie godziny drogi końmi. Przepraszę pana na dwie minuty i zejdę na dół, pan pozwoli, dowiem się, czy w biurze nie mają wiadomości telefonicznej od naszego agenta. Kazałem mu telefonować o której tu będzie.

W biurze nic nie wiadano. Naniescu szalał ze złości, wymyślał swym podwładnym, groził Bóg wie czym, jakkolwiek nie byli oni, rzecz jasna, winni tej zwłóce, — gdy wtem zobaczył przez okno mężczyznę, ubranego po wojskowemu, obdartego, w zabrudzonej czapce, kierującego się ku głównemu wejściu. Naniescu rzucił się do drzwi. Spotkali się tuż przy bramie domu i powitali się serdecznie.

— Wszystko w porządku? — zapytał szybko generał.

— Oczywiście, w porządku — odrzekł mężczyzna krótko.

— Kervoisin jest na górze — mówił dalej Naniescu. — Niech pan idzie za mną, opowie nam pan, jak to było.

Biegł po dwa stopnie, mężczyzna w mundurze szedł za nim nieco wolniej.

— Jest nasz agent! — oznajmił radośnie Naniescu, wprowadzając mężczyznę do pokoju, gdzie Kervoisin czekał cierpliwie, paląc papierosy. Kervoisin wstał natychmiast z wyciągniętą dłonią, ale na widok mężczyzny cofnął się i wykrzyknął:

— Dobry Boże! Nigdy bym pana nie poznał!

— Nie wyglądam zbyt interesująco, prawda? — odparł mężczyzna. Uścisnął mocno podaną mu przyjaźnie rękę Kervoisina, po czym rzucił się na fotel z oznakami wyczerpania.

— Filiżankę kawy? — pytał uprzejmie Naniescu.

— Dziękuję! — odpowiedział.

Napił się kawy, przyjął papierosa od Kervoisina. Wyglądał jak włóczęga, był ucharakteryzowany starannie, przybrudzony umyślnie, ręce miał w smarze samochodowym, włosy spadały mu na oczy. Mundur, który nosił, był cały potargany.

— Agencie Nr 10 — rzekł Kervoisin tonem głębokiego uznania — jest pan artystą. Widziałem naszego przyjaciela już nieraz, ale zawsze w przebraniu, nigdy dwa razy w tym samym i zawsze zmienionego nie do poznania.

— Pan mi pochlebia — powiedział Nr 10 z ledwo dostrzegalnym szyderstwem.

— Ale obawiam się, że jest pan bardzo zmęczony — odezwał się uprzejmie Kervoisin. Powiedziałem generałowi, że tej nocy mógł być wydelegować jednego ze swych podwładnych zamiast pana.

— Lubię sam wykończyć to, co zacząłem — uciął krótko agent. Naniescu podniósł ręce ku górze i wykrzyknął: — Ci Anglicy są niezrównani!

— Zatem praca pana jest skończona? — zapytał Kervoisin.

— Tak jest — odpowiedział Nr 10. — Dogoniliśmy ich pięć kilometrów za Clujem. Patrol wezwał szofera do zatrzymania wozu, ale ten człowiek musiał otrzymać odpowiednie rozkazy, wyminął nas zrećznie i byłby uciekł, wobec czego, nie tracąc czasu, zastrzeliłem go.

— Ach, ci Anglicy! Zdumiewający! — wykrzyknął z zachwytem Naniescu.

Kervoisin wyraził tylko swe zdziwienie lekkim podniesieniem brwi.

— Pan sam go zastrzelił? — spytał zwięźle.

— Tak jest — odpowiedział tamten — patrol był po drugiej stronie szosy, ale zgadłem momentalnie, na co się zanosi, tak że zatrzymałem mego konia o 2 kilometry dalej, niż stanęli moi ludzie.

— Czyli że zabił pan szofera? — zapytał uprzejmie Naniescu.

— Oczywiście, nie było wskazówek, by chybić, przypuszczam? Naniescu uśmiechnął się tylko i westchnął: — O! Ci Anglicy! Zobaczcie to!

— Na przodzie samochodu siedziało dwu ludzi — ciągnął dalej Nr 10 zimno i obojętnie — byli spici do nieprzytomności. Filip Imrey i dziewczyna siedzieli w głębi. Oddałem mojego konia patrolowi pod opiekę i poprowadziłem samochód. Byliśmy w Cluju zaraz po godzinie drugiej w nocy. Oddałem wówczas trzech mężczyzn i dziewczynę w ręce szefa żandarmerii i...

— Tak, tak — przerwał Naniescu — dałem już wszelkie instrukcje i zostały one natychmiast wykonane. Filip Imrey i Anna Heves są w więzieniu w oddzielnych celach, a tych dwóch pijanych baranów odesłano koleją do Hódmeze. Do chwili ruszenia pociągu nie zdawali się orientować, co się dzieje, tak że nie było celu zatrzymywać ich tutaj.

— Najmniejszego — przyznał zimno Nr 10 — byli spici jak barany, według pana trafego określenia. Drugi patrol zajął się aresztowaniem dwóch synów młynarza. Czy zdążył, nie wiem. Nie mogłem być wszędzie naraz, a przy tym ta sprawa mniej obchodzi mnie osobiście. Może udało im się przekroczyć granicę. To już pańska rzecz.

— Naturalnie, naturalnie — dodał skwapliwie Naniescu. Kervoisin zapytał niecierpliwie:

— Co się stało z samochodem i z zabitym szoferem?

— Zajechałem owym wozem do Kis-Imre — odrzekł bez wahania Nr 10.

— Najlepszy sposób poinformowania mieszkańców o tym, co zaszło. Generał był również tego zdania.

— Czy to była pańska genialna myśl?

— Moja — odpowiedział lakonicznie szpieg.

I nagle poprzez charakteryzację ukazał się na jego twarzy wyraz dzikiego okrucieństwa. Wyraz ten zrodził się w jego oczach na wspomnienie kartki, którą wsunął w rękę zmarłego szofera, aby wstrząsnąć psychiką upartej kobiety. Oczy jego były niemal niewidzialne pod gęstymi brwiami, jakie sobie przypawił, ale ręce zamykały się i otwierały na przemian, jak szpony drapieżnego ptaka.

Nr 10 wyglądał okropnie. Kervoisin doznał bardzo niemiłego uczucia, patrząc na niego. Naniescu na szczęście patrzył w inną stronę.

— Jak pan się dostał z powrotem? — zapytał po chwili Kervoisin.

— Generał oddał mi do dyspozycji inny samochód z szoferem wojskowym. Czekał na mnie stosownie do mego polecenia o pół kilometra za Kis-Imre.

— Nikt pana nie zatrzymał?

— Nikt.

— Chyba pan zdążył do Kis-Imre, zanim ktokolwiek był na nogach?

— Niezupełnie. Panie z pałacu były na nogach.

— I widziały pana?

— Nie. Dopadłem mego samochodu i siedziałem już w nim, gdy ujrzałem je wychodzące z bram pałacu.

— Nie byłoby panu miło, sądzę, gdyby pana zobaczyły — zaśmiał się Naniescu.

— Nie poznałyby mnie — odparł Nr 10 z całym spokojem.

— Hm, hm — mruknął generał — bywają oczy bardzo spostrzegawcze.

— Nikt mnie nie widział, prócz jakiegoś barana z miasteczka, więc na co to przypuszczenie — przeciął sucho Nr 10.

Wrażliwy generał Naniescu nie obraził się na tego człowieka, będącego wszak na jego żołdzie. Westchnął tylko znowu z umyślnym patosem:

— Ci kochani Anglicy!

Kervoisin zwrócił się bardzo grzecznie do agenta. — Jakie są pańskie dalsze plany?

— Przede wszystkim wydostanie owych artykułów od pięknej Uno — odpowiedział spieszenie za szpiega Naniescu. — To najważniejszy punkt naszego programu.

— Nie zapomnę o tym — odrzekł mężczyzna zimno — zważywszy, że mam otrzymać za nie 10 tysięcy funtów szterlingów. Przypuszczam, że według pańskiej oceny są one tyle warte? — zwrócił się ze zwykłą ironią do Naniescu.

— Ja sądzę — odrzekł generał powoli, cedząc każde słowo — że gdy się rozniesie wieść o powtórnym aresztowaniu Anny Heves i Filipa Imrey, to powstrzyma resztę młodzieży węgierskiej od podobnie niebezpiecznych igraszek. Ale te artykuły mogą się przydać, tytułem przeciwwagi, memu rządowi i mnie i w takim razie mogą być tyle warte...

— Tym lepiej — mruknął Nr 10 — nie brałbym się przecież za darmo do waszej brudnej roboty, rozumie pan chyba?

Naniescu znów wybuchnął śmiechem:

— Ci Anglicy są niezrównani! — powtórzył. Kervoisin uśmiechał się jak bezstronny świadek, którego rozmowa nie dotyczy osobiście w żadnym razie.

— Kiedy pan chciałby mieć owe artykuły? — zapytał rzeczowo Nr 10.

— Powiedzmy za tydzień?

— Dobrze, będzie je pan miał.

Nr 10 wstał, kiwnął głową Kervoisinowi, który odpowiedział uprzejmie:

— Do zobaczenia wkrótce, przyjacielu! Naniescu też wstał i poszedł za nim.

— Odprowadzę pana na wszelki wypadek — dodał szybko. Na schodach generał zapytał uprzejmie:

— Mam nadzieję, że pan zje śniadanie z panem de Kervoisin i ze mną?

— Nie, dziękuję — odmówił tamten.

— Ale jedzie pan do Hódmeze, czy może do Kis-Imre? — Nr 10 odpowiedział w swój lakoniczny sposób:

— To moja rzecz.

Kervoisin, który słyszał przez drzwi tę wymianę zdań, uśmiechnął się. Ale spoważniał szybko, bo przypomniał sobie okrutny, niesamowity wyraz oczu tego człowieka, który przez moment napełnił go zgrozą. Tego wyrazu nie miewa sportowiec. Co zatem nim kierowało?

Dlaczego brał się do tej „brudnej roboty?” Z nienawiści? Z miłości? Może. — Z namiętności? Na pewno.

— Ciekaw jestem! — mruknął pan de Kervoisin.

A że był nie tylko filozofem, ale i Francuzem, więc to psychologiczne zagadnienie zainteresowało go bardzo.

\* \* \*

Ale Rosemary nie była jasnowidząca i nie widziała tej sceny, jaka się rozegrała w Cluju. Była ona w takiej rozterce, pogrążona w rozpacz, że chwilami graniczyło to z nieprzytomnością. Przebrała się, wyciągnęła się na łóżku, ponieważ była śmiertelnie zmęczona i pragnęła przestać cierpieć choć na chwilę. Zawładnął ją egoizm. Nie była zdolna myśleć o nieszczęściu swych przyjaciół, a użalała się nad sobą: dlaczego wpadła w taką pułapkę, w takie położenie bez wyjścia?

Rosemary leżała na łóżku na wpół przytomna, dzięki temu mniej cierpiała: była jakby uśpiona narkozą, wydarzenia dochodziły do jej świadomości jak przez mgłę i nie wywoływały normalnej reakcji, która była chwilowo osłabiona.

Zapukano do drzwi: Róża weszła ze śniadaniem. Trzeba było się podnieść, wziąć kąpiel, przebrać się i zejść na dół do Elzy, o ile ona tu nie przyjdzie wcześniej. Rosemary podniosła się z miejsca. Róża ustawiła filiżanki na stoliku, twarz jej miała codzienny wyraz tępej obojętności. Ale nagle dziewczyna przysunęła się do Rosemary i błagalnie szepnęła:

— Przepraszam łaskawą panią, ale prawda, że hrabia Filip i hrabianka Anna są już na Węgrzech, bezpieczni?

Rosemary skinęła głową:

— Miejmy nadzieję — odrzekła.

Gdy zeszła na dół, pierwszą osobą spotkaną w holu był Antoni. Biegł on, jak szalony, w kierunku telefonu.

— Co się stało, Antoni? — zawołała Rosemary.

— Pan hrabia zachorował — odrzekł zdyszany służący. — Telefonuję do Cluju do doktora.

— Co jest hrabiemu, nie wie Antoni?

— Nie, łaskawa pani, pani hrabina nic mi nie powiedziała, ale zdaje się, że to serce. Pan hrabia zemdlął i... — Antoni nie dokończył, bo telefonistka się odezwała. Rosemary cała obolała poszła do ogrodu. Goście już się porozjeżdżali pół godziny temu. Smutna wieść rozniosła się piorunem po wszystkich pokojach pałacu. Przyjaciele Imreyów, bezradni, opuścili pałac pośpiesznie, by swą obecnością nie przysparzać kłopotu pani domu, nie ranić serc nieszczęsnych rodziców widokiem rodzin pogodnych, nie dotkniętych żadnym nieszczęściem. Ogród był więc pusty. Co za kontrast z wesołym dniem wczorajszym!

Mariusz chory! Wszystko zatem sprzysięgło się przeciw tej nieszczęsnej kobiecie. A Rosemary pomoc jej nie mogła, obie mogły tylko czekać i modlić się o zmiłowanie do Najwyższego. A jednak Rosemary miała wybór między biernością a czynem. Ale głos rozsądku nakazywał jej milczenie, a wtedy padłyby ofiary dla ocalenia większości. Tak, ale zgodnie z głosem serca winna ocalić tych, których kochała i którzy jej okazali tyle uczucia.

Po południu dopiero przyjechał lekarz. Gdy odjeżdżał, Elza zeszła z nim razem do holu. Rosemary przeraziła się jej widokiem po tych kilku godzinach nieobecności. Była to staruszka, włosy jej zmatowiały, oczy wyblakły, policzki i skronie zapadły, piękna postać pochyliła się ku ziemi.

Zaraz po odjeździe doktora Elza zbliżyła się do Rosemary.

— Biedny Mariusz — westchnęła. — Słyszałaś?

— Co mu jest? — zapytała Rosemary. Elza zawahała się chwilę, po czym odpowiedziała:

— Był to atak... Miewał podobne już dawniej, a teraz przy takim wstrząsie!... Lekarz powiedział, że musimy ogromnie na niego uważać. Trzeba mu oszczędzać wzruszeń.

— Czy lekarz wie?...

— Owszem, wie i wręcz mówi, że to jest przyczyną ataku.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa?... — nalegała Rosemary.

— Doktor twierdzi, że nie ma żadnego. Ale czy to wiadomo?... A jeżeli... jeżeliby... zdarzyło się to najgorsze... z Filipem... sędzę, że Mariusz tego... nie... przeżyje.

Rosemary wyprowadziła Elzę powoli do saloniku. Elza padła na poduszki sofy, Rosemary uklękła przed nią na dywanie i otoczyła ramieniem postać wątłej, znękanej kobiety.

— Droga moja — wyszeptwała — czy mogę coś uczynić dla ciebie?

— Nie, maleńka, nic nie możesz. Jesteśmy niczym. Możemy wszyscy to samo: cierpieć. Przypuszczam, że Panu Bogu potrzebni są ludzie, którzy cierpią i ludzie, którzy są szczęśliwi. To się nam wydaje dziwne i niesprawiedliwe, ale nie ma na to rady. Trzeba znosić swój los i czekać. — Elza mówiła głosem monotonnym, lekko ochryłym, bez najmniejszego podniecenia.

— Elzo droga — szepnęła Rosemary — powiedz szczerze, czy ci nie zawadzam w tych ciężkich chwilach?...

— Nie, kochana, przeciwnie, cóż bym była zrobiła dziś rano bez ciebie? Byłaś mi podporą moralną. Gdybyś teraz odjechała, zostałabym zupełnie sama, bo Mariusz jest jak dziecko, które należy oszczędzać i zabawiać, jak się tylko da.

— A czy nie pragniesz samotności? Powiedz szczerze!

— Nie, Rosemary, przeciwnie, ty jesteś osłodą mojego życia, ale dla ciebie, dziecko, lepiej by było odjechać do Anglii. Tutaj życie twoje jest zbyt ciężkie, i ty nie jesteś tego przyczyną!

— Nie mów tak, Elzo, ja bym tam chwili spokojnej nie miała, tu zaś cierpię dla naszej wzajemnej przyjaźni, solidarnie z wami, droga moja, pragnę pozostać tutaj, ale co zrobić z Gasparem? On wraca niebawem, a jego obecność, czuję to z pewnością, będzie dla was ciężarem.

— Lord Tarkington jest tak miły — odrzekła Elza łagodnie. — Tyle ma taktu i delikatności, że nie będzie mi bynajmniej zawadzał, a dla ciebie będzie to towarzystwo, droga moja, ponieważ ja muszę poświęcić cały prawie czas Mariuszowi. Widywać się będziemy niewiele. Ale świadomość, że jesteś blisko mnie, pod tym samym dachem, będzie mnie podtrzymywać na duchu i w razie czego możemy się naradzić wspólnie, pocieszyć.

— Aniołem jesteś, Elzo najdroższa, cieszę się, że mnie nie odprawiasz. Gdybyś mnie tu mieć nie chciała, nie odjechałabym daleko. Prawdopodobnie zatrzymałabym się w Cluju. Nie mogłabym istnieć zdaleka od was, dopóki świta choć najśłabszy promyk nadziei. Przeświadczona bowiem jestem w



głębi serca, że Bóg nie pozwoli na tę potworną niesprawiedliwość. Coś się zdarzy nieprzewidzianego. Zobaczysz.

— Musiałby się stać cud, moja droga — powiedziała Elza ponuro.

— Bóg dokonał cudów większych od tego — odparła Rosemary stanowczym głosem.

Elza uśmiechnęła się blado. Ona, biedaczka, najwidoczniej nie wierzyła w cuda. Po chwili rzekła:

— Jaka ja roztargniona, zupełnie zapomniałam ci powiedzieć, że jest dla ciebie wiadomość telefoniczna od lorda Tarkingtona.

— Od Gaspara?

— Dał znać, że przyjeżdża jutro po południu. —

— Skąd mówił?

— Nie jestem pewna i nie wykazałam się przytomnością umysłu, by go o to zapytać. Gdy zrozumiałam, że mówię z lordem Tarkingtonem, spytałam, czy mam posłać konie do Cluju. Usłyszałam tylko: — Nie, nie — i w tejże chwili przerwano połączenie. Telefonistki są tak bezwzględne, przerywają bez pytania w toku rozmowy. Cieszę się, droga, że lord Tarkington przyjeżdża.

Wstała i pocałowała Rosemary. — Muszę jeszcze przypilnować parę szczegółów, potem zaś pójdę do Mariusza.

Odeszła, pobrzękując pękiem kluczy, spokojna na pozór. Rosemary usłyszała jej głos, wydający polecenia służbie, łający jedną za służących za jakieś niedopatrzenie. Ale krok jej stracił sprężystość i już się nie mogła wyprostować po dawnemu. I głos nie był już metaliczny, był to głos starej kobiety. Rosemary przypomniała sobie nagle z przerażeniem, że włosy Elzy posiwiały w ciągu tych ostatnich godzin, nie uprzytomniła sobie tego od razu. Zatopiła głowę w poduszkach sofy i zapłakała.

\* \* \*

Gaspar przyjechał nazajutrz po południu. Elza i Rosemary znajdowały się w parku i dopiero w godzinę po przybyciu dowiedziały się, że jest już w pałacu. Czekał cierpliwie w saloniku. Elza i Rosemary pośpieszyły go witać. Ucałował najpierw rękę Elzy, potem rękę żony. Elza zadała mu kilka zdawkowych pytań przez uprzejmość i usunęła się by nie być zbyt liczny przy pierwszej rozmowie zakochanych po dłuższej rozłące. Posłała Antoniego po bagaż Gaspara i wróciła na swe smutne stanowisko przy łożu Mariusza.

Gdy znaleźli się sami, Gaspar porwał żonę w objęcia i o mało jej nie udusił swym namiętym, mocnym uściskiem.

— Proszę cię Gasparze! — szepnęła Rosemary, usiłując się uwolnić z jego ramion.

— Ja tak tęskniłem do twoich ust, Rosemary moja — wyszeptał namiętnie — dwa tygodnie bez ciebie, bez twego pocałunku.

Zajrzał jej prosto w oczy i dodał:

— Ja byłem w piekle, mała, w piekle! Rosemary próbowała się uśmiechnąć :

— Ale dlaczego, Gasparze? Co to znaczy? Nie możemy przecież nigdy się nie rozłączać, a dwa tygodnie to taka normalna rozłąka dla najbardziej zakochanych ludzi!

— Nie wiem, maleńka, co jest normalne według ciebie, ale to wiem, że jeżeli mnie znowu odeślesz od siebie na dwa tygodnie, to już nie wyjdę żywy z tego piekła.

— Ależ, Gasparze, ja cię nie odesłałam, z własnej inicjatywy pojechałeś do Bukaresztu! — Była zniecierpliwiona jego nielogicznym rozumowaniem.

— I nic mi się nie udało! — mruknął, wzruszając ramionami. Rosemary jęknęła cicho. — Król?...

— Obojętny na wszystko. Ufa generałowi Naniescu, polega na jego sądzie, wierzy w jego patriotyzm i poczucie sprawiedliwości.

Zapanowało milczenie. Rosemary, rozczarowana, zgnębiona, nie miała siły mówić, opowiadać. Po chwili Gaspar zapytał:

— A co tu zaszło, Rosemary? — Drgnęła.

— Skąd już wiesz, że coś zaszło?

— Czyż nie umiem czytać z twojej prześlicznej twarzyczki, najdroższa? Zanim dotknąłem twej ręki, wiedziałem, że coś przeżyłaś podczas mojej nieobecności.

— Drogi mój — wyszeptała z wdzięcznością i przysunęła się do niego. Gaspar miał przedziwną intuicję, a przy tym kochał ją naprawdę, otaczał ją najczulszą opieką.

— Zgadłeś — przyznała. — Jest tu coś nie w porządku i to bardzo! Opowiedziała mu wszystko po kolei. Słuchał uważnie bez komentarzy, pieszcząc jej rękę, trzymaną w swych dłoniach.

— Cóż teraz zrobić? — zapytała, skończywszy. Milczał jeszcze dłuższą chwilę, jakby rozważając odpowiedź.

— Nie widzę innego wyjścia — powiedział wreszcie — jak przychylić się do prośby Naniescu.

— Gasparze, jak możesz!...

— Maleńka, nie byłabyś tą czarującą istotą, jaką jesteś, gdybyś nie była czasem trochę nierozsądna, ale zastanów się, co ci to szkodzi właściwie napisać parę artykułów zgodnie z życzeniami Naniescu?

Rosemary zadrżała z oburzenia.

— Jak możesz zadawać mi podobne pytania! — wykrzyknęła. — Czy nie rozumiesz, że popełniam, czyniąc to, akt zdrady względem tych, którzy mi zaufali? Czy sądzisz, że Filip Imrey nie woli raczej umrzeć, niż zgodzić się na zniszczenie swego dzieła w ten niegodny sposób i temu życie zawdzięczać? Ja mam świadczyć, że wszystko jest jak najlepiej w tym kraju nędzy, ucisku, zbrodni, złodziejstwa, zwanego konfiskatą? Ja mam kłamać, oszukiwać opinię europejską, słowem, pod płaszczykiem sentymentu mam iść po linii najmniejszego oporu, zdeptać honor własny? To mi radzisz? Zastanów się!

Gaspar nie odpowiedział ani słowa, nie wykonał żadnego gestu. Spoglądał tylko od czasu do czasu z podziwem na swą piękną żonę, która w tym oburzeniu była jeszcze piękniejsza.

— Według mnie, droga moja — odezwał się — te artykuły, podpisane nawet przez tak znaną i cenioną publicystkę, jak ty, Rosemary, nie będą miały wielkiego znaczenia w oczach angielskiej i amerykańskiej opinii publicznej. Naniescu przypisuje tym paru artykułom większy wpływ, niż one mogą mieć istotnie, i to całe szczęście: możesz bez skrupułów wyzyskać tę jego wiarę i napisać to, co sprawie narodowej twych przyjaciół nie zaszkodzi, moim zdaniem, a ocali na pewno życie dwojgu młodym nieodpowiedzialnym ludziom, mogącym natomiast jeszcze niejedno zdziałać dla Transylwanii. Ty się zastanów nad tym, Rosemary! Zresztą nie myślę wywierać najmniejszej presji, dziecko, odpowiadam tylko na twe pytanie. Żądałaś rady, służę ci nią zgodnie z moim przekonaniem.

Argumenty Gaspara nie były pozbawione słuszności z praktycznego punktu widzenia. Ale, że on, jej mąż, mógł jej doradzać ten kompromis z własnym honorem i kłamstwo, choćby najmniejsze, to przerażało i martwiło Rosemary. Gaspar wstał teraz i obojętnie dodał:

— Pewien jestem, że przemyślisz to wszystko.

— Nigdy tego nie uczynię! — krzyknęła.

— Jak długo potrafisz patrzeć na łzy matki i na niemą rozpacz ojca? — zapytał niezwykle surowo.

— Gdyby Elza wiedziała, o co chodzi — odrzekła Rosemary — sama by mi nakazała bierność.

— Wystaw Elzę na próbę — poradził lakonicznie.

Łzy napłynęły do oczu młodej kobiety. Przed tą myślą cofała się, ilekroć nawiedzała ją pokusa, by porozmawiać z Elzą w tej sprawie. Miała w duszy głęboką urazę do Gaspara i bardziej niż kiedykolwiek czuła dziś przepaść, jaka ich dzieliła. Burzyło się w niej wszystko na jego obojętność, na to zimne wyrachowanie, na nieświadome okrucieństwo, z jakim ją dręczył jeszcze bardziej, niż sam los i tak już okrutny. Piotr byłby ją lepiej rozumiał, Piotr... Musiała mimo woli wyszeptać to imię. Gaspar zerwał się nagle z zaklęciem na ustach, on, taki dystyngowany!

— Jeżeli wspominasz już imię tego diabła... — zaczął chrapliwym głosem.

— Gasparze! — przerwała Rosemary. — Dlaczego tak nienawidzisz Piotra?

— Ja, nienawidzić go? Czy człowiek może nienawidzić węża lub robaka?

— Jesteś niesprawiedliwy i mówisz nieprawdę — odparła. — Zmusiłeś mnie do milczenia wobec Piotra, wymogłeś na mnie nieufną postawę względem niego. Dotrzymałam ci słowa, a teraz żałuję gorzko, że nie zwierzyłam się Piotrowi. On jest na pół rodakiem tych ludzi, byłby im pomógł, gdyby był wiedział.

Gaspar zaśmiał się ironicznie.

— Piotr? — wykrzyknął gorzko. — Piotr Blakeney byłby ci pomógł? Czyż ty nie wiesz, dziecko, że Piotr jest szpiegiem, podłym szpiegiem rządu rumuńskiego? Ostrzegalem cię, przedstawiłem ci fakty. Któż zadenuncjował Filipa i Annę? Kto wiedział o ich szalonym pomysle ucieczki? Tylko ty i Piotr Blakeney. Czy pewna jesteś, że to, co się stało tamtej nocy...?

— Gasparze! Cicho bądź! — krzyknęła Rosemary z rozpaczą. Odepchnęła pochylonego nad nią Tarkingtona i wstała z wysiłkiem z kanapy. Demony szeptały jej od dwóch dni to, co teraz usłyszała, ale nie chciała słyszeć, nie chciała myśleć... to było zbyt potworne.

— Twoje insynuacje są straszne — rzekła, przechadzając się po pokoju dla uspokojenia wzburzonych nerwów. — Znam Piotra od dzieciństwa i nie wierzę w to, co mówisz. Jest to zbieg okoliczności, mogący dawać do myślenia, przyznaję, ale...

— Powiedzmy, — przerwał Gaspar — powiedzmy, że jest to tylko dziwny zbieg okoliczności, że Piotr Blakeney stał się jedynym właścicielem tego oto domu.

— Co ty mówisz?...

— Mówię, że Piotr Blakeney uzyskał prawo pierwokupu pałacu i posiadłości ziemskiej Kis-Imre, od rządu rumuńskiego.

Rosemary poczuła zimny, przeszywający ją dreszcz od stóp do głowy.

— Gasparze — rzekła słabym głosem — wytłumacz mi to bliżej.

— Nic bliższego, kochanie, powiedzieć ci nie mogę. Nie wiesz może, że wobec oskarżenia, jakie ciąży na Filipie i Annie, wszelkie ich posiadłości podlegają konfiskacie. Ten pałac zatem, jako należący do rodziców zdrajcy, sprzedany będzie na rzecz rządu rumuńskiego.

Rosemary podniosła głowę. — nie zdawałam sobie z tego sprawy — powiedziała powoli.

— Nasz przyjaciel, Naniescu, wpadł na pomysł sprzedania pałacu, stanowiącego obiekt bardzo wartościowy, temu, który najwięcej zapłaci. Piotr Blakeney okazał się tym szczęśliwcem. Zapłacił kilkaset tysięcy lei za prawo pierwokupu, o ile Kis-Imre będzie sprzedawane po wyroku lub ewentualnie po śmierci spadkobiercy Imreyów.

— Kto ci to wszystko powiedział? — zapytała zimno Rosemary.

— Nasz przyjaciel, Naniescu.

— I ty mu wierzysz?

— Pokazał mi umowę, podpisaną imieniem i nazwiskiem: Piotr Blakeney.

— W takim razie — rzekła Rosemary zamyślona — Piotr postanowił w ten sposób ocalić ten dom dla Elzy.

Gaspar uśmiechnął się. — Jesteś wierna w przyjaźni, moje dziecko kochane — rzekł ze słodyczą w głosie i w spojrzeniu.

Rosemary stanęła przy oknie i patrzyła na szare obłoki przesuwane się po niebie. Czuła się bardzo samotna. Mąż jej był prawdziwym Anglikiem, człowiekiem nie znającym uczucia. Miłość jego nawet, widziała to obecnie, nie była uczuciem, tylko żywiołową, prymitywną namiętnością. Poglądy jego na życie były okropnie rozsądne! Rosemary stała tak długą chwilę, pogrążona w myślach, że nie słyszała, co Gaspar mówił do niej. Głos dochodził do jej uszu jakby z bardzo daleka, a słów ona nie rozumiała, zajęta własnymi myślami. Wtem poczuła na ręce gorące wargi męża. Oprzytomniała, spojrzała niechętnie w jego stronę, ale Gaspar już wychodził dyskretnie z saloniku, zamykając po cichu drzwi za sobą.

W kilka minut po wyjściu Gaspara z pokoju Rosemary uprzytomniła sobie, że zanim się dyskretnie usunął, zostawiając ją samą z jej myślami, mówił jeszcze o owych artykułach, do których napisania ją namawiał. Teraz dopiero umysł jej reprodukowałam, jak gramofon, te machinalnie zarejestrowane dźwięki:

— Rzuciłem tu na papier kilka zasadniczych pomysłów. Oczywiście ty je przełożysz na twój język barwny i żywy, jeżeli w ogóle zechcesz z tych paru wskazówek skorzystać. Naniescu życzyłby sobie, o ile się orientuję, widzieć sprawozdanie tego rodzaju na łamach „Timesa”. Ja zaś pragnę oszczędzić ci jak najbardziej wysiłku przy tej niewdzięcznej pracy. Przypuszczam, że te pomysły ci ją ułatwią i że nie uznasz ich za niemożliwe do przyjęcia.

Rosemary spojrzała na stolik. Tak jest, dobrze słyszała, chociaż nie słuchała. Leżał tam arkusz papieru, gdy podeszła, przekonała się, że jest to cienki zeszyt dużego formatu, pokryty gęsto pismem Gaspara. Rosemary z papierami w ręku wyszła na taras. Doznawała wrażenia, że musi oddychać podczas tej lektury świeżym, czystym powietrzem, usiadła i zaczęła czytać.

Były to krótkie notatki, będące streszczeniem cyklu artykułów politycznych i ekonomicznych o stosunkach w Transylwanii za okupacji rumuńskiej. Wypowiedź tę cechowała doskonała znajomość przedmiotu, zupełny obiektywizm: autor był wprawdzie niedwuznacznym zwolennikiem rządu rumuńskiego, ale łagodził to swoje stanowisko logiką wywodów, rzeczowych, pozornie bezstronnych oraz wyrozumiałością, wnikaniem w położenie strony przeciwnej. Styl tych notatek idealnie odzwierciedlał osobowość autora. Rosemary zdawało się wciąż, że Gaspar mówi jeszcze, że słyszy jego głos wymawiający powoli, chłodno, z pewnym naciskiem, te słowa, które nie chciały wyjść jej z pamięci.

Po przeczytaniu do końca tego projektu swej hańby, siedziała z przymkniętymi oczami, na wpół przytomna ze zgrozy, wstydu i udręki moralnej. Zmrok zapadał. Gdy otworzyła oczy, była ciemna noc. Wstała z krzesła i jak automat poszła do swego pokoju.

Róża weszła i zapaliła światło. Z niepokojem zapytała, czy pani nie zejdzie na dół i czy pozwoli zamknąć okiennice, gdyż burza się zbliża, deszcz już pada od dłuższej chwili.

Rosemary spostrzegła dopiero teraz, że istotnie miała włosy i suknię zmoczone: siedziała na tarasie i dotychczas nie zauważyła, że moknie! Podeszła do okna: ciężkie krople spadały na ziemię, niebo było ołowiane, zapanowała zupełna ciemność.

Róża zapytała, czy łaskawa pani zmieni suknię przed obiadem. Rosemary zgodziła się. Schowała papiery Gaspara do szuflady, pozwoliła Róży wyjąć z szafy wieczorową suknię, włożyła ją machinalnie, po czym zeszła na obiad. Cały wieczór spędziła w stanie półprzytomnym. Przy stole Elza i Gaspar prowadzili ożywioną rozmowę. Elza, jak zawsze, była mistrzynią sztuki panowania nad sobą, z godnością pełniła obowiązki pani domu. Mariusz

miał się nieco lepiej, zdrzemnął się w ciągu dnia i napił się mleka. Dotychczas był całkiem pozbawiony snu i nie przyjmował żadnych pokarmów.

O dziesiątej Rosemary wycofała się pod pretekstem migreny. Gaspar czule ucałował jej rękę, życząc jej dobrej nocy. Gdy znalazła się sama w swoim pokoju, odetchnęła: byłaby chyba nie przeżyła tej nocy, gdyby Gaspar jej towarzyszył. Nie mogłaby znieść jego namiętności, jego pocałunków i szeptów miłosnych, zazwyczaj obojętnych jej, dzisiaj — nie do zniesienia.

Deszcz swym jednostajnym pluskiem o szyby towarzyszył skrzypieniu pióra na papierze w staroświeckim pokoiku na pierwszym piętrze pałacu. Rosemary, przebrawszy się w szlafrok i miękkie pantofle zasiadła do biurka w rogu pokoju i pisała zapamiętale, mając przed sobą notatki Gaspara. Nadała im, jak to jej radził Gaspar, formę żywą, literacką i zajmującą, tę formę, z której słynęła, ale treść zostawiła nienaruszoną, punkt po punkcie rozszerzała to, co napisał Gaspar.

Gdy wstała od biurka, burza już dawno minęła. Otworzyła okno balkonowe na oścież. Owiał ją chłód poranku, dzienne światło padło na jej zmęczone oczy. W tej chwili zegar wybił godzinę piątą. Tyle godzin bez przerwy nigdy jeszcze twórczo nie pracowała!

A teraz Elza zadecyduje. Gaspar miał rację. Tylko matka młodego Węgra może rozstrzygnąć ten dylemat. Ona spełniła tej nocy w połowie swój obowiązek i nie cofnie się przed spełnieniem go do końca, przed wysłaniem tych artykułów do „Timesa”, ale tylko na życzenie Elzy.

Zaczerpnąwszy w płuca świeżego powietrza, Rosemary położyła się do łóżka i spała ciężkim, kamiennym snem. Rano obudziła się wypoczęta i przy śniadaniu uprzejmie przywitała Gaspara.

— Napisałam owe artykuły. Mam również list do redakcji „Timesa” z prośbą o umieszczenie jak najszybciej tych sprawozdań z Transylwanii. Zaadresowałam już nawet kopertę do redakcji w Londynie. Ale najpierw dam to wszystko do przeczytania Elzie, ona musi zadecydować, masz zupełną słuszność, że do niej jednej należy rozstrzygnąć kwestie, czy te papiery pójdą dziś jeszcze na pocztę, czy też zostaną podarte i spalone.

\* \* \*

Rosemary znalazła się sam na sam z Elzą wczesnym popołudniem. Doktor odwiedził Mariusza w rannych godzinach i stwierdził zadowolający stan. — Pacjent ma się lepiej, lekarz przewidywał dalsze polepszenie, byle tylko pacjent zachowywał się spokojnie i niczym się nie przejmował. Elza

powtórzyła to tonem ironii, goryczy, ledwo panując nad łzami. Przyszłość! Nie przejmować się! Co za rady w ich sytuacji!

Ponieważ Elza coraz bardziej opadała z sił, a stan chorego pozwalał już obecnie na oddanie go pod opiekę siostr miłosierdzia (na początku choroby raziłyby go obce twarze), sprowadzono dwie pielęgniarki z Cluju. Obie siostry przybyły przed południem, tak że po śniadaniu z łatwością udało się Rosemary namówić Elzę do przechadzki po ogrodzie. Ponieważ upał i dzisiaj dawał się we znaki, obie panie skierowały się w głąb ogrodu, do altany i tam usiadły z dala od pałacu i służby.

— Mam z tobą do pomówienia, droga Elzo — powiedziała Rosemary. — Słuchaj mnie uważnie, dobrze?

Elza zwróciła ku niej swe wielkie, błękitne oczy.

— Słucham, Rosemary — rzekła tonem posłusznego dziecka. — O co chodzi?

Rosemary trzymała swój rękopis, owoc ostatniej, bezsennej nocy. Ręka jej drżała, ale głos zachował mocne brzmienie, gdy odpowiedziała.

— Chcę cię prosić o przeczytanie tych artykułów, które napisałam tej nocy na wyraźne życzenie generała Naniescu. Chciałby on ogłosić to drukiem w pismach angielskich i amerykańskich. Dlaczego — zrozumiesz po przeczytaniu. Zależy mu na tym tak bardzo, że za cenę ogłoszenia tych artykułów gotów jest uwolnić Annę i Filipa, zwrócić wam Kis-Imre, które podobno już jest wystawione na licytację, a jeżeli zechcecie, pozwoli wam opuścić kraj i osiaść, gdzie wam się podoba i tam czekać lepszych czasów.

Wręczyła papiery Elzie i wstała. — Odchodzę, bo chcę ci dać możliwość spokojnego czytania.

Ale wielkie, błękitne oczy utkwione były w jej twarzy z wyrazem zdumienia.

— Nie rozumiem cię, droga moja — wyszeptała.

— Nie możesz rozumieć, kochana Elzo — powiedziała Rosemary z uśmiechem. — Ale zrozumiesz, gdy przeczytasz te stronic. Cygan powiedział prawdę. W mojej mocy jest ocalić Filipa i Aneczkę, ale tylko za pewną cenę i ty jedna możesz zdecydować, czy wolno mi płacić tę cenę. Niech Bóg cię ma w swej opiece!

Objęła Elzę za szyję i ucałowała czule. Opuściła ją duma, zaciętość, egoizm. Cała była przyjaźnią, uczuciem, współbolewaniem. Od Elzy zależy wszystko. Jej naród! Jej syn! Ona będzie wyrocznią!

Gdy, biegnąc ku pałacowi, okrążyła wielki klomb, spojrzała w stronę altanki. Elza siedziała nieruchomo, z rękopisem na kolanach, oczy jej



zdradzały zdumienie. Była wyraźnie zaskoczona tą nowiną. Biedna, Elza! Ze zbolełego serca Rosemary wyrwało się głośne łkanie.

\* \* \*

Dzień ten włókł się bez końca dla Rosemary. Elza nie zeszła na obiad. Napisała krótki, bardzo uprzejmy bilecik, w którym przepraszała ją i lorda Tarkingtona, że ze względu na niepokój chorego zmuszona jest pozostać przy nim cały wieczór. Zjedli obiad w milczeniu, Gaspar widząc nastrój żony, nie narzucał się, uprzejmy i delikatny, jak zawsze.

Rosemary ze współczuciem spoglądała na bladą twarz męża. Biedny Gaspar! Cóż on był winien, że przyjęła jego oświadczenia w chwili zniechęcenia i irytacji z powodu Piotra, a potem wciągnęła go mimo woli w te wydarzenia polityczne, w których zajmowali odmienne stanowisko, rzecz to normalna, że każdy ma swoje poglądy. Była znośna tylko przy wzajemnej obojętności lub przy wzajemnym uczuciu. Stawała się nieznośną wtedy, gdy Gaspar okazywał jej swoją miłość, swoje pożądanie i swą zachłanność w miłości, gdy w pożądaniu był samolubny i bezwzględny. A ona, znudzona jego namiętnością, okazywała mu obojętność, a nawet niechęć. Drażniło ją i to, że w sprawach zasadniczych Gaspar nie podzielał jej poglądów. To właśnie był bilans ich stosunków małżeńskich. Rosemary rozumiała, że dobry, pełen kurtuazji i szacunku mąż, zaspokajający wszystkie jej marzenia, zachcianki, kaprysy, obdarzający ją nie tylko miłością, ale i tytułem i majątkiem, a żądający w zamian nieśmiało miłego słowa i spojrzenia — nic więcej — zasługuje w pełni na to słowo i spojrzenie. Toteż żał jej było Gaspara, a jednocześnie stwierdziła z przerażeniem swoją niechęć. Miała dotychczas nadzieję, że go pokocha, teraz widziała, że jest to niemożliwe. Postanowiła nie okazać mu przynajmniej nigdy tego, ale gdy po obiedzie poddała się biernie jego namiętnym, natrętnym pocałunkom, zrozumiała, że może go z łatwością znienawidzić.

Kiedy nareszcie została sama po tym wieczorze tortury, którą znosiła w milczeniu, z zaciśniętymi zębami, nie mogła zasnąć. Myśli jej błądziły od Elzy do Piotra. Biedna, biedna Elza! Kochany, skrzywdzony Piotr! Ach, żeby on tu był jeszcze, powiedziałałaby mu wszystko, on by ich obronił i nie doradzałby jej zdrady, wystawiania nieszczęsnej matki na próbę, będącą szczytem okrucieństwa. Teraz to zrozumiała, Gaspar skorzystał z jej słabości, zasugerował jej, by napisała te artykuły i ona uległa tym szatańskim radom, sądząc, że czyni dobrze. Dlaczego tak radził? Bo tak widział życie, takimi oczami na nie patrzył. A Piotr? Nagle ujrzała Piotra przy sobie w ową pamiętną noc czerwcową. Otoczył ją silnymi ramionami,

szeptał jej do ucha słodkie słowa przy śpiewie słowików. Uczuła na ustach namiętny pocałunek Piotra, ten pocałunek, który wciąż pamiętała. A potem — potem — ta okropna wizja: Piotr tajemniczy, niezrozumiały, Piotr, o którym złe moce szeptały jej i teraz: „Czy nie wiesz, że to podły szpieg na żołdzie rządu rumuńskiego?” Piorun powtórzył echem te okropne wyrazy. Mury pałacu zadrżały. Rosemary słuchała tego echa, które rozlegało się głośno, coraz głośniej, coraz potężniej, gdyż burza szalała i była już nad samym Kis-Imre.

Błyskawice rozdzierały teraz ciemności co chwila. Piorun za piorunem uderzał w pobliskie drzewa. Rosemary leżała z oczami utkwionymi w szyby na wprost jej łóżka. Nagle w świetle jednej z błyskawic ujrzała Piotra, stojącego naprzeciw jej okna i patrzącego prosto na nią. Oczy ich się spotkały przez to jedno mgnienie, jakim jest błyskawica. Piotr miał na głowie czapkę k raketową, ubrany był w ciemny strój sportowy. Widziała go na pewno, on zaś na pewno patrzył w jej okno. Ale potem już się nie błysnęło. Ciemności zaległy wokół. Rosemary nie zobaczyła już Piotra.

Gdy burza ustała, Rosemary usnęła. Śniło jej się, że Piotr był z nią nad rzeką, było to w Anglii, śpiewał słowik. Piotr całował ją, a ona odpowiadała na jego pocałunki całą duszą, całym sercem.

\* \* \*

Nazajutrz rano Rosemary doszła do wniosku, że obecność Piotra w parku ubiegłej nocy w czasie straszliwej burzy była jedynie dziełem jej wybujałej wyobraźni. Deszcz padał jeszcze, dzień był smutny i ponury.

Podczas śniadania Gaspar oznajmił jej, że otrzymał list od swego bankiera w Cluju, który donosi mu, że zawody krokietowe z powodu złej pogody nie odbędą się. Plac krokietowy stanowi, podobno, jedną wielką sadzawkę. Z tamtej strony granicy burza szalała przez 24 godziny bez przerwy. Możliwe jest, że mecz się nie odbędzie, bo wiele osób, nie mogąc się go doczekać, odjechało z powrotem: na przykład Paysonowie wrócili do Budapesztu.

Rosemary przyjęła tę wiadomość milcząco, ale skojarzyła zawieszenie zawodów krokietowych z możliwością przyjazdu Piotra do Kis-Imre. Ale dlaczego stałby na taką pogodę w ogrodzie i mókł na ulewnym deszczu? Zbyt zmęczona była, by nad tym mogła długo rozmyślać.

Gdy zeszła na dół parę minut po dziesiątej, spotkała Elżę. Była ona jeszcze bardziej przygnębiona niż poprzednio. Mariusz spędził bezsenność noc. Chwilami był nieprzytomny, a podniecenie jego zwiększało się z każdą

godziną. Elza ucałowała Rosemary z wielką czułością. — Chodźmy do pokoju bilardowego — powiedziała — porozmawiamy.

— Rosemary droga — rzekła Elza, gdy usiadły na kanapce obok siebie — przeczytałam twoje artykuły i nie potrzebowałam prosić Boga o natchnienie: ani ja, ani Mariusz, ani rodzina Anny nie zgodzimy się na ratowanie dzieci za taką cenę. Dzieci same by odrzuciły takie ocalenie.

Podawała notatki Rosemary, ręka jej nie drżała dzisiaj wcale. — Zabierz to, kochana moja, jestem ci wdzięczna, że pozwoliłaś mi decydować. Jedyną rzeczą, której byśmy ci nigdy nie mogli przebaczyć, byłoby ogłoszenie takich artykułów bez porozumienia się z nami.

Rosemary wzięła papier i ujęła jednocześnie ręce Elzy, uścisnęła je mocno i podniosła je do ust. Mówić nie mogła, mogła tylko całować te ręce ze czcią najwyższą dla jej wzniosłego bohaterstwa, dla tej ofiarności, składającej bez wahania ukochanego syna na ołtarzu idei.

— Elzo — wyszeptała po chwili — Elzo, czy o wszystkim pomyślałaś — o Mariuszu — o matce Anny...?

— Anna — odparła Elza — połączyła swój los z losem Filipa. Matka jej jest trochę dziwną kobietą, ale nie jest zdolna do zdrady ojczyzny. Mariusz przyznałby mi słuszność, nawet w obecnym stanie swego umysłu, nie kupiłby życia swego dziecka za tę cenę. Nie moglibyśmy żyć nadal ze świadomością, że naszym tchórzostwem przyczyniliśmy się do znęcania się nad naszymi rodakami. Ci krwio pijcy bowiem postępowaliby tu coraz bezwzględniej z miejscową ludnością, mając zapewnioną bezkarność dzięki takiej opinii w prasie — dodała, wskazując na rękopis. — Nie, nie, to się stać nie może — zakończyła stanowczo, potrząsając głową.

Odsunęła rękę Rosemary, trzymającą notatki, widocznie chciała oddalić tym gestem pokusę, wszak artykuły te mogły ocalić Filipa.

— Pojadę odwiedzić Szarlotę Heves — powiedziała po chwili. — Winna jej jestem bądź co bądź całą prawdę. A potem spróbuję odwiedzić w więzieniu Filipa i Annę. Przecież nie mogą mi tego zabronić. Muszę się zobaczyć z Filipem. Wiem z góry, co on powie. Możesz już zniszczyć te papiery, droga Rosemary. Spal je. Słusznie postąpiłaś, prosząc mnie o radę, teraz wiesz już, co masz uczynić.

Zapukano do drzwi. Antoni wszedł i oznajmił, że konie czekają. Elza jechała najpierw do Uljaku, do matki Anny, potem do Cluju, by zobaczyć się z Filipem i Anną.

— Wszystkie polecenia wydane — powiedziała — tobie i lordowi Tarkington na niczym zbywać nie powinno. Mariusz też będzie spokojny.

Polubił jedną z sióstr, tę starszą, a i doktor przyjeżdża przed południem. Co do wiadomej sprawy, to powiedz również i lordowi Tarkingtonowi, że się nie zawahałam.

Ucałowała czule przyjaciółkę i odjechała. Rosemary stała przed domem, patrząc za odjeżdżającym powozem. W rękę trzymała notatki. Prawda! Trzeba je spalić! Wolnym krokiem weszła na schody, prowadzące do jej pokoju. Zastała tu, ku swemu zdziwieniu, Gaspara: czekał na nią, paląc papierosa. Na jej widok oczy zamigotały mu niespokojnie.

— Widziałas się z Elzą? — zapytał.

— Skąd wiesz?

— No, nietrudno było się domyśleć. Cóż ona myśli w wiadomej sprawie?

— Zgadza się całkowicie ze mną! — odparła Rosemary. Westchnął z odcieniem zniecierpliwienia. — Szkoda, — rzekł krótko — co zamierzasz uczynić?

— Zniszczę te artykuły, to jasne. Nie ma już potrzeby, by je wydrukować.

Gaspar zamyślił się, po czym dodał: — Uważam, że Elza powinna była zawiadomić o tym matkę Anny i nie brać na siebie całkowitej odpowiedzialności.

Właśnie w tym celu pojechała do niej — powiedziała Rosemary.

— Pojechała do Uljaku?

— Tak. A potem spróbuje zobaczyć się z Filipem. Przyszło mi na myśl — ciągnęła dalej Rosemary — że ty lub ja moglibyśmy zatelefonować do generała Naniescu i użyć odrobiny wpływu, jaki posiadamy, w celu wyjednania Elzie pozwolenia na zobaczenie się z tym dwojgiem dzieci.

— Dobra myśl — przyznał Gaspar. — Sądzę, że najlepiej będzie, gdy ty się do niego zwrócisz.

Obserwował bacznie Rosemary. Uklękła przed porcelanowym piecem i usiłowała otworzyć drzwiczki. W drugiej ręce trzymała artykuły o Transylwanii.

— Co chcesz uczynić, maleńka?

— Chcę otworzyć drzwiczki pieca. A potem poproszę cię o zapalki.

— Tak pilno?... zapytał z uśmiechem.

— Lepiej się tego pozbyć wcześniej niż później.

— W zasadzie słusznie. Ale w tym wypadku... — ? — A jeżeli matka Anny...?

— Elza jest pewna, że...

— Czy może człowiek być pewnym uczuć innego człowieka? — przerwał. — Takich wspaniałych kobiet-bohaterek jak Elza nie ma tak wiele.

Ale może Szarlota Heves okaże się matką przede wszystkim, a potem dopiero patriotką? Potępiać jej za to nie wolno nikomu. Mariusz zaś nie jest w stanie wypowiedzieć się, bo nie jest w pełni władz umysłowych. Ale matka Anny może się wypowiedzieć, jestem zdania, że nieetycznym byłoby postawienie jej wobec Faktu dokonanego.

Rosemary zamyśliła się. — Może masz rację — szepnęła. Gaspar zbliżył się do niej. — Czy mógłbym przeczytać, co napisałaś? — zapytał.

Podawała mu rękopis w milczeniu. Rzucił okiem na kopertę, w którą włożyła wszystkie papiery i wsunął całość do kieszeni.

— Ukochana — rzekł uroczystym głosem — nie gniewaj się na mnie, że niezupełnie podzielam twój pogląd na tę sprawę. Ale i tobie radzę, zejdź na ziemię, patrz na rzeczy praktycznie i nie odwracaj się w tak ciężkiej sytuacji, jak obecna, od tego brzydkiego pojęcia, któremu na imię jest kompromis. Jest to smutna konieczność życiowa.

Milczała. Wtem porwał ją w ramiona i ukrył twarz na jej piersiach. Krzyknęła. Tulił ją do siebie jak szalony, obsypywał ją pocałunkami i próbował, nie zważając na jej opór, unieść ją...

— Nie, Gasparze! — zawołała — Proszę cię! Zaśmiał się dziwnym, brutalnym śmiechem.

— Nie? — powtórzył. — Dlaczego, skarbie? Zawsze powinno być „tak” — gdy chodzi o kochanie. Dla mnie jest bólem każda chwila czekania na twój pocałunek, tęsknię za tobą. — Trzymał ją w ramionach i zaglądał jej z miłością w oczy niemym, przenikliwym spojrzeniem.

— Ach, żebyś ty mnie kochała choć trochę — szepnął przez zaciśnięte zęby. Pocałował ją w usta kilka razy, mocno, brutalnie, miażdżąc jej wargi, aż nagle puścił ją tak niespodziewanie, że straciła równowagę i runęła na posadzkę u jego stóp. Popatrzył na nią przez chwilę, nie próbując nawet jej podnieść, widząc jej daremny wysiłek przy próbie podniesienia się, zaśmiał się i wzruszył ramionami.

— Zastanawiam się czasem — powiedział twardym, lekko ochrypłym głosem — dlaczego człowiek zgadza się żyć dalej. O wiele łatwiej jest umrzeć, niż dźwigać ciężar życia! Ja bym chętnie umarł, ale jeszcze chętniej widziałbym ciebie na marach, moja droga, bo wtedy dopiero nie mogłabyś mnie znieważać, jak to czynisz ustawicznie, czyniłabyś to nawet wówczas, gdybym ja leżał w grobie.

Wyszedł z pokoju z tymi słowami i zatrzasnął za sobą drzwi.

Rosemary zerwała się z podłogi. Czuła się rozbita i obolała fizycznie i moralnie. Nienawidziła Gaspara. Obawy jej stały się rzeczywistością.

Gaspar wiedział zatem, że nie kochała go mimo przysięgi złożonej przed ołtarzem. Wiedział, że nie przestała kochać Piotra, że tęskniła za jego obecnością, za jego pocałunkami. A życie jej w tej sytuacji stanie się piekłem. Miłość jego była wyłącznie natury zmysłowej, i nie będzie on mógł zdobyć się na pobłażliwość, na zrozumienie. Będzie chciał się mścić, zadając jej tyleż cierpień, ile ich doznawał z jej powodu.

Dlaczego mu się oddała, dlaczego? Sama nie wiedziała. Dzisiaj nie rozumiała samej siebie. On zaś wiedział wszystko i znienawidził Piotra od chwili, kiedy zrozumiał, że ona go kocha. Znienawidził z powodu kobiety swego najlepszego przyjaciela, tę kobietę zaś doprowadzi torturą moralną do wypowiedzenia z głębi serca słów, które on wyrzekł przed chwilą:

Łatwiej jest umrzeć, niż dźwigać ciężar życia.

\* \* \*

W pół godziny później Rosemary, myśląc, że Gaspar jest jeszcze w swoim pokoju i pragnąc być jak najdalej od niego, zeszła na dół, by iść do ogrodu.

W holu usłyszała jakieś dziwne szamotanie się, jakieś zdławione dźwięki, dochodzące z palarni. Przystanęła i nadsłuchiwała. Wyraźnie posłyszała zdławiony krzyk. Zdawało jej się, że poznaje głos Gaspara. Podbiegła do drzwi palarni i otworzyła je.

Gaspar leżał na podłodze i usiłował się podnieść. Zdawał się poruszać z trudem. Ubranie było na nim pomięte i poszarpane, twarz miał bladą, oczy krwią nabiegłe. Ale nie ten widok sparaliżował doszczętnie ruchy Rosemary, nie ten widok pozbawił ją głosu. W chwili gdy stanęła na progu, zobaczyła Piotra, przesadzającego okno parterowe i opuszczającego tą drogą palarnię. W następnej sekundzie już był za poręczą i słychać było tylko jego szybkie kroki na żwirze ogrodowym.

W chwilę później Gaspar odzyskał władzę w nogach i mowę.

— Wołaj służbę! — krzyknął zachrypłym głosem — niech gonią tego diabła, gotów jeszcze uciec!

Ale Rosemary nie ruszyła się. Stała na progu i patrzyła w otwarte okno jak urzeczona. Gaspar postąpił parę kroków ku niej, chciał ją wyminąć i zawołać służbę. Ale słowa ugrzęzły mu znów w gardle, podniósł rękę do kołnierza, zatoczył się i byłby upadł, gdyby Rosemary nie zdążyła go pochwycić w ramiona i zaprowadzić do krzesła, na które upadł całym ciężarem, głośno dysząc. Przez hol przechodziła jedna ze służących. Rosemary zawołała ją i poprosiła o trochę wódki.

— Łaskawy pan zemdłał — powiedziała. — Szybko, przynieś jakiś wzmacniający napój — dodała.

Gdy tylko przyniesiono wódkę, Rosemary odesłała służącą, przyklękła obok krzesła Gaspara i delikatnie wlała mu do ust trochę wódki. Był widocznie tylko ogłuszony, bo zaraz otworzył oczy i powiódł wkoło przytomnym spojrzeniem.

— Nie puściłaś go przecież? — było pierwszym jego pytaniem.

— Kogo miałam puścić lub nie, Gasparze? — zapytała spokojnie Rosemary. Wstała z klęczek i podała mu ramię, by pomóc mu się podnieść z krzesła.

— Tego szpiegującego diabła trzeba było przytrzymać! — Ryknął Gaspar. — Piotra Blakeney!

— Co to znaczy na Boga Ojca?!

— Dobrze wiesz, co to znaczy. Musiałaś go widzieć — mówiłem ci, byś wołała służbę. Czy i ty jesteś w zмовie z nim, że tego nie zrobiłaś?

— Słyszałam szamotanie się, idąc przez hol — odrzekła zimno Rosemary. — Otworzyłam drzwi do tego pokoju i zobaczyłam ciebie leżącego na podłodze. Zachowałam dość przytomności umysłu, by posłać po wódkę. Może dowiem się nareszcie od ciebie, co tutaj zaszło?

— Co zaszło? — powtórzył z przekąsem. Podeszedł do lustra i poprawił na sobie ubranie. Przyjrzał się też swej twarzy, nie wiedząc zresztą, że Rosemary go obserwuje. Z przerażeniem patrzyła, jak zmienił się nagle nie do poznania. Wargi jego rozchyliły się i wykrzywiły okropnie, oczy zmrużyły się złowieszczo i błyszczały spod powiek drapieżnym, wilczym blaskiem, nozdrza rozszerzyły się: brutalność rysowała się na jego zniekształconej twarzy. Gdy się nagłym ruchem obrócił ku niej, wyraz ten momentalnie ustąpił miejsca zwykłemu znudzeniu i chłodnej obojętności.

— Zawiniłem bardzo — rzekł spokojnie — insynuując, że ty jesteś w zмовie z tym opryszkiem, przepraszam cię.

— Czy nie lepiej byłoby — odrzekła nie mniej spokojnie — opowiedzieć mi, co zaszło?

— Piotr Blakeney wpadł tutaj przez to otwarte okno. Siedziałem plecami do okna i nic nie słyszałem. Pochłonięty byłem lekturą twego rękopisu. Napadł mnie od tyłu. Byłem zaskoczony, usiłowałem jednak się bronić. Ale on jest młodszy i atletycznie zbudowany, powalił mnie więc na ziemię. Wyrwał mi rękopis twój z ręki i znikł tak, jak się zjawił, przez okno, w momencie, kiedy ty weszłaś do pokoju.

Rosemary słuchała uważnie, ani jeden mięsień nie drgnął na jej twarzy. Stała jak posąg na środku pokoju z oczami utkwionymi w Gaspara, obserwując go badawczo, a on odwrócił się do niej plecami, jakby zażenowany tym spojrzeniem.

— Oto wszystko, moja droga — rzekł z nagłym szyderstwem w głosie. — Oczywiście okazałem się niegodnym stróżem cennego skarbu, jakim jest twój rękopis. Powinienem był go nie wydać nawet za cenę mego życia, ustrzec go wszelkimi sposobami itd. itd. — No, ale zostałem napadnięty, zaskoczony, to mnie tłumaczy, nie uważaj mnie więc za ostatniego tchórza.

Przerwał na chwilę i dodał oschłym tonem: — I to jeszcze mnie tłumaczyć powinno w twych oczach, że cię nieraz ostrzegałem przed Piotrem Blakeney, czym się naraziłem zresztą. Teraz może jesteś przekonana nareszcie?

Rosemary odzyskała mowę. Bezbarwnym, przyciszonym głosem zapytała:

— Pewien jesteś, że to był Piotr Blakeney?

— A ty nie jesteś pewna? — zaśmiał się wulgarnie.

Nie odpowiedziała na tę impertynencję. Pozornie zdawała się jej nie słyszeć.

— Pewien jesteś, że zdołał ujść z rękopisem?

Wzruszył ramionami. — Pewien jestem — odpowiedział.

— Jak myślisz, co on zamierza z tym uczynić?

— Sprzeda go generałowi Naniescu, rzecz prosta.

— W zamian za życie Filipa i Anny? — Gaspar, chcąc zyskać na czasie, zapalił cygaro. Pytanie najwyraźniej go zaskoczyło.

— Przypuszczalnie w zamian za kilka tysięcy funtów — odpowiedział, paląc już cygaro.

Rosemary z trudem stłumiła okrzyk oburzenia. Ale zapanowała nad sobą i powiedziała lodowato: — Muszę odzyskać rękopis. — Gaspar znowu wzruszył ramionami.

— Za późno, mogłaś to uczynić przed chwilą. Aleja byłem bezsilny, a ty tak się wystraszyłaś o moje zdrowie, że nie zawołałaś służby, która by była ujęła opryszka.

— Nie wiedziałam wówczas o... o rękopisie.

— A teraz wiesz i też nie wołasz nikogo.

— Bo to nikogo nie obchodzi. Ty masz mi zwrócić rękopis.



— Ja? — odpowiedział znowu z wulgarnym wybuchem śmiechu, — czy nie przeceniasz moich możliwości, a nawet sił? Ja bym chciał, rzecz prosta, żeby ten podły szpieg skrzył kark, ale jak mam to uczynić?

— Gasparze — nalegała poważnie — musisz mi zwrócić mój rękopis.

— Jakim sposobem mam tego dokonać, moja droga? — głos jego brzmiał sarkastycznie.

— Generał Naniescu może... — zaczęła niemal prosząco.

— Bez złudzeń — przerwał — Naniescu, skoro dostanie do swych rąk te nieocenione artykuły, pośle je natychmiast kurierem dyplomatycznym do Londynu. Przecież przy rękopisie był twój list z kopertą zaadresowaną do redakcji „Timesa”, prosisz w liście o jak najrychlejsze ogłoszenie drukiem załączonego materiału. Czyli — dodał wolniej,

licząc na palcach — dziś mamy sobotę... hm, w środę ujrzymy jeden z tych cennych artykułów na łamach „Timesa”.

— Nie dbam o twoje wyliczenia — odrzuciła niecierpliwie — jeżeli mi nie chcesz dopomóc, poradzę sobie sama.

— Mianowicie? — spytał.

— Zatelegrafuję natychmiast do „Timesa”, a sama wyjadę dziś wieczór do Londynu.

— Cudowna myśl! — rzekł sucho. — Wątpię tylko, czy wykonalna.

— Będziesz mi stawiał przeszkody?

— Ja? Oczywiście żadnych. Ale Naniescu nie będzie równie obojętny. — Po chwili dorzucił uprzejmym tonem:

— Ani Piotr.

Rosemary nic już nie odpowiedziała. Wyszła z pokoju, starając się nie myśleć. Wiedziała, że myśli będą ją prześladować, myśli o Piotrze, o miłości jej życia, o śnie młodości, zdruzgotanym potwornie w jednej chwili. Ale na zebranie myśli będzie dość czasu w wagonie, gdy będzie pędziła przez Europę ku Londynowi. Bo Naniescu może przejąć jej telegram, ale ona przybędzie jeszcze w porę do Anglii, by zapobiec wydrukowaniu tych obmierzłych artykułów zainspirowanych przez... nie, nie mogła nawet w duszy wymówić jego imienia, nienawidziła go bardziej niż Piotra. Czy słusznie? Nie umiała sobie zresztą dokładnie uświadomić swych uczuć. Czyż nagła, przerażająca zmiana, jaka zaszła w tym człowieku, nie była uzasadnieniem jej odrazy?

Rosemary doszła aż do miasteczka, sama nie wiedząc którądy. Weszła na pocztę, zredagowała depezę do „Timesa” i poprosiła o natychmiastowe wysłanie swego tekstu. Dla poparcia swej prośby wręczyła urzędniczce 100

lei. Naczelniczka poczty uśmiechnęła się i zapewniła ją, że depesza odejdzie natychmiast. Gdy tylko drzwi się zamknęły za Rosemary, naczelniczka zatelefonowała do pałacu Imreyów w Cluju i poprosiła o rozmowę z generałem Naniescu.

\* \* \*

Telegram Rosemary został dosłownie przytoczony przez telefon generałowi Naniescu. Kazał go wstrzymać. Odłożył słuchawkę zamyślony. Widocznie coś się zdarzyło w Kis-Imre, co bardzo wstrząsnęło piękną Uno. Wyglądało to tak, jakby napisała żądane przez niego artykuły (warte dla niego 10 tysięcy funtów!), jakby je wysłała, a potem zmieniawszy zdanie, pożałowawszy swego czynu, odwoływała treść telegraficznie.

Dziwne, zaiste, bardzo dziwne! Pan de Kervoisin również nie mógł się domyśleć, co tu zaszło. Trzeba czekać. — nasz przyjaciel Nr 10 niebawem tu przybędzie — zawyrokował Kervoisin — on ma niezawodnie klucz do tej zagadki.

Ale nie Nr 10 zjawił się tego popołudnia w pałacu Imreyów w Cluju. Kazał się zaanonsować cecher monsieur Blakeney, który przyjechał z Anglii na mecz krokietowy i nie rozegrał go z powodu fatalnej pogody! Pan generał uradowany był tą wizytą, pan de Kervoisin również. Ta przemiła wizyta była prawdopodobnie rezultatem złej pogody i odłożonego meczu krokietowego tych dwóch sprowadzonych przez Opatrzność czynników. No tak, niestety! Nie człowiek decyduje, tylko — deszcz!

Pan generał Naniescu był nader uprzejmy. Może pan Blakeney „pozwoli” cygaro. A może kieliszek koniaku? Nie? Czym zatem można służyć drogiemu panu Blakeney?

Piotr dał mu się wygadać. Gdy wreszcie potok słów ustał na chwilę, odezwał się: — Zatem powiem Ekscelencji teraz, co mnie sprowadza.

— Piotr mówił po francusku, bo pan de Kervoisin nie rozumiał po angielsku.

— Słucham pana, drogi panie Blakeney — wykrzyknął generał, otwierając ramiona, jakby chciał Piotra w nie porwać i ucałować.

— Generale — rzekł Piotr zimnym, stanowczym głosem — lady Tarkington napisała artykuły, na których panu tak zależy, że aż chciał pan za nie zapłacić 10 tysięcy funtów swemu najlepszemu szpiegowi.

Obaj mężczyźni doznali wrażenia, jakby piorun uderzył w pałac Imreyów, w którym się znajdowali. Naniescu opanował się jednak.

— Aa! — rzekł z obojętnym zdziwieniem — powiada pan, że lady Tarkington napisała te artykuły?

— Tak. Napisała je.

— No, to niewątpliwie pozwoli mi się zapoznać z treścią rękopisu, wiedząc jak bardzo mnie interesuje jej praca.

— Nie, generale — przerwał sucho Piotr — lady Tarkington nie ma zamiaru pozwolić panu zapoznać się z treścią tego rękopisu.

— Ach! Czy wolno mi zapytać, jaką drogą pan zdobył tę cenną informację?

— Udało mi się dowiedzieć — mniejsza o to, jaką drogą i czy ta wiadomość jest cenna — że lady Tarkington napisała te artykuły tytułem próby, po napisaniu ich postanowiła nie drukować tego tekstu i wrzucić go do pieca.

— Bardzo ciekawe. Ale niech pan daruje, mój drogi panie Blakeney, że jednak zapytam znowu, skąd pan to wie i co pana, pana osobiście, ta cała rzecz obchodzi?

— Odpowiem panu na to ostatnie pytanie — odrzekł Piotr zimno. — Dowiedziałem się jeszcze, mniejsza o to jak i kiedy, że pan zamierza zapłacić znaczną sumę za te artykuły i postanowiłem ubiec pańskiego najlepszego szpiega w sprzedaniu panu tego rękopisu.

— Ależ, drogi przyjacielu, jak pan może sprzedawać mi rękopis, którego pan nie posiada?

— Rękopis jest w moim posiadaniu, Ekscelencjo — rzekł Piotr lakonicznie.

— Jak to się stało, jeżeli wiedzieć wolno?

— Wolno wiedzieć: ukradłem go dziś rano.

— Co?!

Naniescu podskoczył tak, że o mało nie spadł z krzesła. Cygaro wypadło mu z ręki, łokciem przewrócił kieliszek, rozlewając koniak na biurku. Nawet pan de Kervoisin poruszył się żywo, blada jego twarz bez wyrazu oblała się rumieńcem. Jakkolwiek telefon naczelnicy poczty z Kis-Imre dał generałowi dużo do myślenia, to jednak na tę sensacyjną wiadomość nie był przygotowany.

Patrzył na Piotra i marszczył czoło, pragnąc tym sposobem ratować swą godność, mocno nadwreżoną poprzednim odruchem. Piotr siedział naprzeciw niego rozparty i śmiał się na cały głos.

— Bardzo niegrzecznie — pomyślał generał. Ale ci Anglicy nie mają manier, wiadomo.

— Pan mi nie bierze za złe mojej wesołości, panie generale? — zapytał grzecznie Piotr, hamując śmiech.

— Niech pan opowiada dalej — odrzekł Naniescu nadąsany.

— Mniejsza o pańskie maniery.

— Oczywiście że mniejsza o to, czego nie mam w ogóle — odrzekł Piotr pogodnie. — Ale nie mogę panu nic więcej opowiedzieć, bo nie mam już nic do opowiadania.

— Owszem, chciałbym wiedzieć, jak pan wykradł te papiery, nie mówiąc już o tym, że nie wiem, jak pan się dowiedział, że mnie są one potrzebne i że lady Tarkington napisała owe artykuły, poza tym interesuje mnie, pan pojmuje, miejsce przechowywania przez pana owych papierów.

— Nie rozumiem Ekscelencjo, co pana obchodzą te wszystkie rzeczy — odrzekł Piotr chłodno. — Tylko ostatnia rzecz jest dla pana ważna, mianowicie, gdzie się znajdują artykuły lady Tarkington. Otóż mam ten rękopis w kieszeni wraz z listem do „Timesa”, w którym to liście lady Tarkington prosi o jak najrychlejsze umieszczenie załączonego tekstu na łamach pisma. Jak pan widzi, przychodzę z propozycją całkiem konkretną.

— Muszę najpierw przeczytać te artykuły.

— Rzecz jasna — przyznał Piotr, wyjmując rękopis z kieszeni.

— Proszę.

Naniescu chciwie wyciągnął rękę po papiery, Piotr wręczył mu je ruchem pewnym i spokojnym, dodając:

— Zwracam uwagę, ekscelencjo, że bez listu do redakcji artykuły te są dla pana bezwartościowe.

Na twarzy pana de Kervoisin ukazał się wyraz złośliwego zadowolenia. Naniescu zdawał się nie słyszeć impertynencji. Rozparł się w fotelu i zaczął czytać uważnie. Od czasu do czasu podnosił głowę i mruczał przed siebie: Dobrze, bardzo dobrze nawet! — Po chwili zwrócił się do pana de Kervoisin z pytaniem: — Może życzysz sobie rzucić okiem, drogi przyjacielu?...

Francuz wzruszył tylko ramionami i odpowiedział z sarkastycznym uśmiechem:

— O, mój drogi przyjacielu, zbyteczne, jeżeli pan jest zadowolony...

Piotr milczał. Czekał cierpliwie na rezultat lektury, pozornie obojętny. Gdy generał skończył przeglądanie rękopisu, złożył kartki starannie, położył przed sobą na biurku, oparł mocno rękę na tych kartkach i zapytał:

— Ile pan za to żąda?

Piotr odpowiedział zimno i bez namysłu:

— Żądam aktu kupna-sprzedaży na moje imię majątku Kis-Imre. Naniescu przyjrzał mu się, jakby nie rozumiejąc o co chodzi.

— Zdumiewa mnie pan, młody przyjacielu, — powiedział wreszcie.

— Kis-Imre warte jest 50 tysięcy funtów.

— Zapłaciłem za prawo pierwokupu 5 tysięcy — odparł Piotr — a resztę zapłaci pan nie ze swojej kieszeni, generale.

— Nie z mojej kieszeni, oczywiście — odrzekł Naniescu — ale z kieszeni mego rządu. Sprzedamy Kis-Imre na rzecz rządu rumuńskiego.

— A czy tych papierów nie zakupi Ekscelencja również na rzecz rządu rumuńskiego?

— Ale te artykuły nie są tyle warte — powiedział Naniescu niechętnie.

Piotr wstał i wyciągnął rękę po rękopis.

— Niech pan nie będzie szaleńcem — fuknął Naniescu. — Zapłacę panu dobrze za te papiery, ale nie posiadłością oszacowaną na 50 tysięcy funtów, niechże się pan zastanowi.

Piotr uśmiechnął się:

— Nie przyszedłem się targować, tylko sprzedać, generale. Jeżeli panu moje warunki nie odpowiadają...

— Powoli, powoli, młody przyjacielu. Czy ja powiedziałem, że mi nie odpowiadają? Czy ja kategorycznie odmówiłem? Ale są względy...

— Jakie względy?...

— Po pierwsze, skąd ja wiem, że pisma angielskie przyjmą te artykuły jako autentyczną pracę lady Tarkington?

— Powiedziałem panu, że mam własnoręczny list lady Tarkington do redakcji „Timesa”.

— Proszę o pokazanie mi tego listu — odparł Naniescu.

— Z przyjemnością.

Piotr wyjął list z kieszeni, ale zanim go wręczył generałowi, rzekł sucho:

— Czy mogę ja z kolei przejrzeć te artykuły? Chciałbym sobie przypomnieć niektóre sformułowania.

Kervoisin zaśmiał się:

— Brawo, młody przyjacielu! — zawołał — zdumiewający są ci Anglicy.

Naniescu i Piotr wymienili papiery. Generał przeczytał list. W miarę, jak zbliżał się ku końcowi, spojrzenie jego stawało się coraz łagodniejsze.

— Stanowczo — mruknął — bardzo dobrze, bardzo!

Gdy przeczytał list do końca, spojrzał na Piotra. A zatem, panie Blakeney, ostatnia cena?...

— Powiedziałem panu — akt kupna-sprzedaży Kis-Imre.

— Pan żartuje.

— Nigdy w życiu poważniej nie mówiłem.

— Ależ, człowieku, niechże się pan zastanowi, że jeżeli panu sprzedam tę posiadłość, to nigdy się stamtąd nie pozbędę Imreyów. Piotr wzruszył ramionami i odrzekł chłodno:

— To już pańska rzecz, Ekscelencjo, nie moja!

— Ale przecież hrabina Imrey jest pańską ciotką.

— Co to ma wspólnego z całą transakcją, Ekscelencjo?

— Co to ma wspólnego? Co to ma...? Naniescu nie dokończył, oczy jego błądziły od Piotra do Kervoisina i z powrotem, zdradzał nieopisane zdumienie i zakłopotanie. Na Kervoisina spoglądał, jakby biorąc go na świadka tej okropności, na świadka czegoś, co przekraczało możliwości umysłowe tych dwóch panów zdolnych do każdej podłości. Ale Francuz siedział nieporuszony, uważnie wpatrzony w oblicze Piotra, Naniescu z ich twarzy nic nie mógł wyczytać.

— Zatem — wnioskował generał — pan chciałby, abym wygnał Imreyów z ich domu?

— Nie będzie to panu pierwszozna, generale — odparł Piotr z uprzejmym uśmiechem.

Dziwna rzecz, Naniescu tracił równowagę wewnętrzną. Artykuły te były mu niezbędne, a zapłacić za nie musiał w każdym razie z pieniędzy rządowych. Ale ten miody człowiek drażnił go niewymownie. Może urażona została w generale pycha „zawodowca”, który nagle znalazł się wobec braku skrupułów, wobec bezwzględności i zepsucia, przewyższających jego własne wyzucie z jego własnych cech ludzkich. Naniescu bowiem grabił i zabijał bez cienia wyrzutu sumienia, ale obcych, nie swoich, rodaków nie krzywdził, cóż dopiero własnych krewnych. A ten młody sportowiec o uprzejmym uśmiechu zdawał się nie wiedzieć w ogóle, co to jest sumienie. Szczytem tryumfu byłoby wyprowadzenie w pole podobnego indywiduum, cóż, kiedy teraz znowu Naniescu był w posiadaniu tylko listu, a tamten trzymał w żelaznej dłoni artykuły Uno, Kervoisin zaś był obecny, ale przerażony i nie mrugnął nawet okiem, by przyjść mu z pomocą.

Naniescu marzył o cudnej przyszłości, jaką mu zapewnią owe artykuły, wydrukowane na łamach „Timesa”. Puszczając wielkie kłęby dymu i tak zatopił się w tej radosnej kontemplacji, że aż zapomniał o rzeczywistości. Wtem zbudził go z uroczych snów szelest papieru: zobaczył, jak Piotr najspokojniej wkłada artykuły do kieszeni i bierze za kapelusz. — Halt! — krzyknął generał impulsywnie. — Zgadza się na pańskie warunki — zasadniczo — dodał po chwili.

— A faktycznie? — zapytał Piotr z zimną krwią, nie sięgając do kieszeni po rękopis.

— Dobrze, dobrze! — odpowiedział Naniescu niecierpliwie. — Ale sporządzenie aktu wymaga czasu...

— Bynajmniej — odrzekł Piotr spokojnie — pan mi da natychmiast urzędowy kwit na 45 tysięcy funtów, równowartość szacunku Kis-Imre. Konsul angielski i pański adwokat dopełnią pozostałych formalności.

— A kiedy pan chce otrzymać kwit?

— Jak powiedziałem: natychmiast. Naniescu spojrzał na przyjaciela:

— Co pan na to, drogi Kervoisin?

Ale Francuz nie drgnął nawet. Siedział wpatrzony w Piotra poprzez obłok dymu, nie wypuszczając z ust papierosa przez cały czas trwania tej niezmiernie ciekawej rozmowy.

Piotr zwrócił się do generała ze swym drażniąco uprzejmym uśmiechem:

— Może pan chce się jeszcze zastanowić nad moją propozycją?

— zapytał. — Mogę zaczekać kilka godzin.

— Nie! Idź pan do diabła! — wykrzyknął Naniescu rozwścieczony.

— Niech pan czeka na mnie tutaj. Za pięć minut wracam z kwitem. Zaklął jeszcze w kilku językach, zanim opuścił pokój.

\* \* \*

Piotr i Kervoisin siedzieli milcząco. Piotr przerwał w końcu to milczenie, czując oczy Kervoisina wlepione w siebie. — Czy pan się zastanawia, do jakiego właściwie gatunku zdrajców ja należę? — zapytał ze śmiechem.

Pan de Kervoisin uśmiechnął się:

— Nie jestem pewien, czy pan jest zdrajcą. Przyznaję, że pana nie rozumiem.

— Bardzo mi to pochlebia, proszę pana. Ale czy to nie jest jasne, że każdy chce się wzbogacić jak najmniejszym kosztem i wysiłkiem? Tego rodzaju zdobywanie posiadłości jest stale praktykowane na wielką skalę przez państwa i narody, dlaczego więc nie miałyby być dozwolone jednostkom?

— Te ogólne rozważania zupełnie mnie w danej chwili nie interesują. Ja po prostu nie wierzę, by pan ukradł papiery lady Tarkington w celu dokonania tej transakcji, w celu zostania właścicielem Kis-Imre, mówiąc dokładniej. Mogę się mylić, ale mi pan nie wygląda na człowieka zdolnego do tej brudnej roboty. Mam wrażenie, że pan dąży raczej za wszelką cenę do ocalenia swych krewnych, do oszczędzenia im jakichś bardzo niemiłych przeżyć.

— Bardzo pan o mnie pochlebnie myśli, zbyt pochlebnie.

— Zachodzi pytanie — ciągnął dalej Kervoisin — czy pan sobie tym posunięciem zjedna wdzięczność swej rodziny? Co skłoniło lady Tarkington do odwołania tych artykułów, do palenia ich? Czy się sama rozmyśliła, czy też rodzina Imreyów poprosiła ją o to, nie życząc sobie ocalenia za tę cenę?

— Myślę, że to drugie — odrzekł Piotr, wzruszając ramionami obojętnie.

— W każdym razie pan odegra tu rolę nieoczekiwanego wybawiciela, mój młody przyjacielu, nie wiadomo, czy ku ogólnemu zadowoleniu, czy też ku pańskiemu własnemu wyłączeniu.

— Nigdy nie byłem mocny w łacinie — rzekł Piotr z łobuzerskim uśmiechem — ale polegam ślepo na pana znajomości tego języka i na pana rozumowaniu, dla mnie trochę zbyt zawilemu.

De Kervoisin znów zamilkł.

— Ciekaw jestem — mruknął po chwili w zamyśleniu.

— Ależ, proszę pana, niech się pan nie męczy tą zagadką. Nie zasługuję na to, by o mnie myśleć.

— O! Młodość, przyjacielu, zawsze jest warta, by się jej przyglądać i nad nią zastanawiać. Dawne to lata, kiedy i ja byłem młody, ale tym bardziej tęsknię do nich i z tym większą ciekawością obserwuję dzisiejsze pokolenie. Otóż dręczy mnie zagadka, który z dwóch motywów jest przyczyną pańskiego działania.

— Który z dwóch motywów?

— Tak jest: miłość, czy nienawiść.

Piotr zamilkł, pan de Kervoisin ciągnął dalej:

— Widzi pan, my we Francji zawsze widzimy we wszystkim wpływ kobiety. Zna pan nasze powiedzenie: Szukajcie kobiety. Tutaj nie trzeba szukać daleko, prawda? A jednak miłość nie zdaje mi się być sprężyną tego pańskiego działania, z drugiej zaś strony — nienawiść...

Urwał nagle, mrugnął oczyma i uśmiechnął się sarkastycznie.

— Ach! Zdaje mi się, że rozumiem, nagle mi przyszła pewna myśl do głowy.

— Winszuję panu, że pan rozumie, bo ja nie mogę o sobie tego powiedzieć — odrzekł naiwnie Piotr.

Rozmowę tę przerwał powrót generała Naniescu.

— Niech pan rzuci okiem na ten dokument, drogi panie Blakeney — powiedział — mam nadzieję, że wszystko w porządku, co?

Piotr wziął do ręki papier i studiował go powoli i uważnie. Zarówno treść, jak podpisy i pieczęcie były w najlepszym porządku.



— Oczywiście — rzekł Piotr, składając papier wolno, pedantycznie — warunek, jaki postawiła panu lady Tarkington, pozostaje w dawnej mocy, tj.: po wydrukowaniu tych artykułów Filip Imrey i Anna Heves otrzymają natychmiastowe pozwolenie na opuszczenie Rumunii. To było wszakże podstawą pańskiego układu z lady Tarkington.

— Mogą wyjechać z Rumunii w dniu ogłoszenia drukiem ostatniego artykułu z niniejszego cyklu — odrzekł Naniescu ponuro. — Już ja to urządzę, że ten obłąkany Mariusz Imrey i jego żona wyjadą jednocześnie. Im rychlej się ich wszystkich pozbędę, tym lepiej dla mnie.

— Jestem tego pewien — odrzekł Piotr z wyszukaną uprzejmością w głosie. — A zatem zechce pan wydać mi odpowiednie paszporty dla całej ich rodziny. Może je pan oczywiście antydatować. Nie będę musiał już pana trudzić ponownie i narzucać panu mojej obecności.

— Bardzo pan uprzejmy. Antydatowane paszporty będą złożone do pańskiej dyspozycji w biurze. Może je pan odebrać w każdej chwili.

— Rozumiem — zakończył Piotr i podał generałowi artykuły Rosemary. — List do „Timesa” już panu wręczyłem — dodał. Naniescu skinął głową potakująco. Jego zły humor ustąpił od razu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Spełnienie snów było bliskie: podróż do Bukaresztu, podziękowanie osobiste króla, wyrazy uznania rządu, rozmowy na spotkaniach towarzyskich, posiedzeniach i hołdy na łamach prasy! Naniescu gotów był teraz przycisnąć Piotra do serca.

— Rozstajemy się jako przyjaciele, mój drogi panie Blakeney — rzekł uprzejmie.

— Oczywiście, jako najlepsi przyjaciele — potwierdził Piotr z niezachwianą powagą tym razem.

— A gdy pan obejmie Kis-Imre w posiadanie, mam nadzieję, że o mnie pan nie zapomni.

— Na pewno nie.

— Woli pan, by Imreyowie się stamtąd wynieśli, prawda?

— Możliwe — odrzekł Piotr wymijająco.

— Czy mógłbym coś jeszcze uczynić dla pana, być panu pożytecznym? — wypytywał się Naniescu z nagłą gorliwością.

— Nie, dziękuję panu, konsul angielski załatwi wszystko, co potrzeba.

— No, to nie będę pana dłużej zatrzymywał moją paplaniną, drogi panie Blakeney — mówił Naniescu z wyszukaną uprzejmością. — Niech mi wolno będzie życzyć panu długich i pomyślnych lat życia w tym pięknym kraju.

— Dziękuję panu. — Piotr nie uściskał ręki żadnemu z dwóch mężczyzn, ale Kervoisinowi rzucił przyjazne spojrzenie i kiwnął mu głową niemal serdecznie. Do generała zwrócił się jeszcze przed odejściem.

— Przypuszczam, że się pan orientuje, iż lady Tarkington zechce prawdopodobnie opuścić Transylwanię natychmiast?

— Tak jest, przyjacielu — odrzekł Naniescu z miłym uśmiechem.

— Orientuję się i już wydałem odnośne polecenia, ale jak to uprzejmie z pańskiej strony, że mi pan o tym przypomina!

Gdy wreszcie Piotr zamknął drzwi i znalazł się na korytarzu, generał rzucił się na krzesło i wykrzyknął: — Nie ma co mówić! Zdumiewający są ci Anglicy!

Nalał sobie kieliszek koniaku i wychylił go do dna.

— Czy pan już widział w życiu podobnie cynicznego opryszka?

— zwrócił się do pana de Kervoisin.

Ten jednak nic nie odrzekł. Siedział zadumany, patrząc na drzwi, za którymi znikł Piotr. Naniescu wyjął chusteczkę do nosa z kieszeni i starannie wycierał z potu czoło i szyję. — Czuję się zupełnie chory — mruknął. — Ach, ci Anglicy! Mój przyjacielu. Nie zna ich pan tak dobrze, jak ja. Przekonany jestem, że oni by sprzedali własnych ojców, matki, siostry, żony, gdyby transakcje te mogły im przynieść korzyść.

Kervoisin nie odpowiedział na to przemówienie ani słowa, po chwili zapytał niespodzianie: — Co pan teraz zamierza uczynić, aby ubiec piękną Uno i wydrukować te artykuły w „Timesie”, zanim ona zdąży je odwołać?

Naniescu uśmiechnął się z politowaniem.

— Co uczynię? Już uczyniłem wszystko, co było potrzebne, przyjacielu. Tej nocy odjeżdża do Londynu mój kurier z listem i rękopisem lady Tarkington. Przybędzie on do Londynu w poniedziałek wieczór.

We wtorek zatelefonuje do redaktora „Timesa”. Będzie udawał wysłańca lady Tarkington. Gdy wręczy mu jej list, poprosi o odpowiedź. Tę odpowiedź zatelegrafuje mi natychmiast. Wówczas będziemy wiedzieli, jak sprawa stoi.

Wychylił następny kieliszek koniaku i mówił dalej:

— Nie wątpię, że czarująca Uno ma już rzeczy spakowane i wybiera się dzisiaj w drogę do Anglii, ale...

Naniescu nie dokończył. Wyciągnął wygodnie nogi przed siebie i powiedział z wyrazem zadowolenia: — Sądzę, że zdziwi się pan bardzo, gdy się pan dowie, co ja zdziałiałem przez tę chwilę, gdy zszedłem do biura. Uno też się zdziwi — dodał mrugając złośliwie jednym okiem.

— A co słyhać z agentem Nr 10? — zapytał sucho Kervoisin.

— Nr 10 będzie najbardziej zdziwiony ze wszystkich — odrzekł wesoło Naniescu.

\* \* \*

W Kis-Imre dzień włókł się nieznośnie. Śniadanie, potem długie popołudnie, potem obiad. Wieczór minął, była już ciemna noc, a Elzy wciąż jeszcze nie było. Rosemary była gotowa do drogi, walizki miała spakowane. Zabierała ze sobą tylko część swego bagażu, mając zamiar powrócić, skoro tylko załatwi ważną sprawę z „Timesem”. Nie zgodziłaby się pod żadnym pozorem opuścić teraz Elzy na czas dłuższy. Nie miała złudzeń co do losów telegramu, nadanego przed południem. Pewna była, że został przejęty przez ludzi generała Naniescu, który oczywiście nie wypuścił takiej depeszy. Rosemary zamierzała więc nadać drugą depeszę tej samej treści co pierwsza, natychmiast po przejechaniu granicy węgierskiej.

Doprawdy plan Piotra wydawał jej się po namyśle nie tylko wstrętny, ale i naiwny. Czego on się spodziewał? Czy tak mało ją znał, myśląc, że jest bierna, bezsilna wobec losu? Przypuszczał, że ona siądzie z założonymi rękami i czekać będzie, aż ujrzy te okropne artykuły na łamach „Timesa”? Co za naiwność! Głupota! Ona była angielską poddaną. Miała angielski paszport. Żadna siła ludzka nie mogła jej przeszkodzić w dostaniu się do Londynu. Żadna siła! Nikt! I Gaspar też! Najmniej ze wszystkich ludzi — Gaspar!

Ale Elza nie wracała. Dziewiąta — dziesiąta — jedenasta. Jeżeli Elza nie przyjedzie w ciągu pół godziny, Rosemary nie będzie mogła wyruszyć do Londynu przed upływem 24 godzin. Bo raz na dobę tylko odchodził pociąg bezpośredni stąd do Budapesztu, pospieszny odchodzący o północy! Inne pociągi nie miały połączenia z „Orient-Expressem”, przy tym trzeba było się przesiadać kilka razy.

Rosemary nie mogła jechać, nie znając ostatecznej decyzji Elzy. Elza nie wróciła z wizyty u matki Anny, a one tu miały głos rozstrzygający, nie Rosemary. Koło jedenastej posłała Różę do Mariusza, pytając, czy może się z nim zobaczyć. Sądziła, że on ją poinformuje o projektach Elzy, o przyczynie jej przedłużającej się nieobecności. Przyjął ją natychmiast. Był zmieniony, krew cygańska silniej się teraz uwydatniała w rysach jego twarzy. Ale rozmawiał z Rosemary zupełnie trzeźwo i rozsądnie. Nie był niespokojny o Elzę, bo nie oczekiwał jeszcze jej powrotu.

— Prawdopodobnie pojechała najpierw do Cluju — mówił — by się zobaczyć z Filipem i Anną. Nie od razu, zapewne, uzyskała pozwolenie na

odwiedzenie dzieci w więzieniu. Potem dopiero udała się do Uljaku. Chciała zapewne poinformować Szarlotę, jak się ma Aneczka. Biedne dziecko! Biedne dziecko! — powtórzył, kiwając głową. — Czy to nie okropne? Taka miła dziewczyna. A mój Filip — mój Filip...

Zająknął się i mowa jego stała się cicha i niezrozumiała. Siostra miłosierdzia dała Rosemary znak oczami. Młoda Angielka podniosła się natychmiast. — Mój drogi panie Mariuszu — rzekła. — Nie chcę pana męczyć. Myślałam, że może pan wie coś konkretnego o planach Elzy. Ale jeżeli pan jest spokojny o nią, to mi w zupełności wystarcza.

— O tak, spokojny jestem zupełnie. Widzi pani, ona pojechała odwiedzić dzieci. Potem udała się do Uljaku. Końmi ta droga musi trwać bardzo długo...

— Nie przypuszcza pan, że Elza przenocuje w Cluju?

— Nie wiem, możliwe. Pojechała do Cluju, by się zobaczyć z dziećmi. Potem pojechała do Uljaku... Długa droga dla koni — Elza przenocuje zapewne u Szarlotty. Twarda kobieta — Szarlota, hm, hm... — Ale Aneczka jest przemiłym dzieckiem. A mój Filip... mój Filip...

Mariusz, mówiąc, patrzył przed siebie. Rosemary usiłowała mu wytłumaczyć, że pojedzie na kilka dni do Anglii w pilnych sprawach, ale nie może oczywiście odjeżdżać podczas nieobecności Elzy.

— Aa! Więc pani chce odjechać od nas, droga lady Tarkington? Tak chętnie bym pojechał z panią. Ale jestem chory, a przy tym mój Filip jest nieobecny...

Siostra miłosierdzia przerwała znów rozmowę, tym razem już nakazująco. Rosemary pożegnała chorego jak mogła najpogodniej, by nie dopuścić do rozrzewnienia. Ale Mariusz miał łzy w oczach, Rosemary wyszła z pokoju z ciężkim sercem.

Rosemary wpadła na pomysł spotkania Elzy w drodze, w Cluju na przykład, jeżeli tam nocuje. Poprosiła Gaspara, by się połączył z głównymi tamtejszymi hotelami i dowiedział się, czy stanęła w którymś z nich hrabina Imrey. Gaspar podjął się tego ze swą dawną uprzejmością. Ale nigdzie w Cluju Elzy nie widziano, a w Uljaku, niestety, nie było telefonu.

Następnego dnia — żadnych wieści od Elzy. Rosemary zaczęła się na serio niepokoić. Cierpiała z powodu niepewności i niemożności wyjazdu, tak pilnego przecież. Gaspar był na szczęście współczujący i pełen dobroci, jak dawniej. Nic nie przypominało tego strasznego, niezrozumiałego wybuchu, którego wspomnienia Rosemary nie mogła pozbyć się z pamięci wbrew najlepszym chęciom.

Gaspar zaproponował, że będzie jej towarzyszył, obawiał się bowiem, że Rosemary może mieć nieprzyjemności na granicy. Ona nie bała się, ufna w prestiż paszportu Wielkiej Brytanii, przy tym umiała sobie radzić, ale widząc jego zmartwienie, gdy zaprotestowała, zgodziła się, by z nią jechał.

Ale gdy ranek następnego dnia minął, nie przynosząc żadnej wiadomości o losach Elzy, Gaspar wysunął nowy projekt: zaproponował mianowicie Rosemary, że on pojedzie do Londynu w jej zastępstwie. Wycofa tam artykuły z „Timesa”, a gdyby Elza zmieniła zdanie, Rosemary uprzedzi go o tym telegraficznie.

Rosemary wahała się, nie bardzo umiała sobie uświadomić bieg własnych myśli, ale nie uśmiechała jej się ta propozycja. Gaspar sformułował za nią jej wątpliwości:

— Nie dowierzasz mi — rzekł ze smutkiem.

Znowu się zawahała sekundę, po czym ujęła rękę męża w swoje dłonie, wyrażając tym koleżeńską przyjaźń i powiedziała bardzo łagodnie:

— Uważam po prostu, mój drogi, że powinnam moje sprawy załatwiać samodzielnie, czy nie podzielasz mego zdania?

Gaspar tajał pod tym spojrzeniem. Jej słodki głos miał nad nim władzę wszechmocną.

— Powiedz mi, w czym ci mogę być użyteczny, ja chcę ci służyć — wyszeptał — tylko na miłość Boską nie opuszczaj mnie!

Był znowu miękki, miły, dobry, tak jak w pierwszych czasach ich krótkiego pożycia. Rozwahał z nią możliwości skomunikowania się z Elzą, porozumienia się z „Timesem”, odwołania artykułów, względnie zaś cofnięcia i tej dyspozycji z kolei, na wypadek zmiany decyzji ze strony Elzy.

Ale Rosemary nie mogła mu odpłacić sercem za serce. Doznała zbyt silnego wstrząsu, zbyt ciężko dotknęła ją jego brutalność, zraziła jego nieoczekiwana wulgarność. Przy tym nie mogła się pozbyć wizji jego bestialskiego wyrazu twarzy, który widziała wczoraj w lustrze. Gaspar intrygował ją i niepokoił. O poprzednim przywiązaniu, opartym na ufności i chęci odwdzięczenia mu się za doznawane dobro nie mogło być mowy, przynajmniej na razie. Zastanawiała ją dwoistość jego natury. Bała się jego pocałunków i czuła, że im się już nie podda prędko, a może i wcale. Dzisiaj był bardzo przyjazny i dobry dla niej, to przyznawała w duszy i z radością zgodziła się na jego propozycję, by pojechać samochodem do Cluju i dowiedzieć się tam, co się stało z Elzą.

— Jeżeli jej nie znajdę w Cluju — rzekł — pojedę do Uljaku. Koło ósmej będę z powrotem na pewno. Jeżeli przez ten czas Elza wróci inną drogą,

zawsze zdążymy wykonać nasze plany w zależności od decyzji, jaką przywiezie.

Było to pomyślane tak praktycznie, że Rosemary nie mogła się nie przychylić do tego doskonałego projektu. Odprowadziła go do miasteczka, gdzie garażował samochód, pożyczony mu przez generała Naniescu. Szofer był właśnie na miejscu, tak że Gaspar mógł wyruszyć natychmiast, Rosemary przyjaźnie uściśnięła mu dłoń na pożegnanie.

— Chciałabym mieć już za sobą dzień dzisiejszy — powiedziała. Gaspar był bardzo spokojny, jak zawsze. Sam sprawdził motor i siadł do kierownicy. Skinął głową raz jeszcze żonie i wóz znikł z oczu w tumanie kurzu.

\* \* \*

Generał Naniescu był zachwycony. Nr 10 siedział na wprost niego, zaskoczony, wściekły, przygnębiony. Naniescu poczęstował go cygarem, koniakiem, whisky z sodą, ale Nr 10 odrzucił wszelki poczęstunek i nie mógł wciąż jeszcze ochłonąć z wrażenia.

Nie miał pan prawa — powtarzał jęklwym głosem — nie miał pan prawa działać za moimi plecami.

Ale Naniescu był spokojny i wyszukanie uprzejmy. — Dlaczego nie miałbym prawa? Dlaczego, drogi przyjacielu? — pytał, okazując gestem zakłopotanie i pewną skruchę. — Rozumiem, że mimo woli zrobiłem panu przykrość, ale co by pan zrobił na moim miejscu? Nie wszedłby pan w układy z młodym Blakeneyem? Straciłbym wówczas bezpowrotnie te cenne artykuły. Lady Tarkington nie napisałaby ich po raz drugi, prawda?

— Powiedziałem panu, że wydostanę te artykuły i przyniosę je tutaj. Niech się pan spyta obecnego tu pana de Kervoisin, czy już kiedy skrewiłem, gdy coś obiecałem. Miałem rękopis przy sobie, gdy ten opryszek wpadł i wyrwał mi papiery z ręki. Niech go piekło pochłonie!

Naniescu rozparł się wygodnie i roześmiał się pobłaźliwie:

— Zgadza się z panem, przyjacielu, że ten Blakeney jest niezrównanym opryskiem. Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z tak do gruntu zepsutym, wyzutym z wszelkich skrupułów osobnikiem. Jest to podły bandyta, tak jest, podły, to jest jedyne właściwe określenie jego wstrętnego charakteru. Ale widzi pan, u was Anglików nie ma nic pośredniego, wszystko jest nieprzeciętne, wielkie: wielkie mocarstwo, wielka waluta, wielcy, nieprzeciętni bandyci! Tak, tak, wielcy bandyci! O! la, la!

— I dlatego — wtrącił sucho Nr 10 — ten wielki bandyta otrzymał od pana wielkie pieniądze za swą podłość, pan zaś okazał się, mój przyjacielu,

naiwnym rozrzutnikiem. Ja żądałem tylko 10 tysięcy funtów za ten sam rękopis.

— Czy pan twierdzi, że panu wiadoma jest suma, za którą sprzedał mi rękopis ów Blakeney? — zapytał Naniescu z najśłodszy uśmiechem. — Bo w języku pokerowym — ja bardzo lubię grać w pokera! — w języku pokerowym zatem nazywamy to, co pan robi w tej chwili, blefem. Pan nie wie, ile zapłaciłem Blakeneyowi za rękopis. Ale mogę panu to wyjawić, i owszem: nic mu nie zapłaciłem, tak jest, mój drogi przyjacielu, nic, nic!

Naniescu rytmicznym ruchem palców podkreślał każdą sylabę swej przemowy.

Ciesz się mnie to — odrzekł Nr 10 — bo tym łatwiej panu przyjdzie teraz zapłacić mi owe 10 tysięcy funtów.

Ta myśl ubawiła generała tak dalece, że o mało się z krzesła nie stoczył ze śmiechu.

— Niezrównani są ci Anglicy! — wykrzyknął, gdy nareszcie mógł mówić znowu. Dlaczegoż, na Belzebuba, miałbym panu wypłacić te 10 tysięcy, za co?

— Dlatego, że w przeciwnym razie artykuły te nigdy się na łamach „Timesa” nie pojawią.

— Aaa — zdziwił się szyderczo Naniescu. — Któż temu zapobiegnie?

— Ja, oczywiście.

— Pan? Doprawdy? W jaki sposób, chciałbym wiedzieć?

— To moja rzecz.

— Nie możesz tego zrobić, przyjacielu — rzekł Naniescu spokojnie.

— Nie zrobisz tego. Nie radzę ci zresztą.

— Czy to wyzwanie?

Nr 10 zadał to pytanie tonem spokojnym, nawet cichym. Zapalał jednocześnie papierosa, zgasił zapałkę, wrzucił ją do popielniczki i wtedy dopiero podniósł oczy na generała. Uśmiechnął się na widok jego niezdecydowanej i nieco wystraszonej miny, nad którą Rumun nie zdołał zapanować.

— Czy to wyzwanie? — powtórzył tonem ironicznym — niech pan uważa teraz na to, co powiem, przyjacielu: dwa lub trzy sąsiednie rządy zapłacą mi bez targu owe 10 tysięcy funtów za usługi, jakie dzięki memu pobytowi w Transylwanii mógłbym im oddać natychmiast. Jeżeli zatem chodzi o zarobek, to jest mi pan niepotrzebny, ale postąpił pan jak rozrzutny głupiec i będę musiał za to pana ukarać. Otóż chcę otrzymać umówioną sumę od pana, tylko od pana i ręczę panu, że w przeciwnym razie artykuły

lady Tarkington nie ukażą się w „Timesie”. Dziś jeszcze muszę podjąć w pańskim banku 10 tysięcy funtów, bo wszak pojmuje pan, generale, że my się wzajemnie nie możemy bawić w zaufanie!

Zaległo milczenie. Nr 10 od czasu do czasu rzucał ukradkiem porozumiewawcze spojrzenie na Kervoisina, który czytał książkę i nie zdradzał ochoty mieszania się w ten spór. Naniescu z przerażeniem wpatrywał się w twarz swego najważniejszego szpiega, na której malowało się teraz przerażające okrucieństwo, tak charakterystyczne dla tej fizjonomii.

— Niewiele mam czasu — zauważył zimno agent po kilku minutach milczenia — jeżeli pan podejmuje rzuconą przeze mnie rękawicę, wyjeżdżam do Londynu jeszcze dziś.

W żadnym razie nie zdąży pan — odparł Naniescu ze zjadliwym uśmiechem.

Nr 10 uśmiechnął się. — Sądzi pan? — spytał uprzejmie.

— Granica jest zamknięta.

— Czy pan jest tak pewien, że nie przejadę, iż zaryzykuje pan odmowę wypłacenia mi należności? — Naniescu zwrócił się do przyjaciela. — De Kervoisin... — zaczął prosząco, nieomal, błagalnie.

Pan de Kervoisin wzruszeniem ramion okazał, że go dyskusja ta nie dotyczy osobiście i że nie życzy sobie być w nią wciągnięty.

— Pan de Kervoisin — rzekł z uśmiechem Nr 10 — zna moje metody. Podczas wojny przekraczałem wiele granic lepiej strzeżonych niż rumuńska i pokonałem wszelkie przeszkody, a bywało wówczas gorąco!

Naniescu walczył ze sobą. Ten łotr był zdolny pokrzyżować mu plany! A przecież 10 tysięcy funtów była to szalona suma! No, ale sumę tę wyjąłby z zasobów państwowych, z tajnych rezerw służby wywiadowczej, nie z własnej kieszeni. Cierpiała głównie jego miłość własna. Ale co znaczy miłość własna, skoro jego cudowne marzenia, które wczoraj zrodziły się na nowo, zostaną unicestwione?

Spróbował potargować się jeszcze.

— Jaką będę miał gwarancję, płacąc panu, że te artykuły się ukażą?

— Żadnej — odrzekł zimno Nr 10, — ale nie płacąc mi, ma pan gwarancję, że się nie ukażą.

Pan de Kervoisin odłożył książkę i wybuchnął śmiechem.

— Ostrożnie, przyjacielu — powiedział wesoło do szpiega — generał zaczyna tracić swój dobry humor, może się pan znaleźć pod kluczem za dwie minuty, irytując go zbyt mocno.



— Nie sędę — odparł Nr 10 — niech pan sobie wyobrazi hałas, jaki by powstał w prasie angielskiej po aresztowaniu poddanego Wielkiej Brytanii.

Nie argumentował dalej, sam Naniescu rozumiał niemożliwość takiego posunięcia.

— Mógłby mnie nasz przyjaciel raczej kazać zamordować, to byłoby znacznie łatwiejsze — ciągnął dalej Nr 10, zwracając się poprzez generała do pana de Kervoisin — ale i to przedstawia poważne ryzyko. Znacznie pewniejszą rzeczą jest wypłacenie mi z tajnych rezerw 10 tysięcy funtów. Jest to nawet tańsze załatwienie sprawy.

Naniescu ustąpił. — Niech cię diabli wezmą, dostaniesz pieniądze! — ryknął nagle, zapominając o swej dotychczasowej uprzejmości.

— Proszę zaraz posłać kogoś do banku po pieniądze — rzekł Nr 10 zimno — wolę gotówkę niż pański czek.

Następnie zwrócił się do pana de Kervoisin i wziął do ręki książkę, którą tamten przed chwilą odłożył. — A! — odezwał się zupełnie zmienionym tonem. — Ostatnie wydanie Marcela Prousta. Jest pan wytrawnym filozofem, drogi panie.

Przerzucił kartki książki i zdawał się być nimi pochłonięty, a całkiem obojętny na obecność Naniescu i na losy owych ciężko wywalczonych 10 tysięcy funtów.

Generał wypełnił czek na bank anglo-rumuński, zadzwonił, polecił zrealizować go natychmiast i przynieść pieniądze tu, do tego pokoju. Ostatecznie pogodził się już wewnątrz z tą transakcją. Artykuły z podpisem Uno podniosą jego prestiż osobisty i przyczynią się do dalszej kariery. Widział się już w przyszłości ministrem wojny.

Nr 10 i pan de Kervoisin rozmawiali z ożywieniem o Marcelu Prouście. Naniescu palił cygaro i marzył o swej chwale, o hołdach i o władzy.

Gdy pieniądze przyniesiono, wręczył je agentowi bez cienia żalu.

— W czwartek zatem — powiedział Nr 10 ujrzy pan pierwszy artykuł na łamach „Timesa”. A propos, co pan zamierza uczynić z Imreyem i z tą dziewczyną?

— Odeślę ich do granicy, gdy ostatni artykuł wyjdzie z druku, to się samo przez się rozumie, ja nigdy nie cofam danego słowa — odrzekł dumnie Naniescu.

— To by się zresztą na nic nie zdało. Lady Tarkington ma tę obietnicę na piśmie i podniosłaby wielką wrzawę, gdyby pan złamał słowo. Nie o to mi szło. Radzę panu tylko mieć tymczasem pilne baczenie na tych dwoje wichrzycieli.

— O! Gdy się ich pozbędę z kraju, wszystko mi jedno, co będą robili. Zwłaszcza, że będą unieszkodliwieni tymi pięknymi artykułami.

— Ale przecież hrabiego i hrabinę Imrey wysyła pan również za granicę?

— Dlaczego pan tak przypuszcza?

— No, przecież Blakeneyowi zapłacił pan pałacem i majątkiem Kis-Imre za rękopis?

— Co! Skąd pan wie o tym?

— Nie wiem — odparł Nr 10 sucho — domyśliłem się tylko, a pan wpadł w pułapkę.

— A jeżeli tak jest, to co panu do tego?

— Nic mi do tego, istotnie. Raz jeszcze pana ostrzegam. Niech pan dobrze pilnuje Imreya i dziewczyny i niech pan zwłaszcza śledzi tego gagatka Blakeneya.

— Myślałem już sobie — odparł Naniescu, marszcząc brwi, — że ten opryszek prowadzi prawdopodobnie podwójną grę, toteż kazałem przenieść Imreya i Annę Heves do Sótu.

— Sót! Czy nie jest to miejscowość położona niedaleko granicy węgierskiej?

— Tak jest, o 30 kilometrów od granicy.

— Dlaczegoż więc wybrał pan Sót?

— Mamy tam zamek, który zamieniliśmy na więzienie dla przestępców politycznych. Jest to miejsce izolowane zupełnie, co sprzyja ewentualnym egzekucjom, gdyż manifestacje publiczne na tym odludziu są nie do pomyślenia. Sąd wojskowy ma siedzibę w Sócic i tam przesłuchuje oskarżonych, no a jeżeli musi skazać na śmierć, to wszystko odbywa się bez niepotrzebnego hałasu.

— Rozumiem — Nr 10 podniósł się z krzesła. — Nie będę pana dłużej trudził. Może pan być pewien, że nie będę panu przeszkadzał w krokach, jakie pan niezawodnie już poczynił w celu uniemożliwienia lady Tarkington pogoni za rękopisem.

— I tak nie byłby mi pan przeszkodził — mruknął Naniescu niechętnie.

— Jeszcze nie za późno, możemy się zmierzyć, przyjacielu. Jeżeli pan żałuje dokonanej ze mną transakcji, to... — Nr 10 wyjął z kieszeni plik banknotów otrzymanych przed chwilą i wyciągnął rękę z pieniędzmi w stronę generała.

— O! Idź pan do diabła! — wykrzyknął Naniescu wściekły, ale i ubawiony mimo woli.

— Mam nadzieję wkrótce pana spotkać w swoim towarzystwie — dodał z ironią Nr 10 i pożegnał obu mężczyzn.

Skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, Naniescu zwrócił się do swego przyjaciela z pytającym spojrzeniem. Ale de Kervoisin już wrócił do swej lektury i zdawał się być w niej głęboko zatopiony. Marcel Proust pochłonął całkowicie jego uwagę. Naniescu westchnął. Nr 10 był intrygującą osobistością, a nie było z kim podyskutować na temat tej pożytecznej, a dziwnej i niezbyt etycznej działalności.

\* \* \*

Rosemary powitała męża serdeczniej niż kiedykolwiek. Wybiegła mu naprzeciw i wyciągnęła do niego rękę ruchem pełnym radości i nadziei.

— Jakież wieści? — zawołała.

Oczy jego rozblęły na jej widok. Zeskoczył z samochodu i podniósł do ust obie jej ręce. — Wieści niezbyt pocieszające, niestety — odrzekł — po pierwsze, Imrey i Anna są przeniesieni do Sótu.

— Co to jest, Sót?

— Jest to więzienie dla przestępców politycznych, położone między Clujem a granicą węgierską.

— Kto ci to powiedział?

— Naniescu. Widziałem się z nim przelotnie, był bowiem bardzo zajęty z powodu pobytu w Cluju ministra spraw wewnętrznych, który przyjechał z Bukaresztu na kilka dni.

— Czy Naniescu widział Elzę?

— Nie. Ale wносиła podanie przedwczoraj o pozwolenie odwiedzenia dzieci w więzieniu, Naniescu odpowiedział przychylnie i przypuszcza, że Elza pojechała do Sótu.

— Jeżeli nawet — rzekła Rosemary zamyślona — to powinna by już być tutaj, albo też byłaby depeszowała.

— Nie sądzę, by jej to było pozwolone — powiedział Gaspar z pewnym wahaniem.

— Dlaczego? — Widzisz, droga moja — odparł — Naniescu udzielił mi jeszcze jednej wiadomości: w imieniu swego rządu sprzedał definitywnie Kis-Imre Piotrowi Blakeney.

Rosemary zamilkła. Po chwili spytała, jak ktoś, co nie słyszał poprzedniej uwagi:

— Czy ekspres nocny staje w Sócie?

— Owszem — odparł Gaspar.

— W takim razie mogę się zatrzymać i tam się zobaczyć z Elzą. Ona tam jest na pewno. Czy pytałeś o nią w Uljaku?

— Tak, była tam najpierw, po czym udała się do Cluju.

— Czy trwasz w zamiarze towarzyszenia mi?—zapytała Rosemary.

— Naturalnie, jakżeby mogło być inaczej? — odpowiedział pogodnie.

— Sądziłam, że jesteś może zbyt zmęczony po tej bieganinie!

— O, droga moja! Nie jestem zmęczony, gdy jestem w twoim towarzystwie.

Chciał chwycić jej rękę, ale usunęła się szybko. — Zatem pojedziemy twoim samochodem, to mnie uniezależni od rozkładu pociągów, a może zdążę jeszcze dzisiaj na ekspres, wychodzący z Cluju o północy.

Tragedia pałacu Kis-Imre i jego mieszkańców dosięgła punktu kulminacyjnego przed samym obiadem. Rosemary usłyszała w swoim pokoju odgłos dyskusji, jak jej się zdawało, burzliwej, rozróżniała głosy Gaspara i Antoniego, poza tym słychać było jakiś głos obcy, jakiś zgiełk. Otworzyła drzwi i zobaczyła przez poręcz schodów kilku żołnierzy i oficera, a między nimi mężczyznę w cywilnym ubraniu, który trzymał w ręku jakiś papier z wielkimi pieczęciami urzędowymi i tłumaczył coś Gasparowi.

— Żałuję bardzo, milordzie, ale muszę spełnić rozkaz — mówił ten człowiek — nie wolno mi się wdawać w dyskusję z panem.

Gaspar chciał protestować znowu, mężczyzna nie dał mu dojść do słowa.

— Jeżeli panu na tym zależy, mogę się zgodzić, by pan się widział z hrabią Imreyem najpierw i przygotował go na tę wiadomość, ale rozkaz musi być doręczony do rąk własnych hrabiego.

Rosemary błyskawicznie zbiegła na dół.

— Co się stało, Gasparze? — zawołała.

— Przyszedł nakaz wywłaszczenia i eksmisji — odrzekł krótko. — Mariusz ma opuścić pałac w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Ależ to niemożliwe! — krzyknęła rozpaczliwie.

Zwróciła się do oficera, który trzymał się dotychczas na uboczu.

— Wszystko to polega na omyłce — rzekła wyniosłym tonem — zamieniono widocznie nazwiska. Hrabia Imrey jest wiernym poddanym króla rumuńskiego. Nie popełnił nigdy najmniejszej nielojalności względem rządu i nigdy też nie zaciążyło na nim najlżejsze podejrzenie.

Oficer zaśmiał się tylko i wzruszył ramionami, urzędnik cywilny zaś odrzekł:

— Oni wszyscy to twierdzą, milady. Kwestia nie dotyczy pani ani lorda Tarkingtona, nakaz eksmisji jest zaś podpisany przez Jerzego Ekscelencję Gubernatora — własnoręcznie!

Nigdy jeszcze Rosemary nieczuła się tak bliska utraty przytomności. Gdy oficer dodał:

— Tu się wprowadzi nowy właściciel pałacu. — Rosemary doznała wrażenia nagłej próżni pod stopami, pociemniało jej w oczach, oparła się instynktownie o ścianę, ale w tej chwili Gaspar otoczył ją silnym ramieniem i podtrzymał.

Nowy właściciel! Przecież to był Piotr! Piotr, zdrajca najoczywistszy swego rodu, nazwiska matki, jej ojczyzny! A świat mimo to istnieje i nikt wokoło nie zdaje się być przerażony tą potwornością, w imię której ci ludzie przyszli dręczyć złożonego ciężką niemocą pana Kis-Imre?

— Gasparze, jego to zabije — westchnęła Rosemary, patrząc błagalnie na męża.

— Polegaj na mnie, maleńka — odpowiedział cichym, czułym głosem, pochylając się ku niej i dotykając wargami jej czoła. — Pójdę do niego i mam nadzieję, że potrafię mu tę wiadomość podać w takiej formie, że przetrwa i to jeszcze, nie tylko przeżyje, ale nie postrada rozumu do reszty, co byłoby nie mniej okropne.

Gdy Gaspar poszedł do Mariusza, Rosemary uprzytomniła sobie, jaka straszna odpowiedzialność ciąży na niej: jej artykuły, wykradzione przez tego niecnego Piotra — o jakże ciężko, jak okropnie tak go w myślach nazywać — stanowić będą usprawiedliwienie podobnych czynów jak obecny, będą obroną rządu rumuńskiego, jego konfiskat, rabunków, ucisku ludności węgierskiej! Kto wie, ilu jej przyjaciół pomyśli, że działała z własnej, nieprzymuszonej woli i nigdy nie uwierzą, że napisała je pod presją, warunkowo, a ogłosiła drukiem pomimo woli, przypadkiem, wskutek podłości silniejszej niż jej prawość i uczciwość.

Zerwała się: Gaspar schodził ze schodów w towarzystwie Mariusza. Chory był ubrany starannie, zachowywał się całkiem spokojnie, miał nawet pogodny wyraz twarzy. Przeczytał dokument urzędowy wręczony mu natychmiast przez urzędnika i zwrócił się do niego bardzo grzecznie.

— Rozumiem doskonale motywy tego rozporządzenia — rzekł — gdybym ja kupił jakiś dom, też chciałbym w nim zamieszkać i to jak najrychlej. Może trochę mniej bym się spieszył — dodał z uśmiechem — ale wiadomo, że według angielskiego przysłowia czas to pieniądz, prawda, panowie? Dziękuję panom za ich kurtuazję względem mnie i moich gości.

Oczywiście zastosuję się do rozporządzenia, nie mam zresztą innego wyjścia.

Rosemary oczom i uszom nie wierzyła. Rumuni pożegnali się ze zwykłą sobie uprzejmością, sztuczną i nieszczerą w tej nieodpowiedniej chwili. Żołnierze stanęli na baczność, Mariusz zaś odprowadził oficera i urzędnika cywilnego do drzwi: jeszcze dziś był panem tego domu i ostentacyjnie to podkreślał swym zachowaniem, gdy wrócił do pokoju bilardowego, śmiał się głośno.

— Czy widzieliście kiedy podobną świnie? — zapytał wesoło, przepraszając natychmiast Rosemary za swe wyrażenie.

— Pan to tak mężnie znosi, drogi panie Mariuszu — wyszeptała Rosemary z podziwem — ale co Elza?...

— Ona mnie już na to przygotowała, otrzymałem od niej list, w którym pisze mi, jakie jej rzeczy mam zapakować. Oczywiście żona moja zabiera całą swą biżuterię i kilka drobiazgów pamiątkowych. Mam 24 godziny czasu na pakowanie przy pomocy Antoniego i Róży...

— Ale drogi panie Mariuszu...

— Dziwi panią mój spokój, droga lady Tarkington — przerwał z kolei Mariusz ze smutnym uśmiechem. — Urodziłem się i wychowałem w tym domu, to prawda, ale ostatnio tyle cierpienia i bólu zagnieździło się w tych murach, że chętnie się do nich jak najrychlej odwrócę plecami.

— Ale czy Elza podziela te uczucia?

— Całkowicie. Pisze w tonie najzupełniej zrezygnowanym i spokojnym.

— Kiedy miał pan wiadomość od niej?

— Pisała wczoraj, otrzymałem jej list dziś przed południem. Jak pani widzi, nie byłem zaskoczony.

— Ale gdzie przebywa Elza w tej chwili — nalegała Rosemary.

— Pisała do mnie z Sótu. Widziała się z Filipem i z Anną. Stamtąd miała jechać do Hódmeze. Obecnie jest z pewnością na Węgrzech, jest bezpieczna. Niech Pan Bóg da, byśmy jak najszybciej byli razem.

Mówił spokojnie, jasno, bez tego urywania zdań i jąkania się, które wczoraj jeszcze tak niepokojąco oddziaływały na Rosemary. Ale młoda Angielka nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju. Coś dziwnego i tajemniczego było w tym wszystkim, chociaż pozornie i zdarzenia, i postawa hrabiego Mariusza wobec nieuchronnego Fatum dawały się uzasadnić rozumowo. A jednak Rosemary miała jakieś straszne przeczucie, nie umiała sobie wytłumaczyć — czego? — sama nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Rozległ się dzwonek wzywający na obiad. Mariusz gorąco przeproszał Rosemary za stratę czasu, jaką poniosła z jego powodu, a przecież miała jeszcze dużo do pakowania. Uspokoila go, że wszystkie jej rzeczy są już spakowane i że przed jedenastą nie wyruszy wraz z Gasparem, ponieważ jadą samochodem.

— A, w takim razie — rzekł Mariusz i podał jej ramię — możemy iść do stołu. Będę miał jeszcze przez dwie lub trzy godziny przyjemność przebywania w towarzystwie państwa.

Gaspar przez cały ten czas zachowywał dziwne milczenie. Widać było, że był szczerze zdumiony i że obserwował Mariusza bacznie i jakby niedowierzająco. Podczas obiadu rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych i ogólnych. Był to pierwszy od czasu choroby posiłek, spożywany przez Mariusza w sali jadalnej.

— Najbardziej żałuję droga lady Tarkington — mówił, — że nie będę mógł pani tu oczekiwać, gdy pani powróci z Anglii. Ale może się spotkamy w Budapeszcie, co? Elza tęskni bardzo za panią.

— Przerwywam moją podróż w Hódmeze — oznajmiła Rosemary.

— I prawdopodobnie pozostanę tam 24 godziny, by doczekać się pana przyjazdu.

Przyszło jej na myśl, że z Hódmeze będzie mogła zatelegrafować natychmiast do „Timesa”, a w każdym razie porozumieć się definitywnie z Elzą.

— W Hódmeze są dwa dobre hotele — informował ją uprzejmie Mariusz. — Elza stanęła w „Bristolu”. Szumna nazwa jak na zajazd w prowincjonalnej dziurze, ale o ile mi wiadomo, jest tam czysto i wygodnie. Tam też mieszkali zawodnicy krokietowi tydzień temu.

— Dziękuję panu, nie zapomnę o „Bristolu”, na pewno tam zajadę — mówiła Rosemary z pewnym wysiłkiem — nie opuszczę Elzy, dopóki pan nie przyjedzie. Może lżej jej będzie czekać i cierpieć, gdy nie zostanie przez całą dobę tak zupełnie sama.

— O! Pewien tego jestem!

— Jaką drogą przyszedł list od niej? Poczta?

— Nie, przysłała z Sótu wieśniaka, tutejszego chłopca, który tam mieszkał jakiś czas, a teraz właśnie wracał. Zna go pani, droga lady Tarkington, jest to jeden z synów Janosa, młynarza.

Rosemary ugryzła się w język, chciała już wykrzyknąć:

— Wszak to jeden z tych zacnych chłopców, którzy ułatwili ucieczkę, niestety nieudaną, Filipowi i Annie, ale spostrzegła, że nie należy

przypominać Mariuszowi tego, co się nie powiodło. Tymczasem ku jej zdumieniu, Mariusz sam powiedział:

— Pamięta pani tych poczciwych chłopców, którzy pomogli w ucieczce dzieci. Nasza próba spełzła na niczym — dzieci są obecnie w więzieniu w Sót — ale ci chłopcy przedostali się przez granicę, pozostali w Hódmeze przeszło tydzień, a teraz tu wrócili zdrowi i cali.

— Bogu dzięki i za to — rzekła Rosemary z powagą — nie cierpieli za swoje poświęcenie.

— I mnie to cieszy — powiedział Mariusz obojętnie — ale Rumuni chłopów boją się drażnić. Pastwią się nad arystokracją rodową i nad inteligencją, bo to są warstwy, które nie zrobią rewolucji ani powstania narodowego z bronią w rękę.

Rosemary była smutna i milcząca, natomiast Mariusz zaczął mówić o polityce i tu Gaspar dotrzymywał mu kroku. W tej dyskusji Mariusz parę razy stracił swój zdumiewający dotychczasowy spokój i nawet ze dwa razy ostro się odezwał. Tylko dzięki taktowi Gaspara i łagodzącemu wpływowi Rosemary udało się zażegnać burzę, a bodaj i atak sercowy. Ale Rosemary z ulgą poznawała dawnego Mariusza, te wybuchy były u niego mniej nienaturalne niż ten dziwny, zatrwajający spokój. Ale gdy rozmowa schodziła na tory bardziej osobiste, gdy wymieniano imiona Elzy lub Filipa, zaszywał się znowu w chłodną, nieprzystępną obojętność.

Punktualnie o jedenastej zajechał samochód. Rosemary, schodząc na dół w podróżnym kostiumie, zastała pana domu oczekującego na nią w holu. Pożegnała go bardzo serdecznie.

— Do zobaczenia wkrótce, — powiedziała — na Węgrzech!

— Tak jest, na Węgrzech, — odparł — jaki ja będę szczęśliwy, gdy już tam będę!

Uścisnął również bardzo gorąco dłoń Gaspara.

— Martwi mnie, że nie mieli państwo u nas tak miłego pobytu, jakbyśmy tego byli pragnęli — rzekł.

— Przy następnym naszym spotkaniu będziemy wszyscy lepszej myśli — dodał Gaspar, sadowiąc się w samochodzie obok żony.

Samochód ruszył i przejechał przez bramę parku. Rosemary obejrzała się i zobaczyła jeszcze raz Mariusza, stojącego w świetle latarni elektrycznej i wymachującego ręką w ich stronę, życzącego im widocznie w ten sposób szczęśliwej drogi.

Rosemary odjechała samochodem do Cluju. Tutaj Gaspar namówił ją do wzięcia przedziału sypialnego w ekspresie, na który jeszcze zdążyli w samą



porę. Zgodziła się, była bardzo zmęczona. Usnęła widocznie niebawem w kącie przedziału, bo nagle drgnęła i otworzywszy oczy, rozejrzała się zdziwiona. Zorientowała się: jechali do Hódmeze, Gaspar siedział w przeciwnym kąci i miał zamknięte oczy, ale Rosemary miała wrażenie, że on nie śpi. Nie kazali posłać łóżek na noc, byłoby to wygodniejsze, zapewne. Ale zdecydowali się podróżować, siedząc na wyściełanej ławeczce, nie kładąc się spać, nie widząc możliwości wzięcia kąpieli nazajutrz rano.

Rosemary wyjrzała przez okno. Pociąg stał na małej stacyjce, przed drzwiami dworca stało dwóch żołnierzy, nieruchomych jak posągi. Dokoła panowała niczym nie zmacona cisza. Rosemary zasunęła firankę i usiłowała umieścić się jak najwygodniej na twardych poduszkach wagonu. Zamknęła oczy i czekała na upragniony sen, ale daremnie. Nie mogła już usnąć, była dziwnie zdenerwowana. Po półgodzinnym postoju odsunęła znów firankę i wyjrzała przez okno. Wciąż ta sama stacyjka, ci sami dwaj żołnierze, cisza, tylko od czasu do czasu odgłos kroków na asfalcie i jakby stłumionych szeptów ludzkich. Rosemary nie zapanowała nad potrzebą wymiany zdań z drugim człowiekiem i zawołała:

— Gasparze!

Momentalnie otworzył oczy. — Co kochana moja? — zapytał. — Gdzie jesteśmy? — dodał, przeciągając się leniwie.

— Jesteśmy na jakiejś małej stacji Gasparze. Już przeszło pół godziny tu stoimy. Czy spałeś?

— Przypominam sobie, że ten przekłety pociąg trząsał niemiłosiernie. Musiał mnie ukołysać w końcu. Ciekaw jestem, gdzie się znajdujemy.

— Musimy być niedaleko granicy. Myślałem, że zażądają od nas paszportów, albo nas przyjdą rewidować dla formy, ale nie, nie ma nikogo.

— Mam nadzieję, że nie ma uszkodzenia na linii.

— Moja droga! — wykrzyknął Gaspar trochę zniecierpliwiony — dlaczego by miało być uszkodzenie na linii dzisiaj właśnie? Zapewne linia jest po prostu zajęta i czekamy na sygnał, że można ruszyć.

Ale Rosemary nie zadowolili ten komentarz. — Czy nie zechciałbyś — prosiła — zobaczyć, czy ci się nie uda zasięgnąć języka? Cóż ja poradzę, że jestem dziś taka zdenerwowana? A...

Gaspar, nie dając jej kończyć zdania, zerwał się natychmiast ze zwykłą sobie kurtuazją i usłużnością. — Co to jest, kochanie, że ty, taka opanowana i rozsądna istota, dzisiaj poddajesz się nerwom? — zapytał czule. — Ale naturalnie, że idę niezwłocznie, by uspokoić moją panią. Zaraz wracam.

Zapalił światło w przedziale, poprawił na sobie ubranie i wyszedł na zewnątrz. Rosemary wychyliła się przez okno i patrzyła za nim. Stał chwilę przy pociągu i spoglądał w kierunku lokomotywy. Dokoła nie było żywej duszy. Poszedł więc w głąb budynku stacyjnego. Kilka minut upłynęło, wreszcie Rosemary zobaczyła go przed wagonem: wracał w towarzystwie konduktora.

— Co się stało, Gasparze? — zawołała przez okno — gdzie jesteśmy i dlaczego tak długo stoimy? Gaspar stanął wraz z konduktorem przed oknem wagonu. — Zła wiadomość, maleńka — powiedział łagodnie.

— Jesteśmy w Sócie, ale istotnie jest uszkodzenie dość poważne: wskutek ostatniej burzy część toru została podmyta i nie ma przejazdu na długości pół kilometra co najmniej. Dla nas pociąg nie może przejechać, powtarzał uparcie, nie można było wydobyć z niego ani słowa więcej. Czy jest inny sposób przedostania się przez granicę węgierską, może jakąś boczną linią? Konduktor nie wiedział, nie był z tych stron. Zaproponował, że jeżeli łaskawa pani pozwoli, to on pościeli państwu łóżka w przedziale lub nawet w dwóch przedziałach. W całym pociągu nikt prócz nich nie jedzie...

Jedno tylko słowo dotarło do świadomości Rosemary: zwłoka. Zapytała konduktora: co się zdarzyło, czy nie można będzie przejechać tej nocy? Nie wiedział, rozmowny nie był, wciąż tylko potrząsał głową i wzruszał ramionami. Żaden pociąg nie może przejechać, powtarzał uparcie, nie można było wydobyć z niego ani słowa więcej. Czy jest inny sposób przedostania się przez granicę węgierską, może jakąś boczną linią? Konduktor nie wiedział, nie był z tych stron. Zaproponował, że jeżeli łaskawa pani pozwoli, to on pościeli państwu łóżka w przedziale lub nawet w dwóch przedziałach. W całym pociągu nikt prócz nich nie jedzie...

— Nikt prócz nas nie jedzie — przerwała Rosemary. — Co to znaczy Gasparze? Przecież muszą być jeszcze inni pasażerowie w pociągu. Gdzie się podzieli?

Gaspar zwrócił się z tym pytaniem do konduktora.

— Ostatni podróżny wysiadł właśnie tutaj, łaskawa pani. Gdy się rozeszła wieść, że tor jest uszkodzony, nikt nie brał biletu aż do granicy, każdy wstrzymywał się od podróży lub jechał najdalej do Sótu.

— Jak to?! A kiedy się ta wieść rozeszła?

— Zanim wyjechaliśmy z Cluju, łaskawa pani, i...

— Ale nam sprzedano bilety do Budapesztu i nic nam nie powiedziano o uszkodzeniu toru — zaprotestowała Rosemary, biorąc męża na świadka. — Gasparze, czy ten człowiek oszalał, czy też łże bezczelnie? Przecież wzięłeś bilety do Budapesztu, prawda? Czy powiedziano ci, że tor jest uszkodzony?

— Nie — odrzekł Gaspar — nic mi nie powiedziano.

— A nasz bagaż? — Nie mamy przecież bagażu w towarowym wagonie, mamy tylko podręczne walizki. — Ach! Prawda! Po prostu zgłupiałam! Ale gdy dziurkowano bilety?... — Też nic nie powiedziano.

Rosemary zniecierpliwiona, zdenerwowana do ostateczności, zwróciła się do konduktora:

— Widzieliście przecież nasze bilety. Dlaczego nie ostrzeżliście nas zawnazasu?

— Sądziłem, że państwo chcą jechać do Cluju, przenocować i ruszyć w dalszą drogę, gdy będzie to możliwe. Nie przyszło mi do głowy, że państwo mogą nie wiedzieć o czymś, o czym wiedzieli w Cluju wszyscy od dwóch dni.

— Mówiliście, że wiadomość o uszkodzeniu toru przyszła na chwilę przed odejściem pociągu! Mniejsza o to zresztą! Czy można dostać samochód, który by nas zawiózł do Hódmeze?

— Nie o tej godzinie, łaskawa pani.

— A może znalazłyby się konie i jakikolwiek pojazd? Konduktor potrząsnął głową przecząco. Rosemary była bliska rozpaczy, gdy rozległ się spokojny, chłodny głos Gaspara:

— Maleńka, ja sądzę, że najrozsądniej będzie kazać sobie przygotować łóżka w wagonie na tę noc i zaczekać do rana. Jesteśmy na razie bezsilni, a zwłoka nie wyniesie chyba więcej jak 8—10 godzin.

Rosemary milczała zrozpaczona. Gaspar wsunął konduktorowi w rękę jakąś monetę i polecił mu posłać łóżka. Potem wszedł do przedziału.

— Czuję się strasznie winny — powiedział pokornie, — ale wiesz, najdroższa, że źle mówię po rumuńsku i nie wszystko rozumiem. Przy tym w Cluju byłem niespokojny o ciebie, robiłaś wrażenie niemal chorej, tak byłaś wyczerpana, tak zdenerwowana.

— Nie dziw się, Gasparze! A teraz 24 godziny zwłoki mogą zadecydować o wyjściu drukiem pierwszego artykułu z owej przeklętej serii, której obym nigdy nie była napisała! A ja jeszcze muszę się widzieć z Elzą, zanim zapadnie ostateczna decyzja!

— Najdroższa — przerwał Gaspar z lekkim westchnieniem. — Zazwyczaj nie bywasz tak nielogiczna. Czy naprawdę sądzisz, że wypadki toczą się z taką zawrotną szybkością? Gdzież tam! Masz czas zobaczyć się z Elzą za 24 godziny, zatelegrafować do „Timesa”, a na pewno depesza ta zdąży na czas, tj. zanim Piotr Blakeney lub nawet kurier generała Naniescu dojedzie do Londynu i stanie przed redaktorem „Timesa”. A czyż redakcja

nie ma nic pilniejszego do ogłoszenia, jak te artykuły o stosunkach w odległej dzielnicy Europy Wschodniej? Zastanów się, kochana!

— To prawda, drogi mój, to prawda — odparła Rosemary już spokojniej nieco. — Zdenerwowana jestem dzisiaj, ale te ostatnie wypadki tak mnie rozstroiły, że nie dziw mi się zbytnio. Ale masz zupełną słuszość. Ja najwidoczniej sama nie wiem, co mówię i co robię, jestem na pół przytomna prawie.

\* \* \*

Rosemary nie zaznała spoczynku tej nocy: prześcieradło było przykre w dotknięciu, skrochmalone, w powietrzu unosiła się woń siarki i kurzu. Słyszała jak odczepiano ich wagon od lokomotywy, uczuła kilka silnych szarpnięć, po czym zaległa całkowita cisza. W ciszy tej zdawało jej się, że słyszczyć bicie jej serca. Na szczęście drzwi do sąsiedniego przedziału były zamknięte, miała więc swobodę ruchów. Mogła siadać, układać się wygodnie, nawet chodzić po swej klatce, gdy już siedzieć ani leżeć nie mogła dłużej.

Nerwy miała napięte, nie próbowała już zapanować nad nimi, czując, że wszelkie wysiłki byłyby daremne. Ponad istotnymi motywami, w połowie tylko obalonymi przez argumenty Gaspara, miała jakieś mgliste, a straszne przeczucie, za które łajała samą siebie — na próżno! Bała się czegoś, po raz pierwszy w życiu ta odważna, zrównoważona istota doznawała uczucia panicznej trwogi.

Bała się na pewno rozmowy z Elzą. Postawa Mariusza była stanowczo niezrozumiała ostatniego wieczoru, a była ona rezultatem listu, otrzymanego od Elzy. Kto wie, co dały rozmowy z dwojgiem dzieci, pragnących żyć i z matką Anny, która, jak słusznie mówił Gaspar, mogła się okazać bardziej matką niż patriotką? Może Elza skapitulowała i zażąda ogłoszenia drukiem tych obmierzłych artykułów? A może wie już, że wpadły one w ręce generała Naniescu, może Piotr działał za jej wiedzą i jej pozwoleniem? Nie, to niemożliwe! Rosemary gubiła się w domysłach, przypuszczeniach i obawach, a nad wszystkim unosiła się ta okropna, dziwna trwoga: co też mi przyniosą następne 24 godziny?

Teraz dopiero rozumiała, co uczyniła, oddając w ręce Elzy los swoich artykułów. Tym samym zrzekła się swego zawodowego honoru, swego sumienia, na rzecz innej kobiety, innego człowieka. Czyniąc tak była prawie zupełnie pewna honoru i patriotyzmu Elzy. Biedna Elza! Kto by jej śmiał wziąć za złe przewagę miłości macierzyńskiej nad miłością ojczyzny? Nikt — ale ona, Rosemary, nie powinna była stawiać tej kobiety wobec podobnej

alternatywy. Było to okrucieństwo. Rosemary teraz zdawała sobie z tego sprawę i dręczyły ją wyrzuty sumienia.

Z samego rana zerwała się z niewygodnej pościeli, umyła się, o ile na to urządzenia wagonowe pozwalały i wyszła na peron małej stacyjki. Ci sami dwaj żołnierze stali przy drzwiach jak posągi. Byli nie ogoleni, nie umyści, buty mieli zakurzone, mundury potargane.

Rosemary rozglądała się wokoło: krajobraz był piękny, w głębi łańcuch Alp Transylwańskich, kaskady górskie, spadające w dolinę, tu nie opodal strumyk, zasilany wodospadami, po obu stronach potoku domki o czerwonych dachach, charakterystycznych dla miasteczek tych okolic, kolby złotej kukurydzy, suszącej się na słońcu, a nieco wyżej na tle gór i zieleni biały kościółek o smukłej wieżyczce. Ale Rosemary nie widziała tego piękna, ona szukała zamku, gdzie więziono Filipa i Aneczkę, te dzieci, których ocalenie uwarunkowane było opublikowaniem jej artykułów. Natomiast tyrania i bezkarność Rumunii nie będą potępione przez Europę: świadectwo poważnej publicystki Uno chronić będzie odtąd Rumunię od interwencji jakiegokolwiek mocarstwa na rzecz nieszczęsnych Węgrów. Ale żadnego zamku nie było widać na horyzoncie, natomiast o kilka kroków przed nią pojawił się Gaspar w towarzystwie jakiegoś mężczyzny o bardzo zaniedbanym wyglądzie, prawdopodobnie był to zawiadowca stacji.

Na widok Rosemary Gaspar pośpieszył ją powitać, towarzyszący mężczyzna zatrzymał się w pewnej odległości.

— Cóż nowego? — wołała Rosemary już z daleka.

— Niedobrze — odrzekł Gaspar zakłopotany.

— Zawiadowca mówi mi, że dostał wiadomość, iż naprawa toru potrwa dzień — dwa, jeżeli nie dłużej.

A zatem musimy wynająć samochód — powiedziała Rosemary.

— Niemożliwe, maleńka: nie przejedziemy, póki droga jest zawałona, a podobno zwały kamieni leżą na torze i na równoległej do toru szosie.

— Wszystkie drogi w Transylwanii nie są zawałone, przypuszczam — odparła Rosemary sucho. Zwróciła się do zawiadowcy:

— Muszę być w Hódmeze dziś jeszcze. Czy mogę wynająć samochód w Sócie?

— Ależ łaskawa pani nie dojedzie, drogi są zawałone, a tor jest uszkodzony...

— Mniejsza o tor. Szos jest dużo, nie tylko ta jedna, prowadząca wzdłuż linii kolejowej. Jeżeli trzeba, nadłożę dużo drogi, ale mogę jechać i

nadkładać, dopiero mając samochód! Ostatecznie może to być powóz lub bryczka, byle było czym jechać, byle naprzód!

— Niestety! W tym cała rzecz, łaskawa pani! Wczoraj byli tu żołnierze i zabrali dla wojska wszystkie konie. Takie to czasy nastąpiły — ciągnął dalej człowiek, mówiąc jakby do siebie samego — ledwie się uezbiera parę groszy i kupi starą szkapę, a już znów wojsko przyjdzie i zabierze ją! Taka to dola!

Rosemary miała przeświadczenie, że ten człowiek kłamie. Pewna była, że został tu uknuty spisek przeciw jej przedwczesnemu wyjazdowi z granic Rumunii. Ci ludzie kłamali z rozkazu Naniescu, tor na pewno nie był uszkodzony. Ona, Rosemary, lady Tarkington, poddana Wielkiej Brytanii nie mogła być zatrzymana na granicy ani internowana w kraju, ale przeciw sile wyższej była bezsilna, udaremniliono więc jej dalszą podróż, a tymczasem kurier Naniescu przybędzie do Londynu i „Times” zacznie drukować jej artykuły, nim ona zdąży je odwołać.

— Co tu robić? — zwróciła się do Gaspara.

Uśmiechnął się smutnie. — Trzeba się pogodzić z losem — odparł łagodnie. — Zdaje się, że jest tu schludny hotelik, w którym możemy spędzić 24 godziny, a taka zwłoka nie jest jeszcze groźna, prawda?

— Ależ kto zaręczy mi, że potrwa to 24 godziny?

— No, przecież to nie może trwać wiecznie.

— Nawet długo trwać nie będzie — powiedziała stanowczym głosem — ponieważ zdecydowana jestem iść pieszo w razie potrzeby.

— Pieszko przez grzbiety górskie? — zapytał z uśmiechem. Wzruszyła ramionami gniewnie. Miała zatem pogodzić się z losem? Gaspar nie znał jej jeszcze. Trudności potęgowały jej chęć działania. Hódmeze nie było odległe, a Naniescu nie miał władzy poza obrębem państwa rumuńskiego, na szczęście! Zatelegrafuję więc stamtąd, gdy tylko się tam znajdę, a znaleźć się tam mogę, choćby pieszo!

— Zatelegrafuję jutro najdalej — jeśli Elza tego chce. Rosemary zastanowiła się chwilę i odpowiedziała.

— Dobrze więc! Zgadzam się czekać cierpliwie przez 24 godziny! Zechciej obejrzeć i wybrać pokoje w hotelu. Ten człowiek może chyba dopilnować naszych rzeczy przez ten czas?

— Naturalnie zajmę się wszystkim, droga moja — odrzekł Gaspar. — A czy nie życzysz sobie zjeść pierwszego śniadania?

— Nie — odparła — ja idę na przechadzkę. Byłabym dzisiaj niewesołym towarzyszem przy śniadaniu.

\* \* \*

Rosemary poszła w kierunku miasteczka. Celem jej było dowiedzieć się, jakim sposobem można wydobyć się z tego przypadkowego więzienia. Sklep kolonialny był już otwarty. Rosemary weszła śmiało i zapytała kupca, czy nie ma koni do wynajęcia. Odpowiedział to samo, co zawiadowca, że wojsko zabrało poprzedniego dnia wszystkie konie, jakie były w miasteczku. Poradził jej jednak, by się udała do zamku i poprosiła oficera dyżurnego o wypożyczenie jej koni do granicy. Było to obecnie, wyjaśnił, więzienie dla przestępców politycznych, tak że stale władze wojskowe były na miejscu i oczywiście miały konie do dyspozycji, może nawet samochód się znajdzie? Rosemary podziękowała za informację, kupiła paczkę biszkoptów, by zjeść je gdzieś po drodze, gdzie znajdzie się też szklanka mleka i poszła dalej. Im bardziej oddalała się od miasteczka, tym piękniejsze obrazy roztaczały się przed jej oczami. Strumyk towarzyszył jej teraz wiernie i szemrał w takt jej myśli. Powietrze było cudowne. Rosemary odetchnęła głęboko i przystanąła, patrząc tęsknie w wodę: jak by to było miło wykapać się w tej kryształowo czystej rzece!

Szła dalej; zmęczona była po nie przespanej nocy, ale szła dzielnie przed siebie, wypatrując widoku zamku. Ale nie było nic widać jeszcze. Aż tu nagle — na szosie ukazała się sylwetka mężczyzny w mundurze oficera rumuńskiego; szedł z pochyloną głową, cała jego postać zdradzała przygnębienie. Rosemary postanowiła go dogonić, może ten oficer jej powie coś dokładniejszego o możliwościach komunikacyjnych. Przyspieszyła kroku; kiedy była już blisko, Rumun obejrzał się.

Był to Piotr.

Na widok Rosemary uskokzył w bok i rozejrzał się jak człowiek szukający ucieczki. Ale Rosemary pod wpływem niewytłumaczonego impulsu zawołała: — Panie Piotrze, proszę nie uciekać!

Staął jak wryty, ale nie patrzył na nią, nie zwrócił się ku niej, stał odwrócony do niej plecami. Rozumowała z zawrotną szybkością. Co to znaczy, co Piotr tutaj robi, dlaczego w tym przebraniu?

— Panie Piotrze, nic mi pan nie ma do powiedzenia? — zapytała z nieśmiałym wyrzutem.

— Nie sędzę, by pani życzyła sobie rozmawiać ze mną — odpowiedział — jestem przecież w oczach pani zwyczajnym draniem, którego sam widok powinien panią przejmować wstrętem.

— Nie wierzę w to, panie Piotrze — odrzekła, starając się zapanować nad drżeniem swego głosu — czyż to wszystko jest prawdą? Czy to może być prawdą?

- Nie wiem, o czym pani mówi — powiedział oschle, niemal brutalnie.

— Mówię o tym, że... że nie wierzyłam dotychczas... by to... pan... rzeczywiście... nie. to niemożliwe... a jednak...?

Nie mogła wykrztusić ani słowa więcej ze ściśniętej krtani, łyzy ją dławiły, prosiła Boga, by pozwolił jej nie wybuchnąć płaczem.

— Niech mnie pani nie oszczędza — rzekł z szyderczym śmiechem — ma pani na myśli moje szpiegowanie na rzecz rządu rumuńskiego, kradzież pani rękopisu przeze mnie dla korzyści osobistych, wygnanie Elzy i Mariusza z ich domu, domu ich przodków. Filip i Anna zostali aresztowani na skutek mojej denuncjacji, prawda? Czyż, wierząc w to wszystko, może się pani dziwić, że uciekam na widok znajomych? Czy mogę pani osobiście służyć czymkolwiek?

— Owszem — odrzekła — może mi pan spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć, co pana skłoniło do tych czynów? Pieniądze?

— Raczej brak ich — odpowiedział Piotr, wruszając ramionami.

— Nie mam prawa zadawać panu pytań, zdaję sobie z tego sprawę, ale... ale — Piotrze, wszak niegdyś byliśmy przyjaciółmi! — Mówiła tonem coraz bardziej proszącym. — Zwierzał mi się pan ze swych planów, ze swych aspiracji. Gdyby pan i tym razem przemówił ze mną — wiem, że potrafiłabym pana odwieść od tego zamiaru, byłabym znalazła właściwe słowa, właściwe argumenty, które by panu trafiły do przekonania i do serca! Byłabym panu pomogła. Och! Piotrze! — krzyknęła nagie, składając ręce jak do modlitwy i wybuchając strasznym płaczem — czyż pan nie rozumie, jakie to wszystko jest potworne? Czy pan pojmuje, jak ja cierpię?! Byliśmy tak serdecznymi przyjaciółmi! Pracował pan nad dziełem całego życia swego ojca. Niektóre pańskie doświadczenia naukowe już ściągnęły na siebie uwagę miarodajnych kół, Był pan pierwszorzędnym sportowcem. A teraz to... to... O! To straszne — straszne!

Dławiła się teraz, rozpacz tamowała jej oddech, w uszach jej szumiało, chwiała się na nogach, łyzy strumieniami płynęły jej z oczu. Gdy mówiła do Piotra, widziała wyraźnie w jego oczach odcień jakiejś niezrozumiałej nieufności, przyglądał jej się bacznie, badawczo, powątpiewająco, słuchał jej z niedowierzaniem, a ona pragnęła być słuchana sercem, mówiła wszakże z głębi serca, ta nieufność zabolęła ją tak strasznie, że teraz byłaby się chętnie stoczyła do tej rwącej wody u swoich stóp i dałaby się niej unieść daleko, daleko, gdzie się nie czuje w piersiach tak okropnego, rozsadzającego bólu, jaki ona czuła w tej chwili.



— Niech pani siądzie — usłyszała szorstki głos Piotra — przecież ledwo się pani trzyma na nogach.

Rosemary na te słowa, wypowiedziane twardo, poczuła tak przeraźliwy ból w sercu, jakiego wytrzymać nie mogła kobieta: straciła przytomność. Gdy otworzyła oczy po paru minutach, siedziała na pniu drzewa przy drodze, a przed nią klęczał Piotr, podtrzymując ją obu ramionami. Wyprostowała się i zajrzała mu w oczy błagalnie, czule.

Wówczas usłyszała szept:

— Żegnaj, kochana moja niezapomniana Rosemary! Niech cię Bóg ma w swojej opiece! Staraj się zapomnieć! — Zerwał się i uciekł.

Zawołała za nim z rozpaczą:

— Piotrze! — Ale już go nie było widać. Musiał zniknąć na zakręcie szosy. Piotr zniknął więc definitywnie z jej życia, Piotr, jej przyjaciel, towarzysz zabaw dziecięcych, powiernik, pierwsza jej miłość, Piotr umarł dla niej w tym dniu dopiero, bo zostając żoną Gaspara Tarkingtona, zachowała prawo darzenia go przyjaźnią, dziś zaś to prawo straciła.

— Staraj się zapomnieć! — to były jego ostatnie słowa.

— Starac się zapomnieć? — ach, żeby ona mogła!

\* \* \*

Z bolesnej zadumy wyrwał ją głos Gaspara. Wołał ją wyraźnie i głośno, ale jego samego nie od. razu ujrzała. Biegł ku niej zdyszany.

— Słyszałem jakąś sprzeczkę z daleka i poznałem twój głos — powiedział dopadłszy jej i całując czule w rękę — byłem przerażony, myślałem, że cię napadnięto i pędziłem co tchu. Bogu dzięki, już jesteś przy mnie, teraz nic ci nie grozi!

Był widocznie poruszony do głębi, powtarzał ciągle: — Bogu dzięki! Bogu dzięki! Rosemary przyglądała mu się z niejakim zdziwieniem. Ten chłodny Gaspar taki przejęty, taki rozrzewniony bez dostatecznej przyczyny?!

Nagle przestał dziękować Panu Bogu za ocalenie żony od niewidzialnego wroga i zapytał:

— Ale z kim się sprzeczałaś, moja droga? Rosemary odzyskała już panowanie nad sobą:

— Bardzo byłam nierozsądna — odrzekła. — Ujrzałam, idąc drogą, parę oczu wlepionych we mnie. Złękłam się, zdawało mi się, że to dziki kot, który się na mnie rzuci, w tych stronach są rysie podobno, tymczasem był to zwykły kot domowy, a ja niepotrzebnie narobiłam krzyku. Nerwy, i tyle!

Gaspar ukląkł przed nią i całował jej rękę, patrząc na nią z nieopisaną namiętnością. Odsuwała się bojaźliwie od owego pamiętnego wieczoru w Kis-Imre, kiedy pojęła, że nigdy nie oswoi się z jego pocałunkami, bała się jego wybuchów, bała się własnej reakcji. Przyglądając mu się, zauważyła, że był mizerny, zmęczony, wychudzony, może to wpływ chwilowego niepokoju o nią. Przed chwilą jeszcze czuła się tak samotnie na świecie, że tym bardziej ją to rozczuliło.

— Nie bój się o mnie, Gasparze — powiedziała łagodnie — potrafię się bronić.

— Zawsze drzę o ciebie — mówił z uśmiechem i wyrazem uwielbienia w oczach — ilekroć nie mogę być przy tobie. Jesteś moim jedynym skarbem, celem mego życia, życiem moim. I teraz poszedłem w kierunku, w którym zniknęłaś, dopytywałem się o ciebie po drodze i dowiedziałem się od kupca w miasteczku, że rozmawiałaś z nim i że cię skierował do zamku. Udałem się w ślad za tobą i znalazłem cię — ja cię na końcu świata zawsze znajdę, Rosemary, moja kochana.

Popatrzył na nią z miłością i nagle oczy jego rozbłysły złym ogniem: zrodziło się w nich podejrzenie. — Musiałaś iść bardzo powoli — dodał — ja wyruszyłem w godzinę po tobie niemal i z łatwością cię dogoniłem.

— Szłam bardzo powoli. Ten kraj jest doprawdy przepiękny i malowniczy. Przysiadalam często, by popatrzeć na góry i posłuchać szemrania strumyków. Lepiej byłabym zrobiła — powiedziała nagle energicznym głosem — śpiesząc się bardziej i nie zaniedbując ważnych spraw, jakie mam do załatwienia.

Gaspar otoczył ją ramionami. — Zaczekaj chwilkę, skarbie. Tu jest tak spokojnie, tak miło. W ostatnich dniach wcale nie miałem możliwości przebywać w twoim towarzystwie. Było coś między nami, jakaś atmosfera nieporozumienia, z powodu której bardzo cierpiałem, kochanie ty moje! — Mimo woli wykonała gest zniecierpliwienia.

— Czy nudzę cię moją miłością, powiedz! Rosemary uśmiechnęła się blado.

— O nie, Gasparze! Co za pytanie!

— To powiedz mi, czy mogę coś uczynić, cokolwiek by to było, czym cię mogę rozweselić, uszczęśliwić. Ja pragnę twego dobra Rosemary. A już dawno nie widziałem uśmiechu szczęścia na twojej twarzy. Czynię sobie gorzkie wyrzuty, że to ja temu jestem winien.

— Jesteś miły i dobry jak zawsze, Gasparze. Ale bądź cierpliwy. Ja tak wiele przeszłam w ostatnich dniach.

— Wiem, maleńka, wiem. Nie mówmy już o tym, dość smutku i udreki!

Był przedziwnie dobry i czuły, lepszy i troskliwszy niż kiedykolwiek, nie wyłączając pierwszych dni małżeństwa. Chciał może wynagrodzić jej swe dziwne uniesienie, kiedy był dla niej twardy, brutalny, kiedy to namiętność jego przybrała formę niemal wrogości.

Oparł ją o siebie i gładząc włosy, mówił łagodnym głosem o przyszłości, o ich powrocie do Anglii, o domu, jaki sobie urządzi, a który musi być godną oprawą tego klejnotu, jaki on posiada, w osobie swej ukochanej. Rosemary czuła znowu niewysłowioną wdzięczność dla tego zacnego towarzysza życia, który myślał o niej, dla niej żył tylko, obmyślał, czym by jej dogodzić, jak ją uszczęśliwić i mówił do niej tak czule, słodko, kojąco. Dopiero co tak bardzo cierpiała z powodu miłości do jedynej mężczyzny, jakiego kochała, że tęskniła rozpaczliwie do czułości, tkliwości i opieki i całym sercem pragnęła okazać przywiązanie mężowi, którego wybrała sobie po części na przekór innemu człowiekowi, któremu zrobiła straszną krzywdę, zgadzając się zostać jego żoną — bez miłości.

\* \* \*

Rosemary pierwsza spojrzała na zegarek. Było już po dziesiątej, zerwała się i pociągnęła Gaspara za sobą. Jak dwoje dobrych przyjaciół podążyli szosą, trzymając się pod rękę. Niebawem znaleźli się przed wielką bramą starego zamczyska. Rosemary zauważyła o kilkadziesiąt kroków od nich samochód, do którego wsiadało właśnie kilka osób.

— Patrz, jacyś państwo, mężczyzna i kobieta w otoczeniu trzech wojskowych pojedą tym samochodem, szczęśliwcy! — westchnęła pół żartem Rosemary. W tejże chwili Gaspar puścił się pędem ku zamkowi. Biegł coraz szybciej, biegł jak koń wyścigowy, Rosemary nie mogłaby go dogonić, nawet gdyby zdumienie nie było jej przykuło do miejsca. Zdawało jej się, że słyszy jego dziki, zdławiony jęk.

— Co ci się stało? — wołała za nim. Nie odpowiedział, pędził jak szalony i niebawem znikł w sieni zamczyska.

Gdy z kolei ona zbliżyła się do wejścia, wartownik zastąpił jej drogę. Próbowała mu wytłumaczyć, że jest żoną tego pana, który tu wbiegł przed chwilą i którego przecież wpuszczono, ale żołnierz zdawał się być głuchy i niemy. Stał pośrodku bramy, zagradzając sobą przejście i od czasu do czasu potrząsał przecząco głową. Po Gasparze nie było już śladu. Rosemary widziała wyraźnie, że jemu żołnierz przejść pozwolił i nawet mu się uklonił w odpowiedzi na jakieś słowa, których oczywiście z tej odległości słyszeć nie było można.

Na szczęście miała przy sobie sporo pieniędzy, a doświadczenie nauczyło ją, że w tej stronie Europy łapówka sprawia cuda. Zanim jednak zdążyła uciec się do tego magicznego środka, zjawił się młody oficer, na którym piękność wytwornej Angielki zrobiła wielkie wrażenie. Zbliżył się do niej z szacunkiem i po krótkiej wymianie zdań zgodził się, by pod jego eskortą przeszła do jednej z sal zamku, gdzie może uda jej się zobaczyć z komendantem twierdzy.

We wspaniałej sali zamkowej zatrzymali się:

— Tędy przejdzie wkrótce komendant, major Buriecha. — Oznajmił jej młody oficer.

— Czy nie mógłby mnie pan zaanonsować? — zapytała Rosemary. — Jestem lady Tarkington. Pewna jestem, że major Buriecha nie odmówiłby mi kilku minut rozmowy.

Oficer uśmiechnął się:

— Tego nie mogę uczynić, milady — rzekł — major ma u siebie w tej chwili wysokiego dygnitarza państwowego. Prosiłbym nawet, gdy go pani zobaczy, by mu pani łaskawie nie wspominała, że to ja panią tu wprowadziłem.

— Nie mogłabym mu nic powiedzieć o panu, gdybym nawet chciała, bo nie wiem, jak się pan nazywa — odrzekła Rosemary z miłym uśmiechem, ujęta wdziękiem chłopca.

— Porucznik Uriescu, do usług, milady.

— A może pan mnie poinformuje, co się stało z moim mężem, lordem Tarkingtonem — zapytała po chwili milczenia Rosemary z pewnym zażenowaniem. Minął on bramę zamku i wszedł tutaj, straciłam go wówczas z oczu, ale nie pojmuję, gdzie by mógł być jak nie w tych murach. Czy mógłby się pan dowiedzieć, w której sali znajduje się mój mąż?

— Obawiam się, że nie zdołam się dowiedzieć, milady, ponieważ nie mam zaszczytu znać lorda Tarkingtona — odpowiedział grzecznie młody oficer.

Stał jeszcze chwilę, czekając, czy młoda Angielka nie wyrazi jakiegoś życzenia, ale gdy nie zwracała już na niego uwagi, uklonił się z powagą i wyszedł z pokoju, zostawiając Rosemary samą z myślami pełnymi irytacji, co na Boga Ojca znaczyło zniknięcie Gaspara i gdzie on się podział?

Z gabinetu majora Buriechy dolatywały jakieś szepty. Ale stopniowo głosy stawały się donośniejsze, aż przeszły w głośną sprzeczkę, Rosemary, zdziwiona, poznała głos Gaspara, mówił po francusku tonem rozkazującym

— do majora Buriechy, komendanta twierdzy SótuL. — Co na miłość boską...?

Usłyszała wyraźnie:

— Jesteście skończonym wariatem, Buriecha! Tylko wariat mógł się dać w pole wyprowadzić!

Głos, który odpowiadał na to łajanie, był pokorny, cichy, drżący. Rosemary nie mogła pochwycić poszczególnych wyrazów odpowiedzi.

Major Buriecha rozmawiał z Gasparem? Gaspar udzielał mu nagany tonem zwierzchnika! Co to znaczy? Z początku była zdumiona, teraz zaczynała być niespokojna. Odruchowo wstała i podeszła do drzwi gabinetu majora. Ona musi wiedzieć, co się tu rozgrywa. Położyła rękę na klamce, lecz zawahała się. Lepiej wejść niż podsłuchiwać, zapewne, ale instynkt zwyciężył. Zatrzymała się u progu i słuchała.

— Połączcie mnie natychmiast z generałem Naniescu — komenderował ochryply głos Gaspara. — Rozległ się krótki dzwoneczek i zgrzyt korby telefonicznej, major łączył się widocznie z centralą w Sócie. Słysząc było nerwowe kroki Gaspara, biegnącego tam i z powrotem po pokoju. Wtem rozległ się obcy głos, prawdopodobnie głos majora:

— To wy, Marghilo? Poproście do telefonu Jego Ekscelencję, dobrze? — Potem znów głos majora:

— Powiedzcie mu, że tu mówi major Buriecha. I dodajcie, Marghilo, że w sprawie niezmiernie pilnej i ważnej.

Gaspar wciąż chodził po pokoju. Rozlegał się jego rubaszny śmiech:

— Wiecie Buriecha, nie chciałbym być w waszej skórze, gorąco wam będzie!

Milczenie. Potem głos Gaspara, mówiącego do telefonu:

— Halo! Halo! To pan, Naniescu? Tutaj Nr 10.

Co? Nr 10? Co?... Ale nie ma czasu teraz na rozważania ani na zdumienie, ani na przerażenie. Gaspar mówił dalej.

— Buriecha dał się wystrychnąć na dudka. Pozwolił uciec młodemu Imreyowi i tej małej Heves. Halo! Pan słucha? Te przekleństwa na nic się nie zdadzą. No, panie! Bo aparat pęknie! Tak jest, uciekli i trzeba ich złapać. Odjechali samochodem przed pół godziną w kierunku Cluju, ale prawdopodobnie zmierzają już w tej chwili ku granicy węgierskiej. Co? O, naturalnie, co pan mówi, uplanowany przez tego łobuza Blakeneya. Buriecha nie jest bardziej winien niż pan sam. No, a kto panu kazał wchodzić w konszachty z tym łobuzem za moimi plecami? Tak, pan... Mniejsza o to, niech pan teraz posłucha. Blakeney, poznałem go, jechał z nimi

samochodem, przybył tu z podrobionym pańskim rozkazem, rozkazem wydania mu Imreya i dziewczyny w celu przeniesienia ich w nieznane miejsce przeznaczenia. Co? No, naturalnie, powinien był się zorientować, ale mówi, że podpis pański był sfałszowany tak, że sam by go się pan nie wyparł. Myślał, że wszystko jest w porządku. Ten gagatek był w mundurze oficerskim i miał z sobą dwóch ludzi w mundurach żołnierskich. Jak to, co pan ma robić? Zatelefonuje pan natychmiast do policji granicznej. Pięć osób, tak jest, jedna kobieta, czterech mężczyzn, w tym jeden tylko po cywilnemu, a dwóch żołnierzy i jeden oficer. Więźniowie przebrali się zapewne po drodze. Niech policja strzela, gdyby nie zwolnili tempa na pierwszy sygnał. Obsadzić wąwozy górskie na pograniczu. Blakeney nie może dobrze znać topografii tych miejsc.

Nie wiem, kto są tamci dwaj. Może Węgrzy, a może Anglicy. Ale działaj pan natychmiast! Tak, tak! Co? Marghilo wyrusza osobiście w pościg? Doskonale, to najlepiej chyba. Nie, przyjacielu, nie wolno było panu wdawać się w układy z tym łobuzem, powtarzam. On prawdopodobnie okradł z kolei waszego kuriera, wiozącego artykuły, albo też telegrafował w imieniu Uno do „Timesa”, aby ich nie drukować, potem zaś uwolnił więźniów bezwstydnym fortem. No, głowa do góry! Nie ma czasu do stracenia! Tak! Wszystko dobrze. Może pan przyjechać do Sótu, jeżeli pan ma ochotę, ja tu pozostanę dość długo, by czekać na pana, ale nie sądzę, by nasze spotkanie było przyjemne, nie, drogi panie! Co?

Gaspar przestał mówić na chwilę, Rosemary wciąż stała przy drzwiach, jakby zamieniona w słup soli. Ręce i nogi jej zeszywniały. Nie mogła się ruszyć. Tylko zimny dreszcz przebiegał ją od czasu do czasu. Nie czuła nic. Nawet przerażenie jej nie ogarnęło. To, co usłyszała, zniszczyło wszystko w niej i dookoła i pozostawiło tylko ruiny, chciała być w tym spokoju, wszystko w niej zamarło.

Gaspar, jej mąż, był za tymi drzwiami, Gaspar Tarkington! Szpieg obecnego rządu, agent Nr 10! Plugawy człowiek, nikczemny! Podły gałgan, wzbudzający obrzydzenie niczym płaz, niczym gad! Wszystko, tylko nie człowiek! To był jej mąż! To był człowiek, którego nazwisko nosiła! Słyszała jego kroki w przyległym pokoju, słyszała jego urąganie tamtemu człowiekowi, którego nazywał wariatem, a który był tylko głupcem, porządnym, uczciwym głupcem. Naraz — drzwi się otworzyły i... Rosemary znalazła się oko w oko z Gasparem.

Na jej widok stanął jak wryty. Twarz jego przybrała barwę szaroczną. Przekleństwo, które cisnęło mu się na usta, zamarło, zanim je wykszusił.

Z sąsiedniego pokoju doleciał drżący głos majora Buriechy, pytał, czy znowu się coś stało. Gaspar zamknął drzwi, prowadzące do gabinetu i oparł się o nie, patrząc wciąż w oblicze żony. Oczy jego rozszerzyły się, wargi wykrzywiły się, ukazując ostre, jak u wilka zęby. Wyraz niewysłowionego okrucieństwa zesześcił tę maskę po raz drugi, odkąd Rosemary go знаła. Chciał teraz przemówić, ale Rosemary wyciągnęła dłoń ku niemu rozkazującym gestem:

— Nie tutaj! — powiedziała stanowczo — nie teraz.

Rezeźmiał się głośnym, brzydkim śmiechem i wzruszył ramionami.

— To się musiało wydać prędzej czy później — rzekł zimno — nie żałuję, że się wydało dzisiaj.

— Ani ja — odparła — ale bądź łaskaw pójść stąd. Rozmawiać będziemy później w hotelu.

Popatrzył na nią z tym błyskiem w oczach, którego się bała od czasu owego wieczoru w Kis-Imre, przez chwilę zdawało się, że namiętność weźmie w nim górę nad wszystkim i że ją tu w tym pokoju porwie w objęcia. Rosemary nie ruszyła się. Jej wielkie oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem, nie odwracała ani na moment spojrzenia od twarzy Gaspara. Obserwowała walkę w udręczonej duszy mężczyzny, była świadkiem jak namiętność w ciągu kilku minut stawała się nienawiścią do tej, która go zdemaskowała. Nie ugięła się pod jego spojrzeniem, bo nie bała się go już: zbyt podły był, by wzbudzać w niej strach.

— Odejdź — powiedziała szorstko.

Zawahał się, ale odgłos spluwania i kaszlu Buriechy, dochodzący z sąsiedniego pokoju, wpłynął na jego decyzję. Nie tu było miejsce na rozmowę, na ukaranie jej za doznane upokorzenie, na podkreślenie swej woli, swej władzy. Rozeźmiał się znowu i wyszedł wolnym krokiem.

\* \* \*

Pół godziny jeszcze siedziała Rosemary w tym pokoju o nagich ścianach. Starła się zebrać i uporządkować myśli i uczucia. Zdumiona była, że po doznanym wstrząsie psychicznym górowała w niej teraz nad zgrozą, obrzydzeniem, bólem — wielka, szalona radość! Wstydziała się sama przed sobą, ale cóż? Była ucieszona! Wstąpił w nią dziwny spokój, zdenerwowanie ustąpiło, żywiła jakąś nieokreśloną nadzieję, że przyjdzie jeszcze i dla niej moment odpoczynku i — może — szczęścia? Odrzuciła te myśli szalone — czekały ją przecież różne przejścia, to, co się stało, oznaczało ruinę jej życia, a jednak... jednak...

Po pół godzinie wrócił młody oficer, który ją tu przyprowadził. Zdziwiony był jej obecnością. — Major Buriecha jeszcze się nie pokazał — powiedziała spokojnie Rosemary — zbliża się pora obiadowa, nie będę dłużej czekała.

Młody człowiek odetchnął. Odprowadził milady z honorami do samej bramy, radząc jej, by wniosła pisemne podanie do komendanta o audiencję, a na pewno zostanie przyjęta.

— Zastosuję się do pana rady — odparła Rosemary uprzejmie.

— Do widzenia, panie poruczniku, dziękuję za pana usilne starania przyjscia mi z pomocą.

Gdy doszła w powrotnej drodze do pnia drzewa, na którym siedziała poprzednio, spotkawszy Piotra, usiadła tu powtórnie. Nie chciała myśleć o Piotrze, nie, winna była towarzyszyć myślami Annie i Filipowi, dążącym ku granicy prawdopodobnie w przebraniu, może każde oddzielnie? Rosemary nie mogła uwierzyć, by oni w piątkę pędzili na oślep samochodem aż do granicy węgierskiej, by tam, rzecz prosta, wpaść niechybnie w ręce policji rumuńskiej. Nie, oni szli pieszo. Elza wiedziała o wszystkim i Mariusz wiedział, to było jasne dla niej. Dlatego był taki spokojny i opanowany, gdy przyszło mu żegnać się z rodzowym majątkiem. Piotr zorganizował spisek i ich wtajemniczył. Ona tylko, Rosemary, była trzymana z daleka tym razem od ich sekretu, bo mogła zdradzić ich Gasparowi, a jej Piotr nie mógł powiedzieć, że Gaspar Tarkington był nikczemnym szpiegiem.

Ale nie, nie należało myśleć o Piotrze, trzeba było tylko modlić się, trzymać kciuki za Filipa i Annę, tych dwoje bohaterskich dzieci, tak bardzo się kochających, za Elzę, cierpliwą i podziwu godną matkę

— bohaterkę, za Mariusza, który tak znakomicie odegrał swoją rolę. Mariusz przybędzie nazajutrz do Sótu, zatrzyma się tu, a potem on i Rosemary razem przekroczą granicę w jakikolwiek sposób. Obecność Mariusza będzie dla niej podporą, póki Gaspar jest jeszcze w Sócie. A gdyby nie mogli przekroczyć granicy, zawsze jej pozostaje odwołanie się do konsula Wielkiej Brytanii w Cluju. Teraz nie było powodu do rozpacz. Dzieci były ocalone, a owe nieszczęsne artykuły nie ujrzą światła dziennego. Piotr na pewno do tego nie dopuści.

Ale nie, ona nie powinna myśleć o Piotrze. Nie wolno! Czyż nie była jeszcze wciąż żoną Gaspara Tarkingtona?

\* \* \*

Późnym popołudniem dopiero wróciła Rosemary do małego pokoiku hotelowego. Cały dzień spędziła w pobliskich lasach, na dworcu, dokąd



wciąż zaglądała, by czatować na pociągi z Cluju. Ale dopiero o północy była szansa ujrzenia Mariusza. Kłamstwo o zablokowaniu toru było w dalszym ciągu podtrzymywane starannie przez personel kolejowy. Podróżni klnąc, wysiadali w Sócie z wagonów, mały hotelik był teraz przepełniony po brzegi. Rosemary udzielono na dole informacji, że angielski milord zamówił z samego rana trzy pokoje dla siebie i dla milady, która przyjdzie dopiero później, bo zwiedza okolicę. Tęga, bosonoga dziewczyna, zaprowadziła Rosemary do owych pokojów.

Rosemary przechadzała się po tym tymczasowym mieszkaniu. Nerwy nie pozwalały jej usiąść, znów była zdenerwowana i spięta przed decydującą rozmową z Gasparem. Godziny wlokły się okropnie. Wieczorem kazała sobie podać do pokoju lekką kolację, była bowiem wyczerpana głodem i bezsennością. Usiłowała czytać książkę wyjętą z walizki, ale nie wiedziała, co czyta. Kolację zjadła z trudem, ale poczuła się trochę silniejsza fizycznie po tym marnym zresztą posiłku. Położyła się na kanapie, ale usnąć nie mogła. Zaczynała odczuwać niepokój o życie Gaspara. Nikt w hotelu go nie widział od rana. Ale doszła do wniosku, że on nie zrezygnuje z niej tak łatwo, bez stoczenia ostrej bitwy. Nie bała się tej rozmowy ostatecznej, wiedziała, że jej to nie minie i czekała z rezygnacją. Zdecydowana była wywalczyć sobie wolność.

Pragnęła mieć już tę rozmowę za sobą i dlatego nie kładła się do łóżka przed powrotem Gaspara. Wstała z kanapy i usiadła przy oknie w pokoju, który właściciel hotelu szumnie nazwał salonem. Patrzyła na rysujące się w oddali góry, w których Filip i Anna mieli znaleźć wolność i ocalenie dzięki pomysłowości i odwadze Piotra. Przypomniała sobie tę noc wyczekiwania i modłów w Kis-Imre wspólnie z Elzą. I w ciemności znów zaczęła się bać: a nuż ta druga próba nie powiedzie się podobnie jak pierwsza?

Po północy dopiero poznała Rosemary dobrze sobie znane kroki Gaspara, zbliżającego się do ich pokojów. Wszedł bez najmniejszego wahania, przynajmniej pozornie. Zamknął drzwi i rzucając na sofę kapelusz powiedział:

— Zobaczyłem światło przez szparę w drzwiach i domyśliłem się, że jeszcze się nie położyłaś. Byłem na kolacji w tutejszej kawiarni. Bardzo dobra kolacja. Węgrzy umieją gotować. Sztuki kulinarnej mogliby się Rumuni od nich nauczyć, przynajmniej tego jednego.

Rzucił się na fotel i wyjął z kieszeni papierośnicę. Wybrał papierosa, po czym poczęstował Rosemary.

— Pozwolisz? — spytał. — Gdy potrząsnęła głową odmownie, roześmiał się, wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Ręka mu nie drżała ani trochę. Rosemary przyglądała mu się z niekłamaną ciekawością. Pierwszy raz, odkąd go znała, uważnie studiowała tę twarz. Teraz widziała na niej namiętność, połączoną z okrucieństwem, rysującym się na twarzy i w błyszczących oczach, patrzących na nią spoza płomienia zapałki.

Zgasił ogień zdecydowanym ruchem, zaciągnął się głęboko i rzekł spokojnie:

— Jak ty mnie teraz będziesz nienawidzić! Po chwili dodał:

— Co tam! Doświadczyłem tyle upokorzenia z twojej strony, że trochę mniej, trochę więcej — to nie ma znaczenia.

— Nigdy nie miałam zamiaru cię upokarzać, Gasparze — odrzekła Rosemary zimno. — Dzisiaj wiem, że najokrutniejszym moim czynem w stosunku do ciebie było zawarcie z tobą związku małżeńskiego.

— Doszłaś do tego wniosku tu, w Transylwanii, po spotkaniu z Piotrem Blakeney?

Rosemary nie odpowiedziała, wzruszyła tylko ramionami i odwróciła się do okna. Gaspar skoczył jak tygrys i chwycił ją za ramię, jęknęła z bólu w jego kleszczach.

— Zanim pomówimy dalej, Rosemary — rzekł z nieopisaną gwałtownością — pragnę wyjaśnić jedną sprawę, czy kochasz jeszcze Piotra Blakeney?

— Nie odpowiem na to pytanie — odparła Rosemary z całym spokojem. — Nie masz już prawa wnikać w moje życie prywatne.

— Nie mam już prawa — powtórzył przedrzeźniając. — Jesteś jeszcze moją żoną, nie zapominaj o tym. Od strony prawnej nie są jeszcze spełnione warunki, byś mogła odzyskać wolność!

— Wiem o tym, Gasparze. Wypadki dnia dzisiejszego zdruzgotały mnie, ale nie przywróciły mi wolności. Będę wolna, jeśli ty się na to zgodzisz. Zachichotał: — A ty na to liczysz, prawda? — zapytał sucho.

— Liczę na to.

— Mogę ci tylko odpowiedzieć, że jak na tak mądrą kobietę, przeliczyłaś się w rachubach.

— Nie podzielam tego zdania — odrzekła.

— Znam prawo angielskie na tyle, by wiedzieć, że żadna siła ludzka nie zmusi mnie do mieszkania pod twoim dachem, ani do tolerowania cię pod moim.

— Zatem nie cofniesz się przed skandalem?

— Nie cofnę się przed niczym.

— Będzie więc skandal?

— Można uniknąć skandalu. Postanowimy żyć oddzielnie: na tym koniec.

— Bynajmniej, moja droga — powiedział stanowczym głosem — takim tanim kosztem tego nie osiągniesz.

— Jak to rozumiesz?

— Tak, że Piotr Blakeney przyjechał za tobą do Transylwanii, na co mam szereg świadków. Tu zaś żyjemy w kraju, gdzie za pieniądze można uzyskać jeszcze inne dowody, takie mianowicie, które uprawnią lorda Tarkingtona do rozwiedzenia się z żoną i do podniesienia takiego skandalu, takiej wrzawy wokół nazwiska pana Blakeney, że ani jeden przyzwoity klub w Londynie nie zgodzi się przyjąć go na członka, lub też tolerować go nadal tam, gdzie już nim jest, nie pozostanie mu więc nic innego, jak żyć poza granicami Anglii ze względu na... swe nadwątlone zdrowie!

Rosemary słuchała uważnie, nie przerywając. Starła się nawet nie okazywać swego oburzenia, póki nie skończy. Gdy umilkł i rzucił się na fotel ponownie z westchnieniem ulgi, powiedziała spokojnie:

— Sądziłam dzisiaj, że doświadczyłam już dość twojej podłości i ludzkiej podłości w ogóle, ale teraz widzę, że się myliłam, nie doceniałam cię jeszcze!

— Możliwe, moja droga! Ale zważ, że mężczyzna broni swego skarbu wszystkimi możliwymi sposobami.

— Swego skarbu! Skarbu broni, być może, ale ty...

— Aleja uważam cię za mój największy i jedyny skarb na świecie — przerwał gwałtownie. — Jesteś moją żoną, moją własnością, moją rzeczą. Możesz kochać Blakeneya, a mnie nienawidzić, ale ja mam prawo za sobą, prawo do twej osoby, do twego ciała i wszystkie mądrości świata nie mogą tego prawa obalić. Ja jeden — i zanim zdążyła się usunąć, pochwycił ją w objęcia, — ja jeden mam prawo trzymać cię tak, jak cię trzymam w tej chwili. Ja jeden mam prawo żądać twego pocałunku. Całuj mnie, Rosemary, moja śliczna, ubóstwiana żono, moje szczęście o oczach nimfy! Całuj mnie, chociaż mnie nienawidzisz — chociaż jego kochasz, całuj mnie... Należysz do mnie! Przycisnął wargi do jej twarzy i przez kilka minut Rosemary, bliska omdlenia ze zgrozy i wstrętu, nie była w stanie wyrwać się z jego żelaznego uścisku. Ale nagle rozpacz zdwoiła jej siły. Odepchnęła go oburącz, zebrawszy wszystkie siły.

— Puść mnie — wyszeptała — nienawidzę cię! Roześmiał się tylko.

— Naturalnie, że mnie nienawidzisz. Widzisz, ja wolę tę twoją nienawiść niż zimną obojętność, jaką okazywałaś mi dotychczas. Nienawidzisz mnie, moja droga, bo mnie nie rozumiesz. Przy całej twej mądrości nie rozumiesz mnie. Kobiety twego pokroju — mądre kobiety — tak sędzę, trzeba ten typ określić — nigdy nie mogą zrozumieć mężczyzny, w którego duszy drzemie chęć popełnienia przestępstwa, zbrodni, instynkt okrucieństwa. A ten instynkt drzemie w każdym mężczyźnie, tak jest, w każdym! Zajrzyj na dno duszy, każdy z nas jest niegodziwcem, nie ma wyjątków! Niektórzy stają się czymś lepszym, ponieważ kształtują ich kobiety, matki i kochanki, inni przychodzą na świat z niezniszczalnym pierwiastkiem zła! Czy nie widziałaś nigdy chłopca, dręczącego kota lub psa? Czy znienawidziłaś go za to? Nie, ukarzesz go, ale potem się uśmiechniesz pobłaźliwie, mówiąc: „zwyczajnie, jak chłopak”! — Cywilizacja pokryła tę „chłopięcą” naturę pokostem uprzejmości i dobroci. Ale to wszystko tylko pozory. Dotrzyj głębiej, zajrzyj do duszy dorosłego mężczyzny, my byśmy nadal chętnie dręczyli koty i psy, dowodem tego jest złe traktowanie niewolników tam, gdzie jeszcze niewolnictwo nie zostało zniesione. Tam, gdzie mężczyzna jest naprawdę panem, tam mąż bije żonę. Daj mężczyźnie prawo torturowania, a będzie zadawał męczarnie ludziom i zwierzętom. To jest jego właściwa natura, tylko nie śmie jej ujawniać. Staliśmy się panami, przestaliśmy być mężczyznami. Większości wydaje się, że kobiety gardziłyby nami, gdyby znały tę naszą naturę. Udajemy więc. gramy komedie, schlebiamy kobiecie, widząc w niej partnerkę, a ci, którzy się wyłamują z tej reguły zakłamania, którzy nie są marionetkami — ci są traktowani jak wyrzutki społeczeństwa. Ja urodziłem się dzikusiem. Jako chłopak w wieku szkolnym nie tylko lubiłem dręczyć koty, z lubością zadawałem im najwymyślniejsze męki, aż w końcu zdychały z wyczerpania i bólu. Biłem z rozkoszą konia, który odpoczywał po pracy. Później biłem mniejszych ode mnie chłopców, napawałem się ich krzykiem, ciągnąłem za włosy lub szczypałem dziewczynki, ciesząc się z ich płaczu. Natura chłopięca — zwyczajnie chłopiec! Kobiety uśmiechały się przeważnie. Wybuchła wojna, na świecie rozszerzyła się fala okrucieństw. Byłem świetnym lingwistą i dlatego przydzielono mnie do służby wywiadowczej. Pracowałem dla wojsk francuskich. Już nie ciągnąłem dziewcząt za włosy ani nie szczypałem ich do krwi, ale ja, szpieg — tropiłem szpiegów nieprzyjacielskich — mężczyzn i kobiety — wywlekałem ich z nor jak krety i prowadziłem przed sąd wojenny na niechybną śmierć. Ale kobiety wciąż się uśmiechały. Dobre kobiety, wierz mi! Ale ci, których tropiłem, byli Niemcami i Niemkami, a zatem, ja,

szpieg — byłem bohaterem, obowiązkiem było wówczas śledzić i dręczyć te istoty pod ludzką postacią. Wojna się skończyła, umarł mój stryj, po którym dziedziczyłem tytuł, cywilizacja otuliła mnie płaszczykiem konwenansu, narzuciła mi pewne zobowiązania społeczne i towarzyskie. Misja moja była skończona. Stałem się światowcem. Tańczyłem, uśmiechałem się słodko i próbowałem nadszkakiwać pięknym paniom. Och! Jak ja tego wszystkiego nienawidziłem! Hamulce cywilizacyjne, konwenansem zwane, doprowadzały mnie do szaleństwa! Gdybym był ciebie nie spotkał na drodze mego życia, byłbym się usunął gdzieś daleko, powędrował do kolonii, trzymał niewolników i okazywał im swoją władzę okrutną i bezwzględną, albo też byłbym przeszedł na mahometanizm, wyemigrował na Wschód, miałbym niezliczoną ilość żon i biłbym je, znęcał się nad nimi, zachwycony ich strachem i służalczą pokorą. Ale spotkałem ciebie, poznałem cię i wszystkie moje pragnienia, żądze, skoncentrowały się na tym jednym dążeniu: zdobyć ciebie! Byłaś uwielbiana, sławna, zapewne bogata. Ja miałem tytuł, nic więcej nie mogłem ci ofiarować, bo to było wszystko, co posiadałem. Przyjaciel mój, de Kervoisin, znając moje zdolności, zaproponował mi Transylwanię jako teren działania, tę prowincję zdobytą, gdzie wciąż tliło się zarzewie buntu.

Wspomniał o mnie generałowi Naniescu, człowiekowi ambitnemu, pozbawionemu skrupułów, sprzedajnemu, który pragnął wzmocnić swoją pozycję, pochwalić się czymś wybitnym przed swym rządem i przed Europą, mianowicie wydobyć na światło dzienne owe intrygi i spiski, które tyle kłopotu już przysporzyły Rumunii. To zajęcie było płatne, oczywiście. Podjąłem się. Zarobiłem w trzy lata sto tysięcy funtów, a miałem perspektywy na znacznie więcej. Byłem już bogatym człowiekiem, a „robota” odpowiadała mojej „chłopięcej” naturze. Śledziłem tygodniami wytrwale określonego człowieka, aż wytropiłem jego tajemnicę. Przebierałem się dla niepoznaki. Posyłałem na śmierć to mężczyznę, to kobietę. Patrzyłem na ich strach, obserwowałem ich katusze wewnętrzne. Aresztowania, przesłuchiwanie przy zamkniętych drzwiach, egzekucje wczesnym rankiem, sceny rozpacz, pożegnania. Miałem to wszystko! Dzięki temu znosiłem kilka tygodni w roku podczas „sezonu” londyńskiego, wieczory klubowe, bale, pikniki i tym podobne głupstwa. A pieniądze, które zdobywałem, ułatwiały mi coraz bardziej zbliżenie się do ciebie. Miałem szczęście. Starał się o ciebie Piotr Blakeney i jak głupiec stracił cię, chociaż cię kochał, przyznaję. Jak się to stało, nie wiedziałem i nie to mnie obchodziło. Ja cię zdobyłem, bo się różniłem od twego otoczenia, bo cię

zaintrygowałem, bo nie nudziłaś się ze mną. Potem wyłoniła się kwestia Transylwanii. Naniescu zlecił mi trudne zadanie wyszpiewowania, kto jest autorem artykułów bardzo nieprzychylnych dla Rumunii, ogłaszanych drukiem w pismach angielskich i amerykańskich, na które nie miał on, rzecz jasna wpływu. Ofiarował mi 10 tysięcy funtów, jeżeli mi się uda wykryć i stawić przed nim autora. Drugie 10 tysięcy miałem otrzymać, jeżeli mi się uda nakłonić cię do napisania artykułów polemicznych i do ogłoszenia ich w „Timesie”. Zaraz pierwszego dnia naszego pobytu w Cluju Anna Heves wygadała się przed tobą ze swej tajemnicy. Gdy miałem ją i jej współnika pod kluczem, nietrudno było wymóc na tobie owe artykuły i udało mi się, jak wiesz. Ale trudność polegała początkowo na nieświadomości Elzy i Mariusza co do tej transakcji, proponowanej ci przez Rumuna. Przez ten czas zatem, kiedy według twego mniemania byłem w Bukareszcie, ja, przebrany za Cygana, zakradłem się do pałacu i ostrzegłem Elzę o niebezpieczeństwie, jakie zagrażało życiu Filipa i Anny. To rozwiązywało kwestię. Na nieszczęście poznał mnie Piotr Blakeney, który już mnie wówczas podejrzewał. Dlatego podążył za nami do Transylwanii, chcąc się upewnić... W Cluju zwierzyła mu się Anna. Aresztowanie dwojga młodych utwierdziło go w domysłach i owej pamiętnej nocy poznał mnie przebranego za Cygana i poczęstował kuksańcami. No, ale niech go diabli! Od tej chwili cała ta historia stała się walką między nami dwoma. Wygrałem pierwszą partię, wykrywając plan ucieczki Anny i Filipa, wygrałem drugą, namówiwszy cię do przedstawienia całej sprawy Elzie i tym samym skłoniwszy cię do napisania owych cennych artykułów. Sądziłem, że zwyciężyłem na całej linii. Ale Piotr Blakeney ukradł mi twój rękopis i wówczas przeląknęłem się, że wszystko stracone. Śmierć Anny i Filipa stanowiłaby wprawdzie pewną rekompensatę, ale w danym wypadku zależało mi jeszcze bardziej na 10 tysiącach funtów niż na rozstrzelaniu tych głupich dzieciaków. Przypuszczałem, że Piotr wykradł te papiery, by je przehandlować za cenę życia swoich kuzynów, ale teraz dopiero zrozumiałem. Sprzedał twój rękopis za pałac i majątek Kis-Imre. Będzie właścicielem tej posiadłości dopóki nie będzie mógł zwrócić jej tryumfalnie Imreyom. Tymczasem sprytnym fortem wydobył Annę i Filipa z rąk Naniescu i wprowadził za granicę rumuńską. A teraz z kolei wyśle w twoim imieniu depeszę do „Timesa”, odwołującą te artykuły. Wygrał bitwę na całej linii. Jestem pokonany po raz pierwszy, straciłem wszystko, prócz — ciebie. Cała jego przebiegłość, a jest on bardzo przebiegły — na nic się tutaj nie zda, ciebie mi nie odbierze. Nie mogę cię zatrzymać siłą, ale wiesz już, jakie

byłyby następstwa opuszczenia mnie przez ciebie. Pamiętaj: jeżeli ode mnie odejdiesz, ja w tym kraju przekupstwa ogólnego narobię tyle hałasu koło waszych nazwisk, że Piotrowi Blakeney żaden przyzwoity Anglik ręki nie poda do końca życia. Ostrzegłem cię, zrobisz, jak będziesz uważała za stosowne. Opowiedziałem ci historię mego życia, nie zataiłem przed tobą cnót Piotra Blakeneya, jego bohaterstwa, jeżeli ci się podoba tak to nazwać. Możesz go podziwiać, żałować, żeś go utraciła, kochać go nawet, ale związana jesteś po wsze czasy ze mną, należec będziesz do mnie! Jesteś moją niewolnicą, tak jakbym cię kupił na rynku, na targu niewolniczym.

Jeżeli mnie nie przestaniesz nienawidzić, znienawidzę cię zapewne również. Ale to ci nie zwróci wolności, przeciwnie, mnie to będzie bawić: nie wystarczało mi nigdy znęcanie się nad kotem, lubiłem zadawać mu tortury.

Gaspar Tarkington mówił tak bez przerwy przeszło godzinę. Mówiąc — patrzył na Rosemary z wyrazem szyderstwa i okrucieństwa. Ona stała oparta dłońmi o stół, jedyne oparcie jej chwiejącej się postaci. Nie przerywała mu. Chciała usłyszeć wszystko, chciała wychylić do dna ten kielich goryczy. Spojrzała przelotnie na nóż, leżący na stole, oczy jej zabłyśły, ale odwróciła je natychmiast. Gaspar pochwycił jednak ten błysk. Właśnie skończył swe opowiadanie, podszedł do stołu, ujął scyzoryk za ostrze i podał jej trzonek.

— Bardzo dramatyczne — powiedział wesoło — czy byłaś kiedy na „Tosce”?

Gdy nie odpowiadała, roześmiał się i rzucił niedbale nóż na stół. Potem usiadł i znowu zapalił papierosa.

Milczenie zaległo w małym pokoiku. Rosemary nic nie czuła. Nie tylko ciało, ale nawet dusza jej przestała reagować. Była w mocy tego strasznego człowieka, który groził zemstą Piotrowi, gdyby od niego odeszła. Śmierć tylko mogła ją uwolnić.

Gaspar palił papierosa w milczeniu. Słyszeć było tylko tykanie zegara, stojącego na kominku. Przez chwilę dolatywały odgłosy kroków i pewnego ożywienia, ale potem ucichły. Rosemary podświadomie skojarzyła te odgłosy z przybyciem nowych gości: pociąg nocny! Ale to już było dawno, jeszcze podczas opowiadania Gaspara. Spojrzała na zegarek: po wpół do trzeciej. Gaspar zerwał się z fotela. — Musi być bardzo późno — rzekł swobodnie — muszę cię przeprosić, doprawdy, za moje zachowanie: powinnaś już dawno odpoczywać po tamtej nocy. Ale wspomnienia ponoszą człowieka. Tak zawsze bywa.

Zgasił papierosa, podszedł pewnym krokiem do żony i wziął ją za ramiona.

— Pocałuj mnie, Rosemary — powiedział spokojnie.

Bawiło go jej milczenie, zachichotał szyderczo i objął ją wpół. Ucałował jej usta, jej oczy, jej szyję. Nagle puścił ją, aż się zatoczyła i poszedł szybkim krokiem w kierunku swego pokoju.

Na progu stanął zdumiony. Zapalił światło elektryczne i upewniwszy się, że nie jest igraszką podnieconych nerwów, wydał lekki okrzyk.

— Panie Mariuszu! — zawołał — skąd pan się tu wziął? Mariusz Imrey siedział w kącie kanapy i zdawał się drzemać. Teraz otworzył oczy, mrugnął, ziewnął i przeciągnął się.

— Nareszcie, mój drogi Tarkingtonie! — odezwał się po węgiersku — myślałem, że się pana już nigdy nie doczekam.

Wstał i otrząsnął się, jak pies po kąpieli, zatapiając palce w swej bujnej czuprynie. — Musiałem zasnąć — stwierdził leniwie.

— Ale dlaczego pan tu przyszedł, drogi przyjacielu? — zapytał Gaspar, ściągając brwi.

— Chcę pana prosić o przysługę. Z trudem mi to przychodzi, tak jest późno, ale uprzejmość pana dodaje mi odwagi, jak panu wiadomo, wyjechałem z Cluju, bo nas wywłaszczono, nawiasem mówiąc, Piotr Blakeney objął nasz majątek. Świnia! Nie posądzałem go o to. Przecież to krewny mojej żony!

— Wiem, wiem — przerwał Gaspar zniecierpliwiony — co dalej?

— Nikt mnie w Cluju nie poinformował, że udaję się tylko do Sótu. Przybyłem więc tu z Antonim i zastałem hotel przepelniony. Nie ma ani jednego pokoju. Zostawiłem bagaż pod opieką Antoniego i poszedłem do małego zajazdu, gdzie są wolne pokoje, ale tam właścicielem jest Bułgar. Ja zaś nie umiem słowa po bułgarsku, on znowu nie rozumie po węgiersku ani po rumuńsku. Pan wspomniał mi kiedyś, że zna pan wybornie język bułgarski, zatem...

— Czym mogę panu służyć? — przerwał znów Gaspar, z trudem panując nad irytacją.

— Czy zechciałby pan tam przejść ze mną i wynająć mi u niego nocleg? Albo też, czy nie byłby pan łaskaw przenocować mnie tu na kanapce?

Gaspar zawahał się; nie uśmiechała mu się ta przechadzka, ale jeszcze mniej nęciła go perspektywa dzielenia pokoju z Mariuszem.

— Chodźmy więc — rzekł lakonicznie — to niedaleko stąd?



— Pięć minut pieszo, mój drogi Tarkingtonie — dodał Mariusz tonem prośby — po drugiej stronie potoku. Antoni odprowadzi pana z powrotem.

— Nie potrzebuję niczyjej opieki — burknął Gaspar.

Wrócił do saloniku po kapelusz. Rosemary stała wciąż oparta dłońmi o stół. Pragnęła widzieć się z Mariuszem, ale teraz sądziła, że nie warto. Co w ogóle warto czynić w jej obecnym położeniu? Usłyszała szept Gaspara tuż przy sobie:

— Słyszałaś propozycję tego idioty? Muszę chyba mu to załatwić? Skinęła głową twierdząco. Wówczas Gaspar dodał z ironiczną kurtuazją:

— Żegnam panią, lady Tarkington.

\* \* \*

Antoni był świadkiem wypadku i on to przyniósł tę wiadomość Rosemary.

W ciągu ostatnich 24 godzin pan hrabia był bardzo dziwny. Śmiał się, wołał nagle: — Niech żyje Piotr! — śpiewał, czego nigdy dawniej nie robił, i był wesół.

Gdy hrabia poszedł do państwa Tarkington i długo nie wracał, Antoni mocno się zaniepokoił, ale czekał cierpliwie na dole. Wreszcie ujrzał obu panów, wychodzących późną nocą z hotelu. Przeczuciem pchnięty, poszedł za nimi. Gdy doszli do mostu na rzeczce, hrabia został o krok w tyle za angielskim lordem i nagle rzucił się na lorda i chwycił go za gardło. Angielski lord, zaskoczony, bronił się rozpaczliwie. Antoni zaczął biec na odsiecz, ale zanim ich dopadł, zapaśnicy oparli się mocno o poręcz drewnianego mostku, która ustąpiła pod ich ciężarem i obaj panowie runęli, uderzając głowami o kamienie płytkiego strumienia. Antoni wskoczył za nimi, wyciągnął ich obu. Angielski lord już nie żył, miał roztrzaskaną głowę, hrabiego Antoni ułożył na trawie i zrobił mu poduszkę z własnego ubrania. Następnie pobiegł obudzić księdza, mieszkającego w pobliżu. Z pomocą księdza i jego służącej przeniósł Antoni hrabiego do plebanii. Ciało angielskiego lorda złożyli do trumny i zanieśli do kapliczki pogrzebowej.

Ksiądz posłał już po lekarza do miasteczka, ale niewiele było do zdziałania, zdaniem Antoniego, zwłaszcza że doktor nie bardzo chyba był uczony. Na razie Antoni pobiegł do hotelu, by zawiadomić o nieszczęściu lady Tarkington.

Rosemary nie pomyślała jeszcze o położeniu się do łóżka. Siedziała przy otwartym oknie. Czas przestał dla niej istnieć. W pewnym momencie usłyszała jakiś przeraźliwy krzyk, ale cóż ją to mogło teraz obchodzić? Dla

niej nie miało to już żadnego znaczenia, czuła się tak, jakby postradała zmysły.

Gdy bosa, brudna służąca przysłała jej oznajmić przybycie Antoniego, służącego hrabiego Imreya z Kis-Imre, Rosemary była zupełnie ubrana, wpuściła go natychmiast, a on opowiedział jej, czego był świadkiem.

Narzuciła okrycie i pobiegła za Antonim do mieszkania księdza. Światło jutrzienki rozświetlało już góry i dolinę. Było tak widno, że można było wyraźnie rozróżnić kontury otoczenia, Rosemary, dochodząc do mostu, zobaczyła złamaną poręcz...

Proboszcz czekał na nią przed drzwiami. Hrabia Imrey nie odzyskał przytomności. Żył jeszcze, według opinii lekarza, ale życie jego wisiało na włosku. Rosemary ze ściśniętym sercem usiadła ostrożnie u jego wezglowia. W ciągu dnia przyjechał lekarz z Cluju. Potwierdził, niestety, orzeczenie swego kolegi z Sótu. Kręgosłup uległ złamaniu. Nie było ratunku. Ale na prośbę Rosemary zgodził się przyjechać powtórnie następnego dnia rano.

W godzinę później umierający odzyskał przytomność. Otworzył oczy, poznał Rosemary i twarz jego rozjaśniła się wielką radością. Pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. Dwie łzy stoczyły się po jego zwiędłych policzkach.

— To był potwór — wyszeptał — wszystko słyszałem w przyległym pokoju. Postanowiłem pomścić moje dzieci, a ciebie, dziecko kochane, uwolnić od niego.

O zachodzie słońca Mariusz hrabia Imrey przeniósł się do Wieczności.

Dopiero wtedy Rosemary ruszyła się. Poszła w towarzystwie proboszcza do kaplicy, gdzie stały zwłoki męża, który wyrządził jej tyle krzywd. Rosemary czuła teraz wielką litość dla niego i przebaczyła mu w głębi serca. Poleciała Bogu jego niespokojną duszę, bez cienia zawziętości lub nienawiści. On twierdził, że Rosemary nie zrozumie go nigdy: zrozumiała i dlatego przebaczyła. Nie był to człowiek całkowicie odpowiedzialny za swe czyny. Był on ofiarą swej niepohamowanej natury, swych grzesznych namiętności. Gdyby inna kobieta była zawładnęła jego sercem, kto wie, czy szczęście nie wyeliminowałoby z jego duszy instynktu okrucieństwa, tej nieświadomej chęci odwetu za własne niepowodzenia życiowe. Może wszystko to byłoby zapomniane w obliczu wielkiej, wzajemnej miłości.

\* \* \*

Od tej pory upłynęły dwa lata. Nadszedł rok 1924. Rząd Partii Pracy! Wizyty królewskiej pary włoskiej, duńskiej i rumuńskiej!

Jakże daleko była Transylwania, Sót i maleńka kaplica, w której Rosemary po raz ostatni ujrzała twarz tej zagadkowej osobistości, jaką był Gaspar Tarkington.

Do grobu zabrał swoją tajemnicę, tajemnicę tej dziwnej dwoistości swej natury: dzikiego okrucieństwa i najwyższej doskonałości.

Piotra nie widziała od tej pory. Po owej katastrofie w Cluju udało jej się dotrzeć do konsula brytyjskiego w tym mieście.

Uzyskała pozwolenie na przewiezienie zwłok lorda Tarkingtona do Anglii. Zajęło to sporo czasu. Elzę zastała już w Budapeszcie. Piotr odwiózł tam ciotkę i odjechał nie wiadomo dokąd. Filip i Anna byli przy matce. Przeszli oni pieszo przy pomocy Piotra Alpy i traktowali to przeżycie jak pyszną przygodę. Młodość! Towarzyszami Piotra byli wówczas kapitan Payson i młody Węgier z ekipy krokietowej. Elza miała łzy w oczach, gdy o tym mówiła, łzy wdzięczności dla Piotra.

Dla nich były to mimo wszystko dni smutku. Ale Elza i tym razem była po bohatersku spokojna. Antoni opowiedział jej tylko, że wskutek wypadku obaj panowie utonęli, nie chciał martwić pani hrabiny wiadomością o tym, co uważał za atak obłędu hrabiego. Rosemary naturalnie nic nie wyjawiała.

Po kilkudniowym pobycie w Budapeszcie Rosemary odjechała, nie doczekawszy się wiadomości od Piotra. Ale po kilku miesiącach otrzymała list od Elzy, która wyrażała się o Piotrze słowami najwyższego uznania, donosząc mimochodem, że siedzi on na Kis-Imre i gospodaruje znacznie lepiej niż Imreyowie kiedyś, czeka tylko na odpowiednią chwilę, by móc oddać klucze pałacu Filipowi. Filip zaś i Anna pobiorą się niebawem, nie zwlekając już dłużej, kochali się wszakże od lat najmłodszych.

Od otrzymania tego listu minęło półtora roku. Rosemary pracowała zawzięcie. Ogłosiła wiele artykułów o Transylwanii i o rządzie rumuńskim, przedstawiających prawdę i wstrząsnęła swym doskonałym piórem opinią europejską i amerykańską. Całą duszą oddała się pracy, bo przecież był to jedyny cel jej istnienia, jedyne wypełnienie pustki życiowej. W uszach dźwięczały jej niejednokrotnie wyrazy:

— Staraj się zapomnieć — ostatnie słowa, wypowiedziane do niej przez Piotra. Nie mógł jej przecież powiedzieć, że była żoną szpiega, nie mógł nawet oczyścić się w jej oczach z zarzutów, bo tym samym skierowałby jej podejrzenia na właściwe tory. A może duma nie pozwoliła mu się usprawiedliwiać, duma, która już tak często okazała się najzaciętszym wrogiem miłości.

Dwa lata! Rosemary wyszła na przechadzkę w to gorące lipcowe popołudnie.

Była na koncercie Kreislera w Albert Hallu i poszła odetchnąć powietrzem do parku. Usiadła w cieniu pod drzewami. Myśli jej, jak zawsze, powędrowały za Piotrem. Wtem — ujrzała go przed sobą. Szedł ku niej z uśmiechem tak naturalnym, jakby się dopiero wczoraj rozstali w najzwyczajniejszych okolicznościach. Wyglądał po dawnemu, jak miły, schludnie wyglądający chłopiec, o czystym sumieniu i szczerym, jasnym spojrzeniu błękitnych oczu.

— Byłem na koncercie starego Kreislera — powiedział siadając obok niej. — Piękne było, co?

Zupełnie dawny Piotr! — Koncert starego Kreislera, — to było powiedzenie Piotra! To były jego pierwsze słowa po dwuletniej nieobecności. Żadnych powitań, czułości, od razu rozmowa! Po chwili:

— Nie mogłem mówić z panią w Albert Hallu. Wyszedłem więc za panią i tu dogoniłem.

Rosemary zapytała: Czy pan już dawno jest w Anglii?

— Od kilku godzin — odrzekł Piotr ze śmiechem. — Przyjechałem dziś rano z Havre'u. Zapanowało milczenie. Rosemary zdjęła rękawiczki z powodu upału. Piotr ujął jej rękę i podniósł do ust. Rosemary nie ruszyła się z miejsca, nie patrzyła na Piotra, ale rękę zostawiła w jego dłoni.

— Rosemary, kiedy się pobierzemy? — zapytał nagle Piotr. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zawsze ten sam!

— Czekałem cierpliwie dwa lata — ciągnął dalej. — Piekierne dwa lata. Teraz już czekać nie będę. Kiedy się możemy pobrać, Rosemary?

Rosemary podniosła na niego oczy.

— Kiedy zechcesz, ukochany — odpowiedziała.